

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



**Bartłomiej
Topa**
O polskim
mężczyźnie nie
tylko z „1670” roku



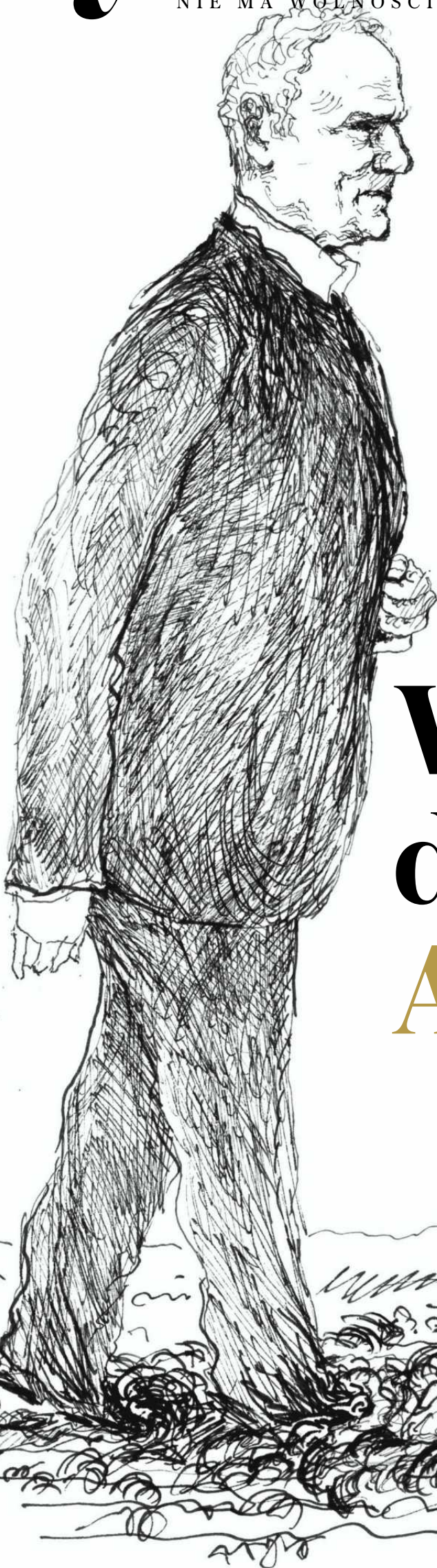
**WYSOKIE
OBCASY**
Clarissa Ward:
Życie korespondentki
wojennej

GAZETA

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



W drodze do stajni Augiasza



**Mistrz
Wincenty:**
Polacy,
uważajcie
na tyranów!

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Marcin Kącki

Braun pokazał przyszłość

To, co zdarzyło się w minionym tygodniu w Sejmie, więcej mówi o PiS i przyszłości niż o Grzegorzu Braunie. Bo tak, wtorek zapowiadał się wyjątkowo, ale raczej uroczysto i formalnie. Najpierw exposé Donalda Tuska, bez suspensów, potem pytania posłów PiS. Po stu dramaturgia siadła, bo to było jedno pytanie rozłożone na akcenty gorczy: dlaczego wygraliście, panie Tusk? I wtedy na mównicę wszedł Grzegorz Braun, cały na białło, gdy usłyszał, że mówi już o nim cały świat, a był na białło, bo na korytarzach Sejmu zmagął się z własnym umysłem, w którym żydowskim spiskiem płonęła chanukija, i Braun chwycił za gaśnicę, proszkową.

Poderwał się wtedy PiS, podpalony tą gaśnicą, i zawył, że to wina marszałka Szymona Hołowni, bo gdy Ewa Witek była marszałkiem, to był spokój i cisza. Minister Piotr Gliński był tak wzburzony, że użył nawet słowa na „h”, które w PiS było dotychczas zakazane: „To przeczy podstawowym wartościom humanistycznym”, powiedział Gliński i wyszło, że to Hołownia i opozycja są antysemitki, bo za Witek była ta cisza i spokój.

Otóż nie. Braun to tylko eskalacja działań PiS, które w ciszy i spokoju chciało – przypomnę tu najważniejsze stopnie eskalacji – zakazu badania mordów Polaków na Żydach, co wywoła-

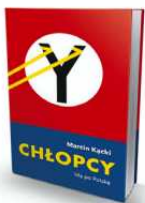
ło konflikt zbrojnych słów z Izraelem i USA; to Piotr Rybak, który palił kukłę Żyda i miał zdjęcia z ministrem Ziobrą; to ludzie Ziobry, którzy nękali prokuratorki, bo stawiały zarzuty antysemitom Międlarowi; to kilka milionów złotych dla Bąkiewicza, który prowadził co roku białe, bo polskie, wolne od Żydów marsze.

Gdy padają obelgi pod adresem Tuska, Kaczyński mruży oczy, odchyła głowę, bo wojna, konflikt i obelgi to jego jacuzzi

A nad wszystkim czuwał i czuwa Jarosław Kaczyński, człowiek, który eskalację, konflikt i agresję trzymał w podręcznym termosie, a po przegranych wyborach w kanistrze. Bo proszę spojrzeć na obrady Sejmu. Kaczyński przysypia, gdy posłowie debatują z szacunkiem, przebudza się przy zwarcjach, a uśmiecha, gdy na mównicę idzie taki poseł Czarnek czy Kowalski, a gdy padają obelgi pod adresem Tuska, to Kaczyński nawet mruży oczy, odchyła głowę, bo dla niego wojna, konflikt i obelgi to jego jacuzzi relaksu. Masuje się bąbelkami naparzanek, dolewa z tego kanistra, a jego posłowie pilnują, by bąbelki się perliły, by uśmiech rozkoszy nie zniknął z twarzy prezesa.

Dlatego gdy Sejm znów przysnie w szacunku, tolerancji i spokoju, to nie trzeba będzie nikogo zaburzonego, wystarczy mucha, która narobi na portret Romana Dmowskiego albo na krzyż, nie mówiąc już o konterfekcie kogoś bliższego Kaczyńskiemu, by podrywał się, żądał bąbelków i masował wojną. ●

Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolakach? Książka Marcina Kąckiego „Chłopcy. Idą po Polskę”, wyd. Znak. Litera Nova, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Andrzej rysuje



Holandia

Dwa wieki w ukryciu



Portrety Jana i jego żony Jaapgen van der Pluym, autorstwa Rembrandta, po 200 latach trafiły z prywatnej kolekcji do Rijksmuseum w Amsterdamie.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

JR3AE85C

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 16–17.12.2023 r.

Rząd ruszył



Pierwsze decyzje personalne, budowanie ministerstw, porządkowanie po PiS, zmiany w spółkach. Co szykuje rząd Tuska?

Czytaj ► Wyborcza.pl

Sejmflix

Najlepszy polityczny serial?

Ponad 200 tys. osób ogląda obrady Sejmu na oficjalnym kanale YouTube'a w warszawskiej Kinotece, ponad 600 osób oglądało na dużym ekranie zmianę władzy rządowej, a wśród widzów głównie młodzi. Chwilowa moda czy polityczne zainteresowanie? Zdaniem Przemysława Sadury, socjologa, młodzi ludzie, zwłaszcza ci, którzy pierwszy raz wzięli udział w głosowaniu, chcą po prostu zobaczyć, do czego się przyłożyli. Ale wielu traktuje obrady Sejmu jak serial czy reality show, tym bardziej że marszałek Szymon Hołownia chętnie korzysta z ironii i dowcipu. – Hołownia ma ogromne doświadczenie medialne, wie, jak



dobrze wypaść, korzysta z tych umiejętności – mówi nam Sadura. I dodaje: – Młodzi coraz częściej komentują, co się aktualnie dzieje, kto co powiedział w Sejmie, kto jak ripostował. Tego wcześniej nie było, a już na pewno nie było przez ostatnich osiem lat. Więc mamy dziś nowy rodzaj obcowania z polityką, taki mniej wymagający, bardziej rozrywkowy.

Niewykluczone, że oglądalność Sejmflixu,

jak nazywa się już ten fenomen, będzie rosnąć, bo każdego dnia obrady sejmowe dostarczają nowej dramaturgii. A jeśli posłowie PiS zechcą pójść w ślady Grzegorza Brauna, jeśli chodzi o zdolności performatywno-lobberskie, to suspensów nie zabraknie. Na razie bezskutecznie testują marszałka Hołownię. ●

Agnieszka Kublik

• Rozmowa z Przemysławem Sadurą ► 16

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Moje greckie święta

Właściciel kafenijo nie tylko karmi i poi ouzo swoich stałych klientów, w większości starych wdowców – on im też rozdziela lekarstwa, bo sami mogliby o nich zapomnieć.

Z Dionisiosem Sturisem, autorem książki „Kefi. Greckie wyspy – smaki i opowieści”, rozmawia Urszula Jabłońska





PATEK PHILIPPE
GENEVE

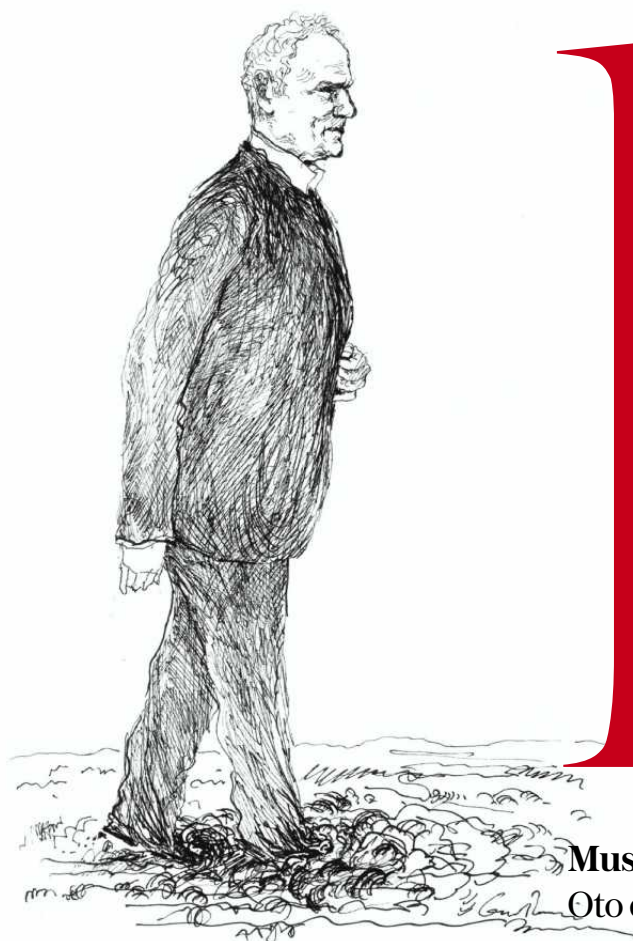


WORLD TIME REF. 7130R

DAJ POCZĄTEK NOWEJ TRADYCJI

W. KRUK
1 8 4 0

Europejski Boutiques · Hotel Raffles Europejski Warsaw
Krakowskie Przedmieście 13 · 00-071 Warszawa
Tel. +48 783 458 150 · wkruk.pl



12

PILNYCH PRAC

Musimy sprzątnąć tę stajnię Augiasza – zapowiedział Donald Tusk w Sejmie. Oto demokratyczne priorytety dziennikarzy „Wyborczej”

Żadna władza w Polsce nie kończyła swoich rządów po 1989 r. z takim blamażem, zepsuciem instytucji demokratycznych, kryzysem administracji, kryzysem gospodarczym, zepsuciem wizerunku Polski na arenie międzynarodowej, brakiem zaufania społecznego.

Do odbudowania jest, zdaniem ekspertów i prawników, w zasadzie każdy szczebel hierarchii władzy, od decyzji ideowych, jak prawa kobiet i mniejszości, po wprowadzenie kompetentnych fachowców i na prawę zaufania obywatelskiego.

Skoro nowy premier sięgnął po mitologiczne metafory, to nasi dziennikarze przygotowali listę najpilniejszych prac, które czekają jego ekipę, jeśli Polska znów ma mieć demokrację, pluralizm, fachowców, a w końcu prawo i sprawiedliwość.



POLICJA

Zostają po PiS braki kadrowe, przemoc, słabe wykształcenie. Komendant Jarosław Szymczyk pozwolił, by policja była wykorzystywana jako tarcza, a czasem zbrojne ramię władzy. Do historii przejdą kolumny radiowozów strzegące domu prezesa Kaczyńskiego, zabezpieczanie „miesięcznic smoleńskich”, kordony otaczające Sejm. Ci, którzy zaangażowali się po stronie władzy z powodu pieniędzy, awansów czy z przekonania, powinni zostać rozliczeni, nawet jeśli wykonywali polecenia z „góry”. Podobnie jak nadgorliwcy od palowania, gazowania czy łamania rąk demonstrantom.

Przemoc to kolejny problem. O ile „prewencja” na ulicach nie przekracza drastycznie granic obowiązujących przepisów, to w komisariatach jest dużo gorzej. Od 2016 r., gdy niezależne media ujawniły okoliczności śmierci Igora Stachowiaka po torturach we wrocławskiej komendzie, odnotowano kilkanaście przypadków zgonów po zatrzymaniu i przewiezieniu do komisariatu. Jak to zmienić? Na pewno pomogłyby wyposażenie każdego policjanta w kamery nasobne włączane na cały czas służby i monitoring w radiowozach (w większości już jest) oraz we wszystkich (a nie tylko w wybranych) pomieszczeniach placówek. Lepsze wykształcenie w zakresie stosowania środków bezpośredniego przymusu oraz broni palnej to oczywistość.

Na ponad 107 tys. etatów służbę pełni w policji 95 tys. funkcjonariuszy. Nigdy nie było tam aż tylu wakatów. Braki formacja próbuje nadrobić szyb-

szymi szkoleniami – z jednego roku do trzech miesięcy – oraz obniżeniem kryteriów przyjmowania do służby. Problemy finansowe dopiero przyjdą. W komisariatach jest coraz więcej unieruchomionych radiowozów, a do tych, które jeżdżą, brakuje paliwa. Przed wyborami media pisały, że policja w całej Polsce od pół roku tankuje na kredyt udzielony przez Orlen. Teraz trzeba będzie te pieniądze spłacić albo – decyzją nowej władzy – dług umorzyć.

Wojciech Czuchnowski



PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Za przywracanie praworządności będzie odpowiedzialny minister sprawiedliwości Adam Bodnar i to on przygotował uchwały Sejmu w sprawie Trybunału Julii Przyłębskiej i Krajowej Rady Sądownictwa. Moi rozmówcy twierdzą, że Bodnar chce postępować ostrożnie, by nie być oskarżony o łamanie czy naciąganie prawa. W uchwale dotyczącym Trybunału ma się znaleźć stwierdzenie, że dublerzy nie mają prawa orzekać, a działania TK są obciążone wadami prawnymi. Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz nie powinni kandydować do TK, bo przekroczyli dopuszczalny wiek, który PiS sam zapisał w ustawie. Julia Przyłębska nie jest już prezesem, więc nie ma prawa zarządzać TK i decydować o składach sędziowskich. Przywołane będą wyroki legalnego TK i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Jeśli koalicja rządząca nie rozmontuje Trybunału, to zapewne będzie trwał w takim, niezmienionym składzie, ale rząd zostawia sobie furtkę co do wykonywania decyzji Trybunału.

Jarosław Kaczyński zapewne będzie wydawał Julii Przyłębskiej polecenia, by wykorzystwała każdą możliwość blokowania pracy rządu czy rzucania kłód pod nogi, ale większość sejmowa może decyzji TK z dublerami nie wykonać. Premier może ich nie drukować lub drukować je z adnotacją, że nie obowiązują ze względu na uchwałę Sejmu. W pierwszym przypadku rząd narazi się na zarzut, że postępuje jak PiS, który nie drukował orzeczenia TK w sprawie dublerów.

Równie zachowawczy Bodnar będzie zapewne w sprawie Krajowej Rady Sądownictwa. Sejm przyjmie uchwałę w sprawie KRS, ale będzie miała znów charakter deklaracyjny. Minister nie będzie po prostu zgłaszał kandydatów na sędziów do czasu, gdy ustawą uporządkuje się sytuację w KRS, by nie potę-

gować chaosu. Innymi słowy Rada w pewnym sensie będzie zamrożona, dopóki nie zmieni się prezydent.

Adam Bodnar może zmienić sądowych rzeczników dyscyplinarnych, co zatrzyma represje wobec sędziów. O wiele większy problem jest z wymianą prezesów sądów. Teoretycznie istnieje możliwość zastosowania pewnego triku prawnego, który polega na paraliżu kolegów sędziów, co umożliwi zmiany, ale moi rozmówcy uważają, że Bodnar nie chce używać tego środka. Być może będzie podejmował ostrzejsze decyzje w przypadkach skrajnych, gdy prezesi sądów będą stosować obstrukcję.

Czy te zabiegi odblokują pieniądze z unijnego Krajowego Planu Odbudowy? Tak, bo kluczowe jest zneutralizowanie tzw. ustawy kagańcowej, która przewiduje ściganie sędziów, a to minister sprawiedliwości jest w stanie zrobić m.in. poprzez wspomnianą wymianę rzeczników dyscyplinarnych. I zaprezentowanie odpowiednich projektów ustaw.

Dominika Wielowieyska



SŁUŻBY SPECJALNE

Opozycja obiecała przepisy, które ograniczą nadużywanie choćby podsłuchów. Chodzi o kodeks pracy operacyjnej, czyli większą kontrolę nad działaniami służb oraz policji, które dotąd objęte były klauzulą tajności. Osoba, która podlegała rozpracowaniu przez służby (podsłuchy, inwigilacja), będzie informowana o takich działaniach, jeśli okaże się niewinna. Służby będą zatem wiedziały, że nie można podsłuchiwać przeciwników politycznych czy osób dla władzy niewygodnych.

Skandal z inwigilacją to główny powód decyzji o rozwiązaniu Centralnego Biura Antykorupcyjnego, a likwidacja zapowiedziana jest w „100 konkretnych” Donalda Tuska. Pozostałe zarzuty? Gorliwość wobec osób powiązanych z opozycją i przemykanie oczu na przestępstwa ludzi władzy, którzy w ostatnich latach zbijali fortuny. CBA zniknie jako osobna służba, a jego zadania przejmie być może Centralne Biuro Policji ds. Korupcji.

O tym, co przez te lata robiła ABW, najmniej wiadomo. Na pewno nie spełniła swoich zadań, gdy Orlen – mimo ostrzeżeń ze strony opozycji – sprzedawał za bezcen część Lotosu Saudyjczykom współpracującym z Rosją Putina. Agencja Wywiadu też się nie popisała. To z jej rekomendacji w 2020 r. re-

sort zdrowia zapłacił prawie 300 mln zł za respiratory, które miał sprowadzić do Polski handlarz bronią. Była to kompletnie nieudana przykrywkowa operacja AW, która z zysków chciała zasilić swój fundusz operacyjny.

O służbach wojskowych – SKW i SWW – wiadomo tyle, że w ostatnich miesiącach rządów PiS mocno zaangażowały się w kampanię wyborczą. Do propagandowego filmu „Reset”, a potem do słynnej komisji „lex Tusk” dostarczyły materiały mające świadczyć o uwikłaniu Donalda Tuska we współpracę z Rosją. Wyszła z tego kompromitacja.

Weryfikacja czeka takie formacje jak Służba Więzienna czy Straż Graniczna. Odbudowy od podstaw wymaga Służba Ochrony Państwa, która w czasach rządów PiS została doprowadzona do upadku.

Wojciech Czuchnowski



INFLACJA I KRYZYS GOSPODARCZY

Wokalistka Anita Lipnicka kiedyś napisała piosenkę „Wszystko się może zdarzyć”. Tytuł ten idealnie pasuje do tego, co dzieje się z inflacją. Na czym stoimy? Inflacja w październiku 2023 r. wyniosła w Polsce 6,6 proc. rok do roku i o dalsze spadki będzie trudniej. W grudniu niemal na pewno wzrośnie – upraszczając, to efekt świąt, kiedy wydajemy więcej. Co się jednak wydarzy od początku roku? No właśnie wszystko się może zdarzyć.

Pierwszy problem nowego gabinetu Donalda Tuska to co zrobić z zerowym VAT na żywność. PiS chciał od początku nowego roku przywrócić 5-proc. stawkę VAT na jedzenie i oznaczało to ekstra wpływy do budżetu w wysokości 13,5 mld zł. Później jednak zaczęła się rozgrywka polityczna, PiS-owski minister finansów podpisał rozporządzenie o zerowej stawce, wydłużając jej obowiązywanie do końca pierwszego kwartału przyszłego roku. Koszt: 2 mld 745 mln zł.

Czemu to tak ważne? Powrót 5-proc. stawki VAT na jedzenie podbije inflację. Podobnie jak podwyżka płacy minimalnej czy podniesienie świadczenia 500+. Sejm uchwalił zamrożenie cen energii do końca czerwca 2024 r. Później już żadnej osłony nie będzie. Znowu – inflacja pójdzie w górę. Ile wyniesie? Jeszcze raz: wszystko się może zdarzyć.

Prognozy? Komisja Europejska twierdzi, że w przyszłym roku będziemy mieć inflację w wysokości 6,2 proc., a w 2025 r. – 3,8 proc. Co ironicznie skomentował ekonomista: Stopy procentowe? Rynek spodziewa się obniżek w drugiej połowie przyszłego roku. Może w lipcu? Może w listopadzie? A może nie wiadomo kiedy.

Za walkę z inflacją odpowiadają Rada Polityki Pieniężnej oraz Adam Glapiński, z łaski PiS prezes NBP. Biorąc pod uwagę, że RPP też jest pod kontrolą partii Kaczyńskiego, to nowy rząd w zakresie polityki fiskalnej nie będzie miał za dużo do powiedzenia. Co to znaczy w praktyce?

Glapiński za czasów PiS walczył z inflacją niechętnie, wysoka inflacja oznaczała bowiem, że więcej pieniędzy splayało do budżetu państwa i łatwiej było Morawieckiemu trytytkami spinać kolejne obietnice. Teraz Glapiński z inflacją może zacząć realnie walczyć – przez co pieniądze w kasie państwa dla nowej koalicji będzie mniej.

Glapiński za rządów PiS pompował budżet państwa. Z zysku za 2021 r. wpłacił do budżetu niemal 10,5 mld zł. W ubiegłym roku była strata. W tym roku NBP miał wpłacić 6 mld zł zysku. I tak zapisało w projekcie budżetu. Nic z tego nie będzie, bank znowu przyniesie stratę.

Gospodarka? Biorąc pod uwagę ten rok – wzrost PKB ma wynieść 0,4 proc., przyszyły maluje się lepiej. Komisja Europejska mówi o wzroście o 2,7 proc.

Turbina, która mogłaby rozgrzać ten silnik, są pieniądze z KPO. Chodzi nawet o 60 mld euro. Tyle że one są do wydania do... sierpnia 2026 r. Z tych pieniędzy właśnie na zachętę obiecano 5 mld euro zaliczki (pierwsze środki spłyną pewnie w styczniu). Ale o resztę nie będzie łatwo. To wymaga zmian w sądownictwie, na które nie zgodzi się Andrzej Duda. Jak obejść jego weto i spełnić warunki unijnych kamieni milowych umożliwiających kolejne wypłaty? Tu rozwiązania musimy poznać już w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Piotr Miączyński, Leszek Kostrzewski



SPÓŁKI SKARBU PAŃSTWA

Przez osiem lat rządów PiS wprowadził co najmniej kilkanaście tysięcy osób do spółek skarbu państwa. Usunięcie tej nomenklatury będzie wielkim wyzwaniem dla Borysa Budki.

– Na pewno w spółkach skarbu państwa, niezależnie od tego, kto będzie ministrem aktywów państwowych, znajdą się ludzie, którzy będą mieli bardzo poważne zadania. Z jednej strony będą musieli

dbać o rozwój tych spółek. Z drugiej strony rozliczyć ostatnie osiem lat, w których pieniądze spółek skarbu państwa były przeznaczane na polityczną agitację, na polityczne imprezy PiS – zapowiedział „Gazecie Wyborczej” Budka przed oficjalnym powołaniem na ministra aktywów państwowych. Zapowiedzi brzmią jednak jak program łączenia wody z ogniem.

Trudno sobie wyobrazić, by ci sami menedżerowie dbali o należyty bieg spraw w zarządzanych przez siebie spółkach, a jednocześnie zajmowali się wypalaniem wykrytych w nich nieprawidłowości, byli gospodarzami państwowego mienia, a jednocześnie śledczymi. Tym bardziej że chociaż pozostało już tylko ponad 400 spółek skarbu państwa, to część przeistoczyła się w grupy kapitałowe, które tworzą prawdziwe galaktyki spółek córek i spółek wnuczek. Najlepszym przykładem jest grupa Orleń obejmująca ponad 180 spółek działających w Polsce i za granicą.

Do kontroli działalności ich wszystkich trzeba zastępów rewidentów. A sam Orleń i kontrolowany przezeń koncern Energa nie mają teraz wymaganych prawem audytorów sprawozdań finansowych. Bo we wrześniu wypowiedziały umowy w tej sprawie firmie Deloitte Audit, a jej następcy nie wybrały.

Jednym z pierwszych kroków nowego rządu powinno być usunięcie ze spółek skarbu państwa nomenklatury PiS, czyli działaczy politycznych PiS czy ich znajomych lub krewnych. Sekretarz PO Marcin Kierwiński zapowiadał, że nowy rząd Donalda Tuska zamierza powrócić do zasady wyboru w konkursach zarządów spółek skarbu państwa. To jednak oznaczać będzie wydłużenie wymiany władz spółek. Ale taka zasada nie musi obowiązywać władz wszystkich spółek rozrośniętych grup kapitałowych, które np. w radach nadzorczych mają nawet po 9 osób. Odchudzenie takich gremiów zapewni oszczędności. Można też zweryfikować liczebność różnych departamentów w spółkach skarbu państwa i ich ciał doradczych. Czasem nawet nieznanym, tak jak rada naukowa Gaz-Systemu, którą ta spółka powołała we wrześniu, ale utajniła, kto w niej zasiada – tłumacząc, że nie życzyli sobie tego powołani „uznani praktycy i naukowcy wiodących uczelni w Polsce”.

Naturalnie do nomenklatury PiS nie zaliczają się wszyscy menedżerowie czy doradcy spółek skarbu państwa. Są wśród nich także fachowcy, bo inaczej te spółki dawno by się rozleciały. Samo usunięcie nomenklatury PiS oznaczać będzie jednak wydatki na odprawy i odszkodowania.

Andrzej Kublik



TELEWIZJA POLSKA

Im lepiej Jacek Kurski sprawdzał się w roli lajdaka do wynajęcia, tym bardziej bezwzględny musi być teraz Bartłomiej Sienkiewicz. A gruntowne zmiany w TVP są tak samo oczywiste, jak trudne do wprowadzenia. Bo czy nowy rząd ma prawo tolerować okłamywanie narodu? Nie? A ma prawo dokonać skoku na media, jak PiS w 2015 r.? No znowu nie.

Od 2016 r. TVP rażąco łamała konstytucję i prawo medialne, by wspierać rząd PiS, a w czasie kampanii wyborczych – partię władzy (to opinia m.in. OBWE). Za PiS nie było żadnej instytucji, która byłaby zdolna do walki o niezależność mediów publicznych. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji oraz Rada Mediów Narodowych za cel postawiły sobie obronę praw ich mediów do bycia zależnymi od władzy. Personalnie i finansowo. I TVP za czasów PiS stała się karykaturą mediów publicznych; jak ujął to Marcin Wołski, przyjęty tam przez Kurskiego, „to logika stalinowska: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”.

Nowy minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz musi szybko uwolnić niezależność TVP. To znaczy, że nie mogą programów przygotowywać ci, którzy nami manipulowali od 2016 r. Będzie musiał najpierw zawiesić Mateusza Matyszkowicza, obecnego szefa TVP, a potem odeprzeć ataki RMN, KRRiT i mediów pokornych PiS.

Trzeba oddać przygotowywanie programów informacyjnych dziennikarzom, ale to skomplikowane zadanie. Trzeba wiele pozmieniać, nie mogąc zmieniać ustaw, wszak prezydent Duda obiecał Tuskowi wetowanie. Tusk podczas wtorkowego exposé mówił o Sienkiewiczu, że „ma doświadczenie, jeśli chodzi o decyzje te najtwardsze”.

Agnieszka Kublik



KULTURA

PiS chciał zmienić narodową kulturę w pas transmisji „wartości narodowych” – pojmowanych tak, jak rozumieją je Jarosław Kaczyński i Piotr Gliński. Placówki takie jak Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i I.J. Paderewskiego powstały, by wychowywać subordynowanych następców Grzegorza Brauna, a jego sympatyków kierować ku PiS, a nie jego konkurencji z prawej strony. Część z licznych zakładanych za PiS instytucji, tych, których funkcja jest czysto propagandowa, należy po prostu zlikwidować. Mimo „betonowania” ich przez odchodzącą władzę w ostatnich miesiącach. Ministrowi Bartłomiejowi Sienkiewiczowi potrzebni będą dobrzy prawnicy, bo te bastiony „dobrej zmiany” nie poddadzą się bez walki.

Gdzie indziej trzeba przewietrzyć gabinety, przywrócić znaczenie i kompetentne kierownictwo kluczowym instytucjom kultury, które ludzie Glińskiego zdewastowali. „Zachęta” z najważniejszej galerii sztuki w Polsce stała się miejscem, gdzie artyści nie chcą być wystawiani. Instytut Adama Mickiewicza zmienił międzynarodową współpracę kulturalną w parodię, a Instytut Książki bez większych sukcesów próbował w ostatnich latach promować na świecie twórczość Bronisława Wildsteina. Jak szybko zwolnić ich dyrektorów, jednocześnie nie łamiąc prawa, które przewiduje dla nich określone kadencje? Gliński kadencjami się nie przejmował, więc przegrywał procesy. Jednak jego ludzie w placówkach kultury dostarczyli wielu dobrzych powodów, by zwolnić ich w majestacie prawa.

Ale samo wymiecenie „dobrej zmiany” z galerii czy instytutów nie wystarczy. Bartłomiej Sienkiewicz ze swoimi zastępczyniami będzie musiał przywrócić zaufanie do instytucji konkursu na dyrektora – które to zaufanie PiS absolutnie zrujnował. Tymczasem warto, by nowi szefowie galerii czy teatrów mieli też poparcie środowiska czy ekspertów, a nie tylko partii.

Ale kultura to nie tylko Ministerstwo Kultury i jego agendy. Najwięcej w kulturze dzieje się w samorządach, a te PiS chciał zagłodzić. Po latach centralizacji trzeba wymyślić, jak pomagać kulturze lokalnie – bo przepaść między bogatymi instytucjami państwowymi a niedofinansowanymi samorządowymi urosła jak nigdy dotąd. Umiejętne przedstawienie tej wajchy nie będzie proste. A jest konieczne.

Witold Mrozek



POLITYKA ZAGRANICZNA

Taka anegdota krąży wśród zachodnich dyplomatów: Delegacja niemieckich parlamentarzystów spotyka się z europosełm Radosławem Sikorskim, pytają, czy nowy polski rząd będzie konsultował z Berlinem budowę elektrowni atomowej. W takim samym stopniu, jak Berlin konsultował z nami budowę rosyjsko-niemieckiego gazuociągu Nord Stream – miał odpowiedzieć Sikorski.

Zmiana w polskiej polityce zagranicznej rozczaruje wszystkich, którym wydaje się, że Polska wróci do Europy ze spuszczoną głową. Tym bardziej że w sercach nowej ekipy jest wobec Europy zadra – zbyt często podejmowano próby paktowania z PiS ponad głowami polskich demokratów.

W ciągu ośmiu lat polska dyplomacja straciła na znaczeniu. Została podporządkowana polityce wewnętrznej, padła ofiarą czystek, ekspertów zastąpiono dyletantami, ambasadorem mogła zostać osoba bez znajomości języka obcego.

Tusk i Sikorski to pierwszozoligowe nazwiska, pierwsze rozmowy dotyczące nowej polityki zagranicznej odbyli przed formalnym objęciem stanowisk. Exposé zostało za granicą dobrze przyjęte, ale odbudowa dyplomatyczno-eksperckiej maszyny, jaką był kiedyś MSZ, potrwa o wiele dłużej. Wiemy, że Sikorski ściąga do pracy swoich dawnych współpracowników, byłych ambasadatorów, ludzi z wielkim doświadczeniem. Problemem jest jednak nie tylko to, kto do pracy w MSZ przyjdzie, ale też kto będzie musiał ministerstwo opuścić. I nie chodzi jedynie o partyjnych nominatów wysłanych w świat. – Część starej załogi, która została w resorcie, się sprostyowała, część dała się tak zahukać, że straciła rozeznanie w międzynarodowej sytuacji. A jaki pożytek z takiego dyplomaty? – pyta jeden z pracowników ministerstwa. Sikorski przyjdzie do ministerstwa z wielką miotłą. Resort za PiS obciąża afera wizowa i związana z tym korupcja. A także nadużycia przy rozdawaniu dotacji. Tylko w tym roku instytucje związane z Tadeuszem Rydzykiem dostały z kasy MSZ milion złotych.

Inny problem to Andrzej Duda. Nie tylko będzie mieć wpływ na to, kto będzie ambasadorem, ale też w myśl przeferowanych latem przez PiS zmian w prawie to on ma definiować kierunki polskiej polityki zagranicznej i zatwierdzać kandydatów na ważne stanowiska w UE. Pytanie, czy Duda będzie chciał ułożyć sobie relacje z rządem Tuska, czy ulegnie presji z Nowogrodzkiej i pójdzie na zwarcie. Wojna o krzesła na unijnych szczytach, ściągnięcie ambasadatorów na konsultacje i przekazywanie kierowania placówkami w ręce chargés d'affaires państwa nie wzmocnią. Ale nie sądzę, by Tusk i Sikorski bali się takiego zwarcia.

Bartosz T. Wieliński



WOJSKO

W czasie kampanii wyborczej PiS wykorzystywał żołnierzy jako tło dla propagandy, a opozycji zarzucał, że chce „rozbroić Polskę” i „oddać Polaków na rzeź Moskwie”.

Błaszczak ogłaszał też, że opozycja zwinie polską armię, ale w planach obecnej władzy nie ma o niczym takim mowy. To, że w sytuacji wojny w Ukrainie i realnego zagrożenia od strony Rosji i Białorusi armia musi być silna i doinwestowana, nie jest przedmiotem żadnej dyskusji. Latem 2023 r. MON podało, że „pod bronią” mamy 172,5 tys. „żołnierzy pod bronią”. Nie wiadomo, ilu wśród nich jest zawodowych, ilu ochotników. Do tego są wojska obrony terytorialnej – ok. 40 tys. osób. Ich dowódca gen. Wiesław Kukula jest dzisiaj dowódcą generalnym Sił Zbrojnych. Stanowisko dostał, gdy na kilka dni przed wyborami do dymisji podali się szef Sztabu Generalnego i dowódca operacyjny Wojska Polskiego.

Wojna w Ukrainie była i jest dla polskiej armii okazją do zakupów nowego sprzętu lub wymiany starego uzbrojenia na bardziej nowoczesne i dostosowane do standardów NATO. Polska jest krajem, który dostarczył najwięcej broni i amunicji walczącej Ukrainie. Przez Polskę idą też transporty zachodniego sprzętu, co zresztą zauważył Putin, publicznie ostrzegając, że ma podstawy, by zaatakować „łańcuchy dostaw”. Wojna u naszych granic przyspieszyła też proces budowy w Polsce tarczy antyrakietowej i zwiększenia obecności amerykańskiego kontyngentu. PiS uznaje to za

swoją sukces, ale w latach PO-PSL ten proces już trwał. Nowa władza nie ma zamiaru też tego podważać. Wątpliwości budzi za to część zakupów uzbrojenia dokonywanych przez Błaszczaka. Zrozumiałe jest, że w warunkach zagrożenia konieczne są szybkie decyzje i pomijanie długich procedur. Jednak warte 100 mld zł kontrakty na uzbrojenie w sprzęt koreański (czołgi, wyrzutnie, armatohaubice) budzą wątpliwości. W ostatnich dniach urzędowania minister obrony rządu tymczasowego Mariusz Błaszczak poinformował o zawarciu kolejnej wielkiej umowy na dostawę 152 koreańskich armatohaubic K9. Zdaniem ekspertów zagraża to polskiemu hitowi eksportowemu – armatohaubicy Krab, a jeszcze problem w tym, że sprzęt koreański nie jest w pełni kompatybilny ze sprzętem i amunicją NATO. I takie zakupy nie mają nic wspólnego z obietnicami odbudowy polskiego przemysłu obronnego, który PiS obiecywał.

Wojciech Czuchnowski



KOMISJE ŚLEDTCZE

Już 12 grudnia debiut pierwszej komisji śledczej. Zbada niedosze wybory z 2020 r., gdy uwiecznieni pandemią w domach mieliśmy wybierać prezydenta kraju: korespondencyjne, przez listonoszy i Poczta Polską wskazać pierwszego lokatora RP. W planach są jeszcze dwie inne: ds. Pegasusu i handlu wizami. W każdej władza nas skrzywdziła. Roztrwonila nasze 70 mln zł na coś, czego nie było; sięgając po Pegasusu, podeptała prawa, odarła z godności, naruszyła intymność. W trzeciej hodowała w nas nienawiść do obcych, ale sama zapraszała tych, którzy znali system, wiedzieli, za ile, gdzie i od kogo kupić wizę.

Oszukiwała w myśl nadrzędnego interesu partyjnego. Czas wyświetlić te patologie. Ujawnić, jak zapadały decyzje, kto je wydawał, kto wykonywał bezrefleksyjnie, a kto miał odwagę się postawić. Jak rozkazy z Nowogrodzkiej, gdzie siedzibę ma PiS, realizowali podwykonawcy w Alejach Ujazdowskich, gdzie siedzibę ma kancelaria premiera.

Sejmowi śledczy mają jeden atut. Przed komisję wzywają pod rygorem odpowiedzialności karnej, a świadkowie będą z wierzchuszki: prezes PiS, były premier, wicepremierowie, ministrowie. Jeśli nie przyjdą, zostaną doprowadzeni. To też narzędzie sejmowej komisji.

Ale na śledczych czyhają też pułapki. PiS nie rezygnuje z udziału w komisjach, wysyła do nich swoich harcowników, by dowieść, że prawda nie jest prawdą. Będą dowodzić, że to tylko igrzyska.

Agata Kondzińska



ZDROWIE

Nie jest tajemnicą, że Izabela Leszczyna chciała być ministrem finansów. Ale Tusk wybrał Andrzeja Domańskiego, a jej dał na pocieszenie zdrowie. Leszczyna, polonistka z zawodu i finansistka z zamiłowania, nie kryje, że nie zna systemu. Tusk pokazał niestety, że zdrowie to nie jest dla niego kluczowa sprawa.

W „100 konkretach na 100 dni” padło jednak wiele obietnic, które tak czy inaczej wypada przynajmniej spróbować spełnić. To m.in. prawo do bezpłatnego znieczulenia przy porodzie, in vitro, pigułka „dzień

po” bez recepty, bony dla dzieci na wizyty u dentystów, przywrócenie opieki stomatologicznej w szkołach i zniesienie limitów na leczenie w szpitalach.

Prawo do bezpłatnego znieczulenia przy porodzie nowy rząd ma już z głowy, bo wprowadził je lata temu rząd PO-PSL. Do zniesienia recept na pigułkę „dzień po” wystarczy jeden podpis. Więcej formalności będą wymagać pełny dostęp do badań prenatalnych i refundacja in vitro, ale i to będzie stosunkowo proste.

Bony na wizyty u dentystów to już bardziej skomplikowana sprawa. Mogą się przyczynić do podwyżki cen w gabinetach, tak jak tanie kredyty wpłynęły na wzrost cen mieszkań. Trzeba to zrobić sprytniej i minister Leszczyna sama tego nie wymyśli. Na pewno nie obejdzie się bez podwyższenia stawek NFZ za leczenie zębów. Są niskie i dlatego dentyści nie chcą kontraktów z funduszem, a tym bardziej na leczenie dzieci, bo trzeba im poświęcić więcej czasu.

Nie wiadomo, co konkretnie ma oznaczać przywrócenie opieki stomatologicznej, bo przywrócić gabinetów raczej się nie da. Zapowiadał to już osiem lat temu PiS i poległ. Mniejsza nawet o stawki za leczenie, ale to już nie PRL. Żeby urządzić gabinet, nie wystarczą fotel i wiertarka. Mamy do granic wyśrubowane wymogi, a gabinety w szkołach kosztowałyby miliardy. Na dodatek dentysta w PRL leczył dzieci w czasie lekcji, rodziców pytać nie musiał. Dziś pod nieobecność opiekuna nawet higienistka nie może zajrzeć dziecku do buzi.

„Wprowadzimy łatwy w obsłudze system rezerwacji wizyt (SMS-y, maile) na kształt funkcjonującego w systemie prywatnym. W ten sposób ograniczymy liczbę nieodbytych wizyt, a tym samym skrócimy kolejki” – czytamy dalej w „100 konkretach”. Żeby to osiągnąć, trzeba się będzie na pewno bardziej wysilić, bo już dziś wiele placówek nie tylko wysyła SMS-y, ale też dzwoni i przypomina o wizytach, a i tak miliony terminów się marnują. Wątpliwe też, że zapowiadane zniesienie limitów na leczenie w szpitalach „znacząco skróci czas oczekiwania na konsultacje i zabiegi”. PiS zniósł limity na porady specjalistyczne, a kolejki niewiele się skróciły. Jeden z powodów to brak lekarzy.

Najważniejsze: poza pigułką „dzień po”, która będzie bez recepty, ale płatna, wszystkie obietnice zdrowotne ze „100 konkratów” będą kosztować. A trzeba doliczyć jeszcze 15 mld zł na zagwarantowane medykamenty ustawowo coroczne podwyżki. Inna obietnica ze „100 konkratów” to przywrócenie starych zasad opłacania składki zdrowotnej przez przedsiębiorców. Jej spełnienie uszczupli przychody NFZ. Jak rząd temu podoła? Tusk w exposé: – Kiedy pani poseł Izabela Leszczyna powiedziała: „Tak, biorę to na swoje barki”, to od razu wiedziałem, że to nie jest misja stracić i damy radę.

Judyta Watóła

MGW

Muzeum Getta
Warszawskiego
www.1943.pl

Premiera książki



PRZEWODNIK

PO DAWNYM GETCIE
WARSZAWSKIM

www.sklep.1943.pl

Próbujemy się zrozumieć: rozmowa z byłym członkiem rządu Morawieckiego



FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

TO BYŁO NIEZŁE OSIEMILAT

Staliśmy się w końcu państwem – że odwołam się do naszego wiecznego wzorca – podobnym do mitycznego Zachodu

Z **ŁUKASZEM JASINĄ***,
BYŁYM RZECZNIKIEM MSZ
ODWOŁANYM ZA SZCZEROŚĆ,
ROZMAWIA **DOMINIKA
WIELOWIEYSKA**

Czy czuje się pan konserwatystą?
– Żyjemy w czasach, kiedy wszyscy to pojęcie przededefiniowują. Powiedzmy, że jestem wierny ideałom konserwatyzmu z lat 80. i 90.

Ale co to znaczy – być konserwatystą?
– To przywiązanie do tradycji, do przeszłości swojego kraju, państwa, kultury. Oczywiście ze zrozumieniem, że świat nie stoi w miejscu. Zmiany są konieczne, choć nie dla samych zmian. Reformy tak, lecz spokojne i z szacunkiem dla instytucji społecznych oraz tradycji. Jest we mnie bardzo głębokie, kulturowe, choć nie całociowe – biorąc pod uwagę, kim jestem – przywiązanie do roli Kościoła.

Czy dlatego zdecydował się pan na pracę dla rządu PiS?
– Dla rządu Rzeczypospolitej Polskiej tworzonego przez PiS. Ale tak. To formacja, która w sferze ideowej odwołuje się do tych wartości.

Aktywista Bart Staszewski napisał o panu: „Łukasz Jasina, rzecznik MSZ, otwarcie żyjący gej na usługach rządu i homofobicznego ministra Zbigniewa

Rau, który nie tak dawno temu zrównywał osoby LGBT z zoofilami i pedofilami, twierdzi, że to aktywiści są problemem, bo homofobii w swoim szefie nie dostrzega. Czy jest specjalny krąg piekielny dla takich ludzi?”
– Pan Staszewski, uprawiając swoją dziedzinę polityki, uznał, że taki człowiek jak ja stanowi problem, bo się w nią nie wpisuję.

Czy ujawnił pańską orientację?
– Nie, pierwszy publicznie napisał o tym Ziemowit Szczerek, który wiedział to ode mnie. Ale spokojnie, nie mam żalu. Ja tego nigdy nie ukrywałem, otoczenie, rodzina, znajomi wiedzą. Od 20 lat żyję sobie jak na Zachodzie, trochę jak w kręgu brytyjskich konserwatystów, dla których nie jest to żadnym problemem. Po prostu po tym, jak sam poradziłem sobie ze swoją orientacją, wyszedłem z mojego miasteczka, ujawniłem się, nigdy nie myślałem, że to może być jakakolwiek kwestia publiczna. I dlatego nie poruszałem tematu.

Choć spłynęła na mnie potężna fala hejtu, problemem dla mnie nie był fakt szerokiego mówienia o tym, kim jestem. Problemem było to, że pewien konkretny człowiek usiłował narzucić mi określony sposób myślenia – skoro jestem gejem, to mam myśleć tak samo jak on. Ale w sumie dobrze się stało: nikt nie będzie teraz myślał, że coś chciałem ukrywać.

Zarzut Barta polegał na tym, że pan pracował dla partii rządzącej, która prześladowała środowiska LGBT, poniżała, odmawiała im podstawowych praw. Czy nie ma w tym sprzeczności, jeśli nie hipokryzji?

– Jeżeli dobrze kojarzę osoby, to partner pana Staszewskiego też pracuje lub pracował dla rządu. A ja nie mam żadnego problemu w byciu urzędni-

kiem państwowym. Ten rząd nigdy nie przekroczył granicy, o której mówi Staszewski. Owszem, mam bardzo poważne zastrzeżenia do tego, co pojawiał się w retoryce wyborczej, natomiast nie dostrzegam żeby mnie prześladowano z powodu bycia gejem. Nie spotykał mnie też ze strony ludzi PiS żaden ostracyzm.

Przypominam sobie radnego Mateckiego, który chodził odkażać ulice po demonstracjach tęczyowych.

– Zawsze będziemy mieli takich radnych, bo zawsze są polityczno-obyczajowe ekstrema.

Ale on jest członkiem ugrupowania, które stworzyło ten rząd.

– To bałamutny argument. Równie dobrze pani jako osoba wywodząca się z głęboko katolickiej rodziny uważa w swojej redakcji osoby głęboko nienawidzące religii i niekiedy nadające w swoim radykalizmie ton „Wyborczej” czy portalowi Gazeta.pl. Czy to oznacza, że powinna pani odejść? Nie popadajmy w absurdy. Ja pracuję dla rządu Rzeczypospolitej Polskiej, nie dla radnego czy partii. I dopóki mogę być otwartym gejem i nikt nie może niczego z tym nie zrobić, tylko musi mnie traktować tak jak każdego innego człowieka, to nie widzę problemu.

Chociaż w sumie wpis pana Staszewskiego zrobił coś dobrego. Zmusił część ludzi z prawicy do obrony geja jako człowieka, co jest chyba pierwszym przypadkiem po prawej stronie.

Stara się pan nie dostrzegać homofobicznego charakteru tego obozu. Przecież akcje typu „Stop LGBT”, uchwały samorządów w sprawie LGBT, homofobiczne wypowiedzi ważnych postaci Zjednoczonej Prawicy – to nie incydenty, lecz metoda.

– Cóż, skoro oni mają jakiś problem z ludźmi LGBT, to jest ich problem.

Czyj?

– Tych ludzi, którzy takie głupoty wygadywali.

To znak rozpoznawczy tego obozu.

– Podobnie jak antyklerykalizm jest znakiem rozpoznawczym pani obozu. Pani mimo to jest dziennikarką i robi swoje, a ja jestem urzędnikiem i robię swoje. Zostałem zaproszony do służby państwowej i pracuję dla państwa, dla Polski – każdej, konserwatywnej, liberalnej, lewicowej. A prywatnie jestem gejem o konserwatywnych poglądach, któremu jest dobrze ze sobą.

Problem polega na tym, że w MSZ zatrudnił pana minister Rau, który zasłynął takim wpisem w mediach społecznościowych: „Jestem przeciwny ideologii LGBT i cywilizacji śmierci. Europa kilkadziesiąt lat po rozpoczęciu rewolucji obyczajowej doszła do legalizacji zoofilii, eutanazji najsłabszych i schorowanych, postulatów legalizacji aborcji do końca ciąży oraz postulatów legalizacji pedofilii. Jeden ze szwedzkich naukowców zgłosił nawet potrzebę rozwiązania legalizacji... kanibalizmu. Przygotuję w Sejmie założenia ustawy mającej przeciwdziałać seksualizacji dzieci”.

– Pan minister jest na bakier ze wszelkimi mediami społecznościowymi (śmiech). Niespecjalnie korzysta, nie ceni, nie lubi. Prawdopodobnie to była robota biura poselskiego – tak zapewniał mnie dyrektor gabinetu – pomyślana jako hold splacany przez polityka aktualnie obowiązującej linii. A mnie pan minister zapewnił, że żadnym homofobem nie jest. Dajmy też prawo ludziom do zmia-

ny poglądów. Minęło parę lat, ludzie w tych sprawach jednak ewoluują.

Skoro jest pan gejem związanym z prawicą i obozem władzy, może wyjaśni mi pan, co to jest ta ideologia LGBT. Bo propagandyści obozu PiS twierdzą, że nie atakują ludzi, tylko ideologię.

– Część polskiej prawicy naprawdę wierzy, że istnieje coś takiego jak określony – lewicowy – światopogląd, celowo rozprzestrzeniany przez osoby LGBT, i że zrównanie praw osób homoseksualnych i heteroseksualnych, związki partnerskie i małżeństwa gejów sprawią, że zapanuje rozpusta, zniknie moralność i tak dalej. Tego akurat nie rozumiem, przecież ja i inni konserwatywni czy prawicowi geje jesteśmy żywym dowodem na to, że nie istnieje jakaś jedna zwarta, współdziałająca, połączona poglądami grupa osób LGBT.

Rzecz w tym, że PiS takie przekonania wykorzystywał w kampanii wyborczej. A przy okazji podsycił homofobię w społeczeństwie.

– A społeczeństwo nie stało się w ostatnich latach jakoś bardziej homofobiczne, raczej przeciwnie.

Może wszystko pozostawało w sferze retoryki i państwo PiS realnie nie sekowało osób LGBT, niemniej ta władza w wielu dziedzinach prezentowała nieciekawie oblicze. Dlaczego pan poszedł do rządu?

– Z pani punktu widzenia PiS odpowiada za wszelkie zło tego świata, a ja tak nie uważam. Patrzyłem na to tak: mamy trudne czasy, niełatwe relacje z wieloma sąsiadami, zapowiada się wojna, do tego Polska jest szarpana przez polityków różnych stron, więc w resorcie jest potrzebny ktoś, kto będzie prowadził dobrą politykę informacyjną. A ja mam za sobą kilka

lat w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, znam się na polityce zagranicznej, umiem mówić i całym życiorysem pokazuję, że każda ze stron ma ze mną coś wspólnego.

Chyba jednak nie każda, zwłaszcza przy reakcji po odejściu MSZ.

– Na prawicy padł zarzut ciosu w plecy i pojawiły się teorie o lawendowej mafii w obozie PiS, która przyczyniła się do klęski na różnych polach. W mediach społecznościowych oskarżano o to także Piotra Wawrzyka i Sławomira Cenckiewicza, a więc ludzi – z punktu widzenia partii – wykonujących swoją pracę z pełnym oddaniem. Jak ktoś nie umie sobie czegoś wytłumaczyć, to szuka spisków.

Przypomnijmy: na platformie X rozpętała się burza, gdy związany z Polską 2050 generał Mirosław Róžański udostępnił wpis, który sugerował, że Cenckiewicza łączyła intymna relacja z odpowiedzialnym za aferę wizową wiceministrem Piotrem Wawrzykiem. Pan uważa, że źródłem tych opowieści było środowisko PiS.

– Wybrano jakieś osoby, aby zbudować wokół nich homofobiczną teorię spiskową. A generał Róžański dał się w to wrobić. Po co? Nie wiem.

Ale dlaczego wskazano akurat te dwie osoby oraz pana?

– Profesor Cenckiewicz jest uosobieniem zła dla wielu ludzi nie tylko lewicy, lecz również prawicy. Stoi po naszej, prawicowej stronie, ale jest intelektualnie niezależny i żadnej władzy się nie boi, a niezależne umysły nie cieszą się jakimś szczególnym uznaniem po obu stronach barykady. Każdy obóz składa się z karnych żołnierzy i tylko czasem dopuszcza do głosu niezależnych sztabowców. No i w każdym obozie, czy to na lewicy, czy na prawicy, istnieją frakcje, które się zwalczają. Politycy zazwyczaj tylko czekają na to, żeby kogoś oskarżyć i na tym zbudować pozycję. Chyba byłem bardzo naiwny, że tego nie uwzględniłem.

Z naiwnością kojarzy się też przywiązanie geja do Kościoła w jego polskiej odsłonie, nieufnej wobec różnorodności.

– Ja wywodzę się z typowego polskiego katolicyzmu, dość leniwego, polegającego na tym, że w Pana Boga się wierzy, ale jak się ma do wyboru mszę o siódmej rano albo odsypanie, to się niestety niekiedy wybiera odsypanie. Po prostu jestem bardzo mocno przywiązany do polskiej kultury, a ona jest w dużej mierze katolicka.

Ja pytam o stosunek Kościoła do osób homoseksualnych.

– Znam wielu ludzi w Kościele, w tym księży, którzy mają bardzo dobry stosunek do osób homoseksualnych, całkowicie zgodny z katechizmem. Bo – czego niektórzy w Polsce ciągle nie wiedzą – związek intymny dwóch mężczyzn niczym się nie różni od związku intymnego kobiety i mężczyzny pozbawionego sakramentu.

A jeśli idzie o Kościół instytucjonalny, to jest jak zawsze – wiele zmian na lepsze plus tradycja na hipokryzja i wygłaszanie sądów mających być trybutem splecanym polityce. Jednak nie mogę wypowiadać się autorytatywnie, bo moje związki z Kościołem instytucjonalnym nieco się rozluźniły. Co sprawia, że komunikaty i opinie mojego Kościoła mają na mnie

bardziej ograniczony wpływ. I nie tylko mnie, to powszechna postawa.

Pan by chciał ustawy o związkach partnerskich?

– Tak. O ile badania pokazują, że społeczeństwo nie jest jeszcze jakoś entuzjastycznie nastawione do adopcji dzieci przez związki jedнопłciowe, to akurat ta idea jest akceptowana powszechnie. Polacy są gotowi na związki partnerskie.

A na małżeństwa?

– Chyba nie.

A pan jest gotowy? Żeby to było w polskim prawodawstwie?

– Czemu nie? Społeczeństwo może się nie czuć gotowe, ale ich wprowadzenie nie byłoby dla ludzi jakimś osobistym wielkim problemem.

Adopcja dzieci?

– Chciałbym, żeby jak najwięcej dzieci było adoptowanych, wychowanych przez kochających rodziców. Wychowałem się w czasach, kiedy dla wielu ludzi trudna do zaakceptowania była samotna matka. W moim mieście nigdy nie wytłano mnie palcami jako geja, natomiast regularnie wyśmiewano mnie jako nieślubne dziecko. To pokazuje, jak wielką drogę udało nam się przejść przez 40 lat. Jeśli często dzieci wychowują dwie kobiety, matka i babcia, nie gorzej niż matka i ojciec, a jednocześnie wiele sakramentalnych małżeństw niekoniecznie tworzy idealne miejsce dla dziecka – to ludzie zaakceptują również dwóch mężczyzn. Zadziała to, z czego Polacy słyszeli przez kilkadziesiąt lat: zdroworozsądkowe podejście do problemów.

Czyli para homoseksualna może wychowywać dzieci równie dobrze jak para heteroseksualna.

– Oczywiście. A na pewno nie można zakładać, że z zasady para heteroseksualna wychowa je lepiej niż para homoseksualna czy samotny rodzic.

To absolutnie sprzeczne z poglądami pana obozu.

– Ale ten obóz nie wymagał ode mnie odnośnienia się w pracy do tych kwestii. Kiedy idziemy do pracy, do urzędu czy firmy, nikt nie oczekuje od nas całkowitej spójności z poglądami kierownika, burmistrza czy prezesa.

To co jeszcze, oprócz przywiązania do Kościoła w rozumieniu kulturowym i polskości, łączy pana ze środowiskiem PiS?

– Pochodzę z miasta powiatowego i taka będzie moja perspektywa. Tam całkiem nieźle prosperujące instytucje padły nie po kilku latach od demokratycznego przełomu, po weryfikacji w rynkowych warunkach, tylko od razu po 1989 roku, za sprawą ogromnej liczby lokalnych przekrętów. To naprawdę wyglądało jak w stereotypowych opowieściach o patologiach transformacji ustrojowo-gospodarczej.

Uzgodniliśmy jakoś, w czym się zgadzamy, w czym różnimy, wobec Polski międzywojennej, już jakoś zaczynamy układać się z naszym stosunkiem do PRL-u, natomiast postrzeganie tego, co się zdarzyło po Okrągłym Stole, wciąż bardzo nas dzieli, bo zależy nie tylko od tego, w jakim byliśmy miejscu w społeczeństwie, ale też gdzie byliśmy czysto geograficznie. Inaczej o III RP myśli Ślązak, inaczej ktoś z Wałbrzycha, z Łodzi czy ze wschodniej Polski, a inaczej – mi-

mo wszystkich problemów – warszawiak czy gdańszczanin. Choć i tu ocena pracownika uniwersytetu, choćby i spauperyzowanego, będzie się różniła od perspektywy stoczniowca.

Oczywiście z transformacją wiązały się patologie, państwo było słabe, ale generalnie reformy Balcerowicza i późniejsze stały się fundamentem naszego rozwoju.

– I tu dochodzimy do powodów, dla których obóz PiS tak długo cieszył się poparciem. Otóż ja na ostatnie osiem lat patrzę tak jak pani na lata 90.: to był dobry okres dla Polski, w którym zdarzały się patologie. I jestem w stanie przyjąć pani sposób myślenia o początku lat 90. – tak, to był dobry okres dla Polski, choć z wieloma patologiami, jak w każdym momencie rewolucyjnej zmiany.

Ale jaki jest konkretny dobry efekt tej rewolucji PiS?

– PiS przywrócił godność najbardziej spauperyzowanym częściom społeczeństwa – pokazał im, że są obywatelami i że się liczą. A w polityce zagranicznej jego ludzie w krytycznym momencie nie bali się działać na własną rękę bez prośbienia o zgodę. To jednak Polska, nie pytając o zgodę, spowodowała przekazanie Ukrainie MiG-ów i leopardów.

Natomiast czy nazwałbym rząd PiS „rewolucją”? Rewolucję mieliśmy głównie w retoryce. Owszem, przejęto i modyfikowano poszczególne instytucje, na poziomie

Mam bardzo poważne zastrzeżenia do tego, co pojawiało się w retoryce wyborczej, natomiast nie dostrzegam, żeby mnie prześladowano z powodu bycia gejem

ustrojowym próbowano zmodyfikować sądownictwo, ale PiS nie przejął władzy w ogromnej większości samorządów, biznes prywatny istnieje, jak istniał, kultury się nie udało ministrowi Gliškie-mu radykalnie zmienić.

Warto podsumować PiS, zanim zajmie się tym nowa władza i zacznie mówić – jak każda nowa władza – że winę za wszystkie problemy, które występują, ponosi ta poprzednia. A przez osiem lat znakomicie rozwinęła się gospodarka, a jednocześnie w większym stopniu zrozumiiano potrzeby tych wszystkich, którzy sobie wcześniej w niej nie radzili, zazwyczaj nie ze swojej winy.

Czyli wydatki socjalne.

– Tak. Staliśmy się w końcu państwem – że odwołam się do naszego wiecznego wzorca – podobnym do mitycznego Zachodu. Pod względem traktowania zwykłego obywatela dalej mamy bardzo wiele do zrobienia, ale podatki są w końcu nakładane i zbierane normalnie, cyfrowa administracja działa sprawnie, urzędy stały się przyjaźniejsze, a społeczeństwo jest centrowe i wyraźnie sygnalizuje, ostatnio w październikowych

wyborach, że nie zgadza się na ekstremizm z żadnej ze stron.

Jeśli idzie o gospodarkę, to może posunięcia PiS odegrały jakąś rolę, ale nie bez znaczenia była dobra kondycja odziedziczona po rządach PO-PSL i fantastyczna koniunktura na świecie po 2015 roku. Więc samodzielnym dobrym dorobkiem PiS pozostają głównie wydatki socjalne.

– Sorry, ale jak się rządzi, to trzeba mieć szczęście. Spółki skarbu państwa za PiS raczej się rozwijały, a nie zwijały. Patrzę też na kondycję gospodarki przez pryzmat kultury – i bardzo cieszę z tego, że powstało wiele muzeów, bardzo wiele instytucji kulturalnych. Można oskarżać o wiele rzeczy premiera Gliškiego, ale takie go dosypywania pieniędzy do kultury, również tej, która niekoniecznie podobała się ministerstwu, nie widzieliśmy przez dekady. Do TVP Info można mieć zastrzeżenia, ale tak wspaniałych kanałów tematycznych jak TVP Kultura czy TVP Historia to chyba nigdy nie było.

Wrzucenia pół miliarda w ostatniej chwili, na odchodne, do rozmaitych organizacji związanych z PiS, aby środowisko mogło spokojnie przeżyć kilka lat, też dawno nie widzieliśmy.

PiS przegrał nie z powodu nieprawidłowości, ale dlatego, że ludzie mieli dość stałego i permanentnego konfliktu. Może to będzie jakaś nauzka dla nowego rządu.

Jarosław Kaczyński uważa, że generowanie konfliktu to dobry sposób na utrzymanie władzy. Taka była jego koncepcja na rządzenie jeszcze od wczesnych lat 90.

– Jeśli tak, to jest w dobrym towarzystwie, bo przed nim myślało w ten sposób dwóch wielkich Polaków, to znaczy Józef Piłsudski i Lech Wałęsa, a chyba i premierowi Donaldowi Tuskowi – też nietuzinkowej postaci – ta sztuka nie jest obca. Co nie znaczy, że strategia ta ma rację. W ostatecznym rozrachunku decyduje społeczeństwo, a ono, mimo chwilowego ulegnięcia takiej czy innej retoryce, na dłuższą metę chce, żeby władza opierała się na dobrym rządzeniu. Dlatego w pierwszej kadencji ludzie popierali bardzo wiele zmian PiS, bo widzieli w nich jakiś sens, a w drugiej stracili wiarę w ten sens. Albo po prostu dostali to, co chcieli, a na więcej nie wyrażali zgody.

Pan sam musiał firmować politykę szkodliwą dla Polski. Rząd PiS skłócił nas z sojusznikami, słowem i czynem działał na rzecz rozpadu Unii, co jest zgodne z interesem Rosji, zablokował nam dostęp do unijnych pieniędzy.

– Dziękuję za tę litanię. Zabrakło tylko tego, że rząd skłócił Polskę z Rosją, bo kiedyś Rosję też w tej litanii umieszczaliście. Tu się różnimy. Ja tylko dlatego, że zostałem przez ministra Raua wyrzucony ze stanowiska rzecznika, nie zmienię w ciągu kilku tygodni poglądów i ocen. Uważam, że Polska jednak znacznie więcej uzyskała w ostatnich latach, a wojna w obronie Ukrainy to pokazała w całości. Bez względu na to, kto będzie u steru w Niemczech czy w USA, będziemy ważnym elementem bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej.

Jeśli coś mnie martwi, to to, że nie mamy wypracowanego ponadpolitycznego kompromisu w różnych kluczowych cywilizacyjnie

i państwowo kwestiach, więc teraz znowu będziemy dyskutowali o skali zbrojeń czy o elektrowniach jądrowych.

A nie martwiło pana, że politykę zagraniczną prowadzili nie dyplomaci, tylko politycy kierujący się doraźnym, głównie wewnątrzpaństwowym, interesem obozu władzy? Zbigniew Rau nie kreował polityki, nawet jej nie prowadził – i nie dlatego, że często go nie było w ministerstwie, tylko dlatego, że polityka zagraniczna działa się w gabinetach Kaczyńskiego i jego zaufanych.

– Minister nie musi siedzieć dzień w dzień za biurkiem, żeby sprawnie kierować resortem i sprawami zagranicznymi. A Zbigniew Rau był w polityce bardziej obecny, niż może się zdawać. Udzielał się w pracach OBWE, był w mocnych, osobistych relacjach z sekretarzem stanu Antonym Blinkem, miał porządne kontakty z niemiecką minister Annaleną Baerbock – tylko nie był typem ministra aktywnego w sferze medialnej. Ponadto w czasie wojny w Ukrainie został przyćmiony przez prezydenta Dudę, który – bądź co bądź – jest dyplomatą numer jeden. I to sprawnym. Problemem były też relacje ministra Raua z wiceministrami, generalnie mające systemowy charakter i wynikające ze struktury obozu władzy

Czyli?

– Większość wiceministrów czuła się podległa bardziej premierowi Morawieckiemu, więc była dość niezależna i prowadziła często własną politykę. Ale to moje odczucie – jeśli mogę coś oceniać merytorycznie, to kwestie informacyjne. I tu rzeczywiście mieliśmy problem. Pan minister mediów nie cenil, nie lubil, nie chciał za bardzo się w nich pojawiać. A możesz mieć mnóstwo dokonań, lecz jeśli nie chcesz o tym opowiadać, nie masz dobrego kontaktu z dziennikarzami, wszyscy będą uważali, że robisz znacznie mniej, niż robisz.

Przepisy przyjęte przez PiS obniżyły wymogi wobec osób, które reprezentują Polskę w placówkach dyplomatycznych. Jakość kadr MSZ bardzo się pogorszyła.

– Nie zauważyłem, by to było masowe zjawisko. Trzeba by policzyć, ile było politycznych nominacji na ambasadorów, ale wśród konsułów generalnych i innych stanowisk tego aż tak dużo nie było. Przytaczając większość ludzi w MSZ to ciągle te same kadry, które się kształtowały przez ponad 30 lat. Spotykałem mnóstwo urzędników, którzy zaczęli pracę w latach 90. i służyli pod kolejnymi ekipami.

Odnoszę się do głośnego tekstu Krzysztofa Hince w sobotniej „Wyborczej”, wieloletniego dyplomaty, który opisuje ambasadorów bez języka, bez znajomości kraju, do którego są wysyłani.

– Jako historyk wobec politycznego charakteru nominacji ambasadorskich jestem generalnie mniej krytyczny niż wielu komentatorów. W polskim MSZ proporcja nominacji politycznych i merytorycznych zawsze była mniej więcej pół na pół, lecz na świecie istnieje długa tradycja nominacji politycznych.

Natomiast rzeczywistość nie była wymogu znajomości języka kraju przyjmującego ambasadora.

To nie jest zdumiewające?

– Nie jest. W Polsce nasz język zna zdecydowana mniejszość ambasa-

dorów obcych państw – niech pani nie myśli, że Mark Brzezinski czy Jakow Liwnie, jak przychodzą do MSZ, to mówią po polsku. Zresztą nie muszą. Gdyby przy wyborze ambasadora w Wietnamie Niemcy kierowały się kryterium językowym, zapewne w ich MSZ byłby jeden kandydat, bardzo prawdopodobne, że rodzinnie powiązany z Wietnamem i w konflikcie interesów. A kandydaci na konsulów generalnych czy dyrektorów dalej muszą spełniać wysrubowane wymogi, również językowe. Sam przygotowywałem się do wyjazdu i musiałem zdawać egzaminy.

Formalne kompetencje to jedno, charakterologiczne, interpersonalne, dyplomatyczne – drugie. Ambasador Przylębski zasłynął tym, że obrażał naszych sąsiadów na każdym kroku. – Nie bardzo wiem, w jaki sposób ich obrażał i czym różnił się od swoich odpowiedników w Polsce, panów Loringhovena i Baggera. Po prostu prezentował wyrazisty typ trochę dyplomaty, trochę polityka. Teraz mamy bardzo spokojnego, poukładanego ambasadora w Berlinie, więc okres, kiedy ambasadorzy byli bojową awangardą polskiej polityki, się skończył.

Niemniej nagonka na Niemcy, zaprojektowana przez Kaczyńskiego, była niezwykle szkodliwa dla Polski. Nie ma nic złego w krytyce takich czy innych posunięć Berlina, niekoniecznie dobrych dla nas czy dla Unii, natomiast podsywanie antyniemieckiej fobii uniemożliwia dbanie o interesy Polski w świecie. – Biedne Niemcy, wszyscy je biją (śmiech). Po pierwsze, akurat niemieckie elity władzy okazywały PiS nieskrywaną niechęć, a po drugie, po stronie niemieckiej jest podobno głębokie zrozumienie tego, jak wygląda polska polityka. No i Niemcy wiedzą, że muszą mieć grubą skórę. Po drugie, sami są państwem demokratycznym, więc wiedzą, że różne rzeczy mogą się chwilowo pojawić wskutek mechanizmów demokratycznej polityki.

Ale tego, co TVP robiła z Tuskiem – to sugerowanie, że chodzi na pasku kanclerzy, a kanclerze są kontynuacją III Rzeszy, to wtrącanie fatalnie brzmiących w polskim uchu niemieckich słów – już nie można wytlumaczyć demokratyczną polityką wewnętrzną. Zastanawiam się nad etycznym wymiarem przyłączenia się do ekipy, która w telewizji publicznej puszcza czyjs wizerunek w czerwonej obwódce z krzyżykiem, jednoznacznie kojarzącej się z celownikiem. Gdyby jakakolwiek telewizja, również komercyjna, pokazała w ten sposób Kaczyńskiego, to ja bym z takiego środowiska się wypisała. – Po 1989 roku zmieniliśmy sposób oceny ludzkiego postępowania. Przesłaliśmy oceniać kolektywnie, odrzuciliśmy patrzenie na jednostkę przez zbiorowe zasługi i winy jej grupy. Każdy odpowiada za to, co sam robił, za swoje działania i błędy. Przecież tak ocenialiśmy ludzi systemu Polski Ludowej, pozwalając im funkcjonować w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej. Podobnie jak nie oceniam ludzi „Wyborczej” przez pryzmat afery Rywina, tak oczekuję, że funkcjonariusz państwowy nie będzie stygmatyzowany przez durne paski TVP.

Czyli ja nie biorę odpowiedzialności za TVP, ja biorę odpowiedzialność tylko za to, co robiłem jako rzecznik w MSZ. – Czyżby należało rozliczyć Tomasza Raczkę, który w latach 80. mówił w TVP o filmach i kulturze, za to, co ktoś inny mówił w „Dzienniku”? No przecież nie. Tak, każdy z nas odpowiada za to, co zrobił. Ja byłem urzędnikiem państwowym, który mówił to, co mówił – i za to ponoszę odpowiedzialność. Ale nie za to, co robili jacyś inni ludzie.

Politykę zagraniczną też zdominował resentment. Niechęć Jarosława Kaczyńskiego do Unii wypływa nie tylko z czystej, chłodnej kalkulacji wyborczej. – Ocenę pana posła Kaczyńskiego nie muszą być moimi ocenami. Choć uważam, że Niemcy rzeczywiście przez wiele lat starali się zdominować gospodarczo i politycznie Europę Środkowo-Wschodnią. Budując Nord Stream 2, przyczynili się do rosyjskiej inwazji na Ukrainę i te ostatnie osiem lat nie było wyłącznie personifikacją pomysłów czy fobii Jarosława Kaczyńskiego, ale też autentycznej frustracji Polaków. Myślę, że pani też daleko do bronienia wybryków niemieckiej polityki wschodniej lat 90. i pierwszych dekad tego wieku. Niestety ludzie zapłacili za to życiem. Plus jest taki, że może obie strony w końcu lepiej się siebie nauczą. Niemcy po tym, jak pomylili się parę razy, choćby co do Rosji, i przyznali się do tego sami przed sobą, poukładają relacje z nami bardziej po partnersku. A na polskiej prawicy przybywa ludzi rozumiejących Niemców, sposób myślenia ich klasy politycznej.

Wbrew pozorom PiS wzmacniał Niemcy, zaoignając stosunki z Unią. Bo w interesie kraju słabszego jest to, żeby mieć jak najlepsze relacje z instytucjami europejskimi, ponieważ one są przeciwwagą dla wpływów najpotężniejszych państw. – Rzeczywiście trzeba było zrobić coś bardzo trudnego w naszej polskiej rzeczywistości, czyli znaleźć złoty środek. Wzmocnić asertywność wobec Niemiec, ale nie agresywnie, obraźliwie, czyli przeciwskutecznie. Lecz wiele rzeczy się udało. Polska jest teraz bardziej świadoma swoich wad i zalet. Ponadgraniczne kwestie infrastrukturalne poszły do przodu. Trójmorze okazało się projektem zdecydowanie lepszym, niż twierdzili jego oskarżyciele.

Przecież w sprawie Trójmorza zapadła cisza. Co dało? – Bo mało piszecie (śmiech). A tymczasem całe fragmenty Via Carpatii są już gotowe. Polska jest połączona z Litwą i Słowacją interkonektorami gazowymi, a Amerykanie uważają ten pomysł Andrzeja Dudy za jedną z najbardziej udanych inicjatyw regionalnych ostatnich dziesięcioleci. Z kolei projektując Centralny Port Komunikacyjny, pokazaliśmy, że Europa Środkowo-Wschodnia może mieć własne ambicje, może rozwijać się na własną rękę, nie być wyłącznie dobudówką do niemieckiej gospodarki. I to my pokazywaaliśmy Unii, mimo całego konfliktu z instytucjami europejskimi, jaka jest przyszłość bezpieczeństwa Europy, czego potężne Niemcy przez długie lata nie były w stanie zrobić.

Ale to było pokazanie potencjału. Pora go wykorzystać. Po okresie wizerunkowej burzy i naporu pora na kompromis i współpracę.

O realnej pozycji decyduje siła gospodarki, a PiS odcinając nas od unijnych pieniędzy, osłabiał ją. Rząd PiS sam zapisał w analizie, że Krajowy Plan Odbudowy daje nam na starcie więcej o 0,4-0,6 proc. PKB, a w każdym następnym roku o 1 pkt proc. Po czym robił wszystko, żeby Unia KPO nie odblokowała. – Ale generalnie i tak wypadamy całkiem nieźle, zważywszy na pandemię, wojnę w Ukrainie, kryzysy w kolejnych krajach europejskich.

Panuje opinia, że prounijni – nawet jeśli z powodów czysto praktycznych – Polacy odsunęli PiS między innymi za zniszczenie relacji z instytucjami UE. – Wyjaśnienia jednorozprawczynowe mają zazwyczaj wiele słabości. Gdyby było tak, jak pani mówi, to zrobiliby to już w 2019 roku. Akurat wojna w Ukrainie osłabiła spór z instytucjami unijnymi i zwiększyła znaczenie Polski. Jest wiele przyczyn porażki PiS – od wyroku w sprawie aborcji aż po kompletny brak pozycji dla ludzi młodych.

Ja na ostatnie osiem lat ostatnie patrzę tak jak pani na lata 90. Uważam, że był to dobry okres dla Polski, w którym zdarzały się patologie

Nie budziło pańskich wątpliwości to, że PiS z jednej strony jednak szczuje na imigrantów, straszy falą ludzi z innej kultury, wykorzystując rasistowskie stereotypy – pamiętamy konferencje ministrów Błaszczaka i Kamińskiego, na której prezentowali filmiki z krową znalezione rzekomo w telefonie migranta – i jednocześnie sprowadza setki tysięcy osób z Azji i Afryki? – Znowu te litanie i żale sprzed lat. Ja myślę, że nawet ministrowie byli zaskoczeni tym, co pokazano na tej konferencji. Minister nie zawsze ma czas, żeby zobaczyć wszystko wcześniej. Nie wie, jakie materiały przygotowują podlegli mu urzędnicy.

Minister obrony i minister spraw wewnętrznych nie wiedzieli, co będzie pokazane na ich konferencji? – Ministrowie mają bardzo dużo pracy, zwłaszcza w systemie, w którym zaczynają dzień o 6.40 w mediach, a kończą o 23.

Ale ja pytam o rozdzźwięk między deklaracjami i praktyką. Oraz o stronę etyczną. – Od początku uważałem, że należy się przyjrzeć przypadkom ewentualnego łamania prawa, które się mogły zdarzyć na granicy białoruskiej. I że należy podchodzić do uchodźców oraz migrantów zgodnie z europejskimi standardami. Natomiast nie mam ochoty tłumaczyć się z fuszerek jakichś ludzi, którzy przygotowali kompromitującą konferencję.

Nie chodzi o jedną konferencję, tylko o całą politykę rządu PiS, który straszył ludzi falą młodych muzułmanów pragnących gwał-

cić polskie kobiety, i szeroko otwierał drzwi dla pracowników z krajów islamu. – Tak, to do siebie kompletnie nie pasowało, co też odegrało rolę podczas wyborów i kampanii wyborczej. Ludzie dostrzegli sprzeczność. Bycie politykiem polega i na tym, że jak się zabrniesz za mocno w jakiś przekaz, trudno się potem z niego wycofać. Co nie zmienia faktu, że sytuacja na granicy była bardzo, bardzo trudna. Trzeba było budować zaporę. Trzeba było powstrzymać działania Łukaszenki. Przecież teraz to samo robi choćby Finlandia, powstrzymując działania Rosji. Ale rzeczywiście nie trzeba było eskalować tej propagandy w takim nieludzkim kierunku.

Pan zna ministra Wawrzyka, któremu przypisano odpowiedzialność za aferę wizową. Rzeczywiście został omotany przez bliskiego współpracownika? – Odpowiedzialność za to, co się dzieje w każdej instytucji, ponosi szef – ja ponoszę odpowiedzialność za działalność mojego biura, a minister ponosi odpowiedzialność za podległe mu konsulaty. Ale znając profesora Wawrzyka, stan jego finansów, jego sposób bycia, otwartość, sposób współpracy, nic nie wskazuje, by był elementem struktury korupcyjnej. Natomiast w każdym systemie prędzej czy później pojawia się jakaś obrotna osoba, która próbuje się utuczyć na styku państwa i różnych mechanizmów rzeczywistości, więc ten rząd też nie był od tego wolny. Pojawił się młody, przedsiębiorczy człowiek, który próbował wykorzystać walutę, którą miał, czyli dostęp do wiceministra, i często sprzedawał wizy osobom, które do niego się zgłaszały. Więc tak, bronię profesora Wawrzyka. Resztę niech wyjaśni prokuratura.

To pan się nie zorientował, że coś się dzieje z tego? – Systemowo – nie. Ale widziałem, że coś się dzieje z prof. Wawrzykiem. On przez kilka poprzedzających dymsię miesięcy sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego, wypalonego. Zrzuciłem to na jakieś nieznanne mi kwestie polityczne i śmierć jego matki. A on już pewnie wiedział, że ktoś wykorzystał jego zaufanie – bo przecież Edgara K. służby państwa namierzyły już późną wiosną.

Czyli pan, rzecznik, osoba odpowiedzialna za komunikację, a więc również rozbrojenie ewentualnego kryzysu, nie wiedział, że ten Edgar został zatrzymany. – Ja nawet nie wiedziałem o jego istnieniu, poza jedną anegdotyczną rozmową z moją wicedyrektorką, zawodową dyplomatką, która się dwukrotnie z nim zetknęła. Najpierw w Nowym Jorku, kiedy był na stażu w ONZ i nic nie robił, a potem, kiedy otwierała centrum wizowe w Kielcach i tam wpadła na tego chłopca, który zachowywał się jak król życia, sugerując, że jest niezwykle ważny w kręgu pana ministra Wawrzyka. Przez lata przyzwyczaiłem się do obecności takich młodych, robiących szybką karierę asystentów posłów, więc doszedłem do wniosku, że to jeden z nich, ot, zło konieczne, potem jedni przemijają, inni sami zostają posłami czy urzędnikami i przestają być złem koniecznym.

Poważny problem również z drugim kluczowym sąsiadem.

Najpierw rząd stanął murem za Kijowem, obwołaliśmy się rzecznikiem Ukrainy na forum europejskim, natowskim, a potem PiS przstraszył się, że Konfederacja odbierze szowinistyczny elektorat i zaczął psuć relacje. Z sąsiadem, który teraz walczy o życie z wrogiem Zachodu, a więc i Polski, zaś w przyszłości ma szansę stać się europejską potęgą. A pan brał w tym zwrocie udział – antyukraińskich gestów obóz władzy wykonał wiele, ale pańskie słowa, że prezydent Zełenski powinien przeprosić za Wołyń, były wśród tych rezonujących szerokim echem. – Kolejna narracja, w której stawia pani tezę, że Polska za wszystko ponosi odpowiedzialność. A Polska wywalczyła dla Ukrainy status kandydata do UE, przyjęła miliony uchodźców i dała broń z własnych arsenałów. Podtrzymuję opinię, że Ukraina powinna w sprawie pamięci historycznej zrobić więcej. Jako człowiek, który zajmuje się kwestiami ukraińskimi i sam pochodzi z pogranicza, nigdy nie uważałem, że należy mówić wyłącznie o sprawach dobrych, a nie zajmować się złymi. To tak jakby w 2001 roku ktoś stwierdził, że Polska ma za trzy lata przystąpić do Unii, więc na wszelki wypadek nie zajmijmy się Jedwabnem, bo po co ruszać trudne kwestie, które mogą nam popsuć wizerunek. Nigdy w dziejach przesadne brązowanie historii nikomu w perspektywie dłuższej nie służyło.

Przecież propozycja szczerej rozmowy nie zmienia całościowego obrazu dobrych stosunków polsko-ukraińskich oraz nie przekreśla gigantycznej pomocy, którą Polska Ukrainie wyświadczyła jako naród, społeczeństwo i państwo. A że w końcu w polsko-ukraińskich stosunkach było tak dobrze jak nigdy wcześniej, pomyślałem, że to okazja, żeby dla wspólnego dobra wspomnieć o problemach, które mogą się pojawić, i o potrzebie ich rozbrojenia. Bo byłem przekonany, że problemy się pojawiają, skoro po stronie ukraińskiej brakuje zrozumienia, jaką wagę mają sporne kwestie w ich optyce nieistotne dla Polaków, a z kolei w Polsce już przybywa ataków na ukraińską niewdzięczność – i chyba miałem rację, o czym świadczy ostatnia blokada granicy.

***Łukasz Maciej Jasina**

• ur. w 1980 r., historyk, dziennikarz, analityk, w latach 2021-23 rzecznik MSZ. Zawieszony wiosną za stwierdzenie, że prezydent Zełenski powinien „przeprosić za Wołyń”, odwołany po tym, jak tuż przed wyborami przyznał, że nie wszystkie komisje wyborcze za granicą są przygotowane i niektóre mogą nie policzyć głosów w terminie. Pracował naukowo w lubelskim Instytucie Europy Środkowo-Wschodniej, Muzeum Historii Polski, Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych i na KUL. Jako autor i redaktor był związany z „Kulturą Liberalną”, „Res Publicą Nową”, „Newsweek Historia”, „Nową Europą Wschodnią”, „Teologią Polityczną”, TVP Kultura i radiową Trójką.

Smoleńsk, rozliczenia afer, kulisy MSZ – cała rozmowa na **Wyborcza.pl/magazyn**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

POŻEGNANIE Z PIOTRUSIEM PANEM

Jak mówi mój bohater,
Jan Paweł Adamczewski,
nic tak nie boli jak zawód tobą
– wypisany na twarzy
twojego dziecka



*Bartłomiej Topa

• aktor filmowy i teatralny, producent filmowy. Absolwent PWSFTviT w Łodzi. Zagrał w nominowanej do Złotych Lwów koprodukcji francusko-polskiej Łukasza Karwowskiego „Listopad”. Szczególnie mocno związany zawodowo z Wojciechem Smarzowskim, u którego zagrał w „Weselu”, „Domu złym”, „Drogówce” i „Klerze”. Ma na swoim koncie wiele innych tytułów fabularnych, m.in. „Miasto”, „Karbale”, „Planetę singli. Osiem historii” czy „Żeby nie było śladów”. Znany również z brawurowych ról serialowych („Powrót” w reż. Adriana Panka, „Król” w reż. Jana P. Matuszyńskiego, „Pod powierzchnią” w reż. Bartosza Konopki i Borysa Lankosza czy „Wataha” w reż. Kasi Adamik). Można go także zobaczyć na deskach Teatru 6. Piętro w spektaklu „Niezwyciężony”, w „Dobrze się kłamię” i „Ludziach inteligentnych” w Teatrze Mała Warszawa oraz w spektaklu impresaryjnym „Kolacja dla głupca” w całej Polsce. Swoją najnowszą rolę szlachcica Jana Pawła Adamczewskiego w serialu satyrycznym „1670” Netflixa przełamuje schematy i nadaje nowy wymiar polskiej komedii.

Z BARTŁOMIEJEM TOPĄ*
ROZMAWIA AGA KOZAK

Chcę z tobą jako aktorem – czyli osobą pracującą na co dzień między innymi swoim ego – poruszyć temat ego męskiego, zwłaszcza że bohater „1670”, serialu komediowego, który właśnie miał premierę w Netflixie, szlachcic Jan Paweł Adamczewski, w którego się wcielasz, a który chce zostać „najsłynniejszym Janem Pawłem w historii Polski”, to ego ma nie tyle wielkie, co... chwiejne.

– O ego moglibyśmy mówić i mówić... I o takim aktorskim ego, ale może lepiej pogadajmy właśnie o takim ego serialowego Adamczewskiego, które wymaga, domaga się czy wręcz krzyczy o uznanie i miłość. Możemy też pogadać o cudzych lub naszych własnych ego, które, kiedy są, jak to pięknie określiłaś, „chwiejne”, bywają ekstremalnie wrażliwe i czujne: głównie na projektowany przez to ego wieczny brak szacunku do męskości, narodu czy innych wartości, za którymi ta potrzeba uznania się kryje.

Twój bohater pokazuje to przerysowanie i karykaturalność, ale przecież wokoło faktycznie mamy mnóstwo osób i instytucji ciągle wymagających holdu – niekoniecznie tylko pruskiego – mimo zmieniających się czasów moresu, szacunku...

– Wiesz, na jakimś poziomie – i jest to zdrowe! – każdy z nas chyba wymaga, oczekuje szacunku od innych: od najbliższych, partnerów, dzieci, sąsiadów, znajomych, przyjaciół. Jednak mój bohater – przez to superkomiczny – czyli Jan Paweł Adamczewski, ma to ego gargantuiczne, rozbuchane. I ono z jednej strony wymaga pokłonów, ale z drugiej – przynosi tę przedziwną melancholię: w odmęcie samotności, smutku i braku akceptacji Jan Paweł patrzy na swój majątek – czyli „mniejszą połowę wsi” – i z nostalgią wspomina czasy szlacheckiej wielkości. Bo po prostu nie potrafi pogodzić się z pewnymi zmianami, które czy tego chce, czy nie, zachodzą w jego świecie.

Nie podobają mu się zmiany. „Przed Szwedami”, kiedy niejedno pole gołymi rękami zaorał, było lepiej.

– Jan Paweł z jednej strony patrzy z miłością na swoje dzieci, z których każde jest zapowiedzią lepszej przyszłości dla jego rodu. Z drugiej strony chciałby, żeby wszystko pozostało tak, jak „zawsze” było. Znajome, prawda? Ale też jest szalenie ludzki, bo działa nie tylko dla zaspokojenia swojego ego, ale też po to, żeby zwyczajnie zyskać podziw w oczach swoich dzieci. „Nic tak nie boli jak zawód tobą wypisany na twarz twojego dziecka” – mówi w pewnym momencie.

Jak patrzę na swojego ojca i innych tatuśców, to im bardziej się starają ten szacunek pozyskać, tym gorzej im to wychodzi i tym większą złość wzbudzają.

– Bo to trąci jakąś taką satyrą, gdy tak strasznie się staramy i chcemy czegoś na siłę. Nie dopuszczamy wtedy perspektywy innych – wspólczesnej wiedzy, postępowej myśli. Moja serialowa córka Aniela o ojcu mówi: „tata ma dobre serce, ale mentalnie jest jeszcze w średniowieczu”. To tekst, który definiuje Jana Pawła, ale też może odnosić się współcześnie do nieaktualizujących się postaw. Nie była to łatwa postać do zbudowania, bo przecież nie chcieliśmy, żeby był ostatnim zbudkiem, bo nikt by nie chciał się z nim identyfikować. Dałem mu więc uśmiech, rodzaj totalnej naiwności, która go na jakimś poziomie usprawiedliwia. A w ogóle to na samym początku oświadczyłem, że go nie zagram.

Naprawdę? A wygląda na to, że świetnie się kreując tę rolę, bawiłeś!

– Początkowo uznałem, że nie ma takiego potencjału w nas, Polakach, żebyśmy scenariusz zrealizowali na takim poziomie abstrakcji i satyry, jaki według mnie był potrzebny. Że nie poradzimy sobie z bardzo potrzebną temu serialowi swadą na spotkanie się z naszymi kompleksami, przywarami, naszymi emblematycznymi cechami, stereotypami i na zdzierzenie ich z trudną rzeczywistością historycz-



FOT. ROBERT PAŁKA

ną, historycznymi realiami, których notabene nie ma tam za wiele – XVII wiek to raczej tło serialu i jak wszystko w „1670” stanowi obiekt żartów i część konwencji komediowej.

Historycy mówią, że barok musiał być tak przepyszny, tak złoty, żeby tą pychą i złotem pokryć wszystko to, co działo się ówczesnie – a działo się strasznie: wojny, głód, załamanie klimatu. „Zastaw się, a postaw się” działało jak i teraz...

– ...choćby Instagram: teraz mamy to samo: złoto, puder, filtry przykrywają twógę, smutek i głupotę ludzką. Bo nie chcemy widzieć tego, że nasze dzisiejsze czasy – choć spokojniejsze – też są okrutne. A w związku z tym nie zwracamy uwagi na to, co jest istotne. Bo jako ludzkość nie lubimy wyciągać wniosków.

Chodzi ci o to, że nie uczymy się z historii?

– Gdybyśmy się uczyli, gdybyśmy się nauczyli z II wojny światowej, Holocaustu, to może inaczej byśmy postępowali, co? My z głupoty – głównie my, faceci – robimy straszne rzeczy. Jak w pewnym momencie mówi mój bohater – robimy z siebie idiotów dla was, kobiet. A wy, po pierwsze, tego nie chcecie, po drugie, z historii, zdarzeń wyciągacie wnioski i mówicie: „Nie, tak nie będzie! Będzie inaczej”. I na przykład wychodzicie z parasolkami na ulice. I to jest cudowne. Jest nadzieja.

Aniela – wspaniała nasza polska odmiana Enoli Holmes – mówi w serialu do ojca, który o swojej racji chce decydować w pojedynku, nie wiedząc, jak inaczej ma udowodnić, że mam słusność: „Nie rozumiesz, że odwołujesz się do toksycznego wzorca, który jest tylko źródłem bólu dla kolejnych mężczyzn? Życie w ciągłym napięciu i nie potraficie zbudować zdrowej relacji z innymi mężczyznami, bo cały czas kryjecie się pod skorupą z tej waszej beznadziejnej dumy!”. Jan Paweł to studium dziada, prawda?

– Dziękuję bardzo, nie wezmę tego do siebie! Ale oczywiście masz rację. Talent scenarzysty Kubu Rużyłły i reżyserów – Maćka Buchwalda i Kordiana Kądzeli – pozwolił im genialnie, autokrytycznie sportretować nie tylko aktualny świat, ale też zagubione, rozproszone tożsamości: pokrywanie cebuli złotem. To, gdzie liczy się moje na wierzchu, i całą kulturę librum veto. Nasze kompleksy i przywary, które mają odzwierciedlenie również w polityce...

...ja panu nie przerywałem!

– Nasza rodzima bezrefleksyjna nonszalanckość aż się w „1670” wylewa z ekranu, tak jak wylewała się codziennie przez ostatnie lata. Mam wrażenie, że gdyby ten serial pojawił się przed wyborami, mógłby wzbudzić ciekawą dyskusję. Bo mamy tu lustro dla takich cech, na które warto czasem spojrzeć z dystansem, zamiast obudowywać się w swojej fortecy nieomyślności.

Wróć jeszcze to tego ego męskiego, bardzo wrażliwego...

– Ta bibułka faktycznie jest delikatna. Moje męskie czy aktorskie ego reguluje nieustanna z nim rozmowa i chyba najbardziej wstawanie o 7 rano do dzieci, żeby przygotować im kakalko. Bo to właśnie ten facet od robienia kakalki to jestem ten ja, który tworzy jakieś wartości. One są weryfikowane przez

„1670” – to komedio-
wy serial Netflix w reżyserii Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzeli, który w przewrotny sposób opowiada o losach szlacheckiego rodu Adamczewskich i mieszkańców należącej do rodziny wsi. Główny bohater Jan Paweł Adamczewski jest głową szlacheckiej rodziny i marzy o zapisaniu się na kartach historii Polski – najpotężniejszego państwa na świecie. Pasma jego życiowych sukcesów pozwala myśleć, że jest na dobrej drodze. W końcu wszystko, co ma, odziedziczył sam, a całą resztę osiągnął ciężką pracą własnych chłopów. Jego ambitne plany zakłóca jednak nielatwa codzienność właściciela ziemskiego: na sejmiku znów trzeba zawetować pomysł podniesienia podatków, nieprzekonani do teorii skapywania chłopów tracą motywację do pracy, córka sprzeciwia się wydaniu za syna magnata, a podstępny sąsiad Andrzej knuje, jak zebrać większe pło-

otoczenie, was, kobiety, rzeczywistość, przez różne dramatyczne lub codzienne wydarzenia. I ta odpowiedzialność, że weryfikuję się jako mężczyzna, przez np. ojcostwo – to mi się szalenie podoba. Bo wiesz, my, mężczyźni, naprawdę jesteśmy zagubieni, nie ma dla nas żadnych wskazówek, a jeśli są, to czasami się wykluczają. Jesteśmy więc ciągle niepewni siebie. I ja też – jak wychodzi ze mnie taki „facet” – nagle chcę walczyć. Jako faceci nagle jakimś ostatkiem sił chcemy pokazać, że mamy mięśnie, pięści, że możemy komuś przywalić, że nam się nie podoba, że nam ktoś zagrabiał trzy ziemniaki z piwnicy. W „1670” to wszystko jest: „większa połowa wsi”, pojedynek na kutas, czyli chwosty... I to, że trzeba kogoś zabić, żeby udowodnić swoją rację. W tej scenie, którą przywołałaś cytatem o toksycznym wzorcu, Aniela naprawdę świetnie mówi o męskości. I ta scena jest piękna, bo ona wygłasza tak ważne zdania, a ojciec i brat mówią, że przestali słuchać, bo się na jej warkocz zagapili. Z braku uznania, szacunku i miłości robimy więc straszne głupoty, ale może wy też? Czy nie dlatego wiele kobiet chce na siłę zachować młodość? Z niepokojenia?

To trochę nasze „janopawlenie”. Też nie godzimy się z upływem czasu, ale wiesz, od nas także świat tego wymaga – żebyśmy byli ciągle piękne, młode.

– Tak, świat od was tego oczekuje. Te ciągle wymagania. Mam nadzieję, że to też już po-

woli się dezaktualizuje. Bo wystarczy na chwilę uciec od tego świata, który te wymagania stawia, by zdać sobie sprawę, że one nie stanowią o prawdziwej wartości człowieka. Jestem ze wsi i jakoś mnie chyba zdrowo ustawia to moje chłopsko-robotnicze pochodzenie – choć rodzice mi dali edukację, całą trójęce rodzeństwa możliwość skończenia szkoły muzycznej. Brat jest lutnikiem, siostra uczy w szkole wiejskiej. Pierwsze wartości, które przekazali nam rodzice, to ciekawość świata i wiesz, co jeszcze? To, że nie my jesteśmy najważniejsi – jako osoby i jako naród. Mój bohater Jan Paweł jakoś inaczej to pojmuję, uważa, że my, Polacy, zajmujemy świat. Te jego gesty są strasznie pompatyczne, on się sobą samym po prostu napawa i podnieca, choćby swą szlacheckością. W „1670” jest mnóstwo prostych, symbolicznych gestów, które dużo o nas mówią. Ten nasz mesjanizm, poczucie niższości i wyższości... Nasza odchodząca władza zresztą starała się te mity podtrzymać: na szczęście na takich wydmuszkach daleko się nie zajadzie.

Myślisz, że mamy aktualnie jakiś taki... modernizm?

– Może. Bo to, czego przez ostatnie osiem lat doświadczaliśmy – jak spojrzymy z szerszej perspektywy – wzbudzało skrajne emocje, wkur... nas, nie chcieliśmy się z tym zgodzić, było abominacyjne, a jednocześnie chyba czuliśmy, że zaraz się z tego urodzi coś fajnego. Ale słuchaj, o co chodzi teraz z tym, że ludzie oglądają w Kinotece obrady Sejmu? Czy to nie jest za bardzo wychylone wahadło zmiany?

Według mnie tak długo było wychylone w stronę potwornej seriozności, że teraz musimy mieć z tego coś rozrywkowego, przekuć ten balonik, ale też obejrzyć rozprawę ze złem na dużym ekranie – superbohaterowie rozwalają tych złych. Ale chyba u nas zawsze tak było, polityka tu to zawsze był spektakl.

– Dlatego myślę, że warto od czasu do czasu przypomnieć sobie o celu – ostatecznie chcemy, by władza skupiła się na zarządzaniu i uzdatnianiu pewnych procesów.

Może są procesy, których nie można uniknąć? A właśnie, à propos procesów, których nie można uniknąć – to chcę jeszcze wrócić do kakalki dla twoich dzieci. Dorosłość do roli ojca? Bo wielu mężczyzn tej roli nie ogarnia.

– Mam 56 lat i przez wiele lat byłem Piotrusiem Panem. I jeszcze czasem przeblyski tej niedojrzałości się pojawiają, na szczęście sobie z nimi radzę, a to dlatego, że zdecydowałem się w końcu wziąć na siebie odpowiedzialność. Myślę, że w ogóle każda decyzja – nawet o wstaniu z łóżka – już jest jakąś formą odpowiedzialności: bierzesz na siebie to, że trzeba coś z tym światem swoim wewnętrznym i zewnętrznym zrobić. Mierzysz się z tym na wielu poziomach: czy mam na to siły fizycznie? Czy mam siły intelektualne? Czy mam potencjał emocjonalny, żeby inspirować? – jeśli mówimy konkretnie o ojcostwie. Rodzice chcieliby jak najwięcej dzieciom dać, pokazać, nauczyć czegoś. Ale często w tym dążeniu umyka bliskość. Bo te istoty sobie poradzą, one znajdą swoją drogę bez męczących, wielogodzinnych, dodatkowych zajęć, ale nie bez bliskości. Mierzę się też z jakimś rodzajem samotności, zwątpienia i nieadekwatności... Znajomy, wybitny terapeuta, opowiadał, że to nic, że ma ileś poważanych certyfikatów: jego synowie i tak będą musieli się spotkać z mrokiem, z czymś, co im każe powiedzieć: „Nienawidzę cię, tato”, żeby mogli się od rodziców odkleić, żeby mogli stanąć na własnych nogach. Osobni. Samotni...

Strasznie poważna perspektywa.

– Oj daj spokój. Ale pewnie też taka kolej rzeczy...

Czy twój dwudziestojednoletni syn już ci powiedział, że masz spadać?

– Nie, bo gadam z nim i wiem, że popełniłem mnóstwo błędów ojcowskich – mnie po prostu przy nim nie było. Ale gdy rozmawiamy o tym, to on mówi: „Tata, to było kiedyś, dzi-

siaj jest to, co jest. Mamy siebie i możemy gadać, razem być”. I jak pisze, że mnie kocha, albo mówi: „Nie chcę innego ojca niż ty”, to się pojawia wzruszenie i siła. To jest fajne. Ale tu wzięcie odpowiedzialności za swoje postępowanie jest kluczem.

A czy wiesz, o co chodzi w roli ojca? Bo wielu mężczyzn jest zagubionych – uważają, że matkom jest „łatwiej”, bo im to przychodzi „naturalnie”. A do roli ojca instruktaze się zużyły, aktualizują się.
– Wiesz, jak tak patrzę na siebie, to widzę, że koniecznie chciałbym dziecku pokazać coś nowego, nieznanego, imponującego. A to nowe czasem nawet mi przecież sprawia dyskomfort.

Mówisz o takich chojrakujących ojcach? Co lepiej wiedzą? Jak Jan Paweł, „zanim się jeszcze urodziłeś, narzędziami kowalskimi zaorali niejedno pole”?
– Też tak chojrakuję czasami. Np. mam złudne poczucie, że wiem lepiej. Walę się wtedy w łeb i słucham mądrych kobiet w moim domu, a mam ich w domu pięć. Wspaniale to jest. Choć muszę przyznać, że są momenty, gdy w zderzeniu z ich emocjonalnością – a sam jestem bardzo emocjonalny – chciałbym się schować. Że za dużo jest dla mnie bodźców.

A masz na taką okazję jakąś swoją męską jaskinię, garaż, schronienie?
– Tak: wsiadam do auta i prowadzę przez dwie, trzy godziny. Ale mam też przestrzeń, gdzie mogę potrenować, zmęczyć się fizycznie, co jest bardzo ważne: garażopiwnicę, w której są rower, mata do ćwiczeń.

A kiedy prowadzisz auto przez parę godzin, to co robisz?
– Słucham muzyki, rozmawiam ze sobą: prowadzę dialog związany z bieżącymi sprawami. Co możesz zrobić, jak niczego nie możesz zrobić? Albo pytam siebie: „Jakie są moje ograniczenia mentalne”? (*dluga pauza*). Czy to jest ciekawe? Widzisz – chciałbym, żeby to było ciekawe. No ale to jest właśnie ta nasza duma, potrzeba miłości, zauważenia i szacunku. Chcę po prostu pokazać światu, że jestem ciekawy, że mam długie frędzle. Kutasa – tego serialowego, barokowego – dłuższego niż inni.

Może by wystarczyło, żebyś był? Jest taka scena w „1670” – która mnie rozwała – kiedy Jan Paweł po prostu słucha córki.
– I o tym właśnie mówię, jak mówię o byciu dla dzieci! W tej scenie następuje zresztą przemiana bohatera z tego dumnego, puszącego się, najsłynniejszego w XVII-wiecznej Polsce Jana Pawła w receptywnego ojca, człowieka „tu i teraz” obecnego.

A powiedz, ta odpowiedzialność to jest po prostu decyzja? Decyduję się na to i na to?
– Tak.

K...rewsko boli?
– W ch...j. I nie jesteś tego w stanie porównać do czego innego. Bardzo boli.

Jak mówisz o odpowiedzialności, to czy mówisz o takiej odpowiedzialności rodzicielskiej? Czy za swoje życie?
– Za swoje życie, za swoje. Bo dopiero jak pocujesz odpowiedzialność za swoje, to możesz czuć się odpowiedzialna za innych.

Myślę o tym, że dzieci niby rodzą się z miłości, a ja bym wołała, żeby się rodziły z odpowiedzialnej decyzji.
– Nasza decyzja z Gabrysią o dzieciach była odpowiedzialna. Dla mnie to było nowe, postąpiłem inaczej niż wcześniej. I to jest w jakiś sposób trudne, bo się tę decyzję, tę odpowiedzialność też czuje jako jakiś rodzaj obciążenia... Ale potem jak cię dziecko przytula, to ci się to wszystko rozplywa. Chyba nie zdaję sobie do końca sprawy z tego, że rodzicielstwo ma takie poważne konsekwencje.

Konsekwencje?
– Na wszelkich poziomach. Wiesz, nie wierzę w Boga, przynajmniej nie takiego w systemie ludzkiego umysłu. To, że wkładamy Boga w systemy, jest ogromną przeszkodą w doświadczaniu wielowymiarowości życia. Ale mam przekonanie, że całe spektrum doświadczania ma swój cel, rzeczy dzieją się po coś i są dla nas przypisane. Wierzę chyba też w to, że dzieci musiały się – nawet tak po darwinowsku – pojawić. I dzięki temu nawet w tej odpowiedzialności, konsekwencjach postępowania staram się znaleźć sens i frajdę. Z reguły znajduję.

Co czujesz, gdy patrzysz na swoje dzieci, na córki?
– Jestem non stop zachwycony. Patrzę, jak biegają, tańczą, mówią, na ich miny albo jak mnie „ignorują”. Trzy razy powtórzę: „Jagoda, Malina, włóżcie skarpety, bo zimno” – bo one ciągle chodzą boso. Mają zimne stopy, ale nie chcą skarpet włożyć. Co mam zrobić? No to finalnie nie wkładają... Na wiele rozwiązań próbuję je naprowadzić. Np. gdy mają długo pełne pamperaki, pytam: „Nie czujecie dyskomfortu?”. „Nie?” Okej, to zastanówcie się chwilę” i jak się zastanowią, poczekam trochę, to usłyszę „Juś!” i idą się przebrać. Jeśli dasz dzieciom przestrzeń, czas – to one wiedzą, co robić, wszystko rozumieją. I to jest fantastyczne. Czekam na taki moment – może za rok – że pojedziemy razem na narty. Ale tak sobie myślę teraz jeszcze o tym męskim ego, że jak jest uznanie dla faceta, jest dla niego szacunek, to on rozkwita, daje ci wtedy wszystko.

Tak samo jest w drugą stronę.
– Jestem o tym przekonany. Tylko która stro- na podejmie decyzję, żeby to zrobić?

Bo szacunek to też kwestia decyzji?
– Absolutnie.

To pogadajmy o miłości i odpowiedzialności. Zakochanie wydaje się łatwe – hormony, stan maniakałny, poszło. Ale to coś, co nazywamy miłością, też jest chyba świadomą decyzją, że nad czymś się będzie pracowało, weźmie

się za to odpowiedzialność. I to jest w ch...j trudne.
– W ch...j trudne! Tu chyba też kluczowe jest to, żeby się nawzajem naprawdę widzieć. I nie słuchać wybiórczo podszeptów o sobie: że kobiety takie, że mężczyźni tacy, oraz nie zapełniać sobie partnerem naszych braków, nie upychać go – czy jej – w puste miejsca po puzzlach życia lub przeszłości. Nie widzieć w tych osobach wybawicieli. Żeby samemu zapełniać te puste miejsca, by móc być dla tej drugiej strony pełnią. No i czuć wdzięczność. Gdy patrzę na zapełnioną publiczność w teatrze i wiem, że coś się zaraz zadzieje, że jesteśmy niesieni energią tych ludzi, to czuję takie ilości wdzięczności...

Wdzięczność – mówią mistrzowie duchowi – jest najprostszą drogą do miłości. Przede wszystkim tej do siebie.
– Tylko wiesz co, żeby to zauważyć, musisz wcześniej przerzucić pięć ton węgla. To jest wysilek. Przyznaję, że mnie szkoła aktorska emocjonalnie rozgrzebała – dopiero jeżdżąc potem na różne kursy do nauczycieli duchowych, psychologów i psychoterapeutów, zdałem sobie sprawę, czym są moje emocje, co jest we mnie i skąd. Dostałem narzędzia, które mi dają spokój. Między innymi tę przerekłamaną tak teraz wdzięczność.

Ale wygląda mi na to, że się martwisz o świat.
– Nie. Hm. To zależy. Ale generalnie uważam, że Ziemia sobie poradzi. Nie wiem, co z ludźmi, ale Ziemia sobie poradzi.

To co cię budzi wkurzonego w środku nocy?
– Głupota ludzka. Mam niezgodę na głupotę ludzką. Na to, że się nie uczymy z historii – tych osobistych i tych narodowych. Słuchałem ostatnio audycji o neokolonializmie i aż mną trzęsło – że to takie, wracając do serialu, „adamczychowe”. „Ja wiem lepiej”, mam rozwiązanie, powiem ci, jak ma być, zagarnę. A nie wysłucham, pobędę, poczuję. Będę się wtrącał, powiem, jak ma być. Strasznie głupie. Staram się tak córkom nie robić, choć czasem mi nie wychodzi, szczególnie wobec tych starszych.

Skoro wróciłeś do serialu, to nie mogę nie zapytać też o tę przestrzeń, którą dałeś komediowemu wymiarowi swojej postaci: wiesz, w Polsce często komedie są grane „na śmieszno”...
– ...a tak nie można. Wtedy jest „śmieszno na planie, ale smutek na ekranie”, więc grałem Jana Pawła na poważnie, bo ja go traktowałem poważnie. Zresztą to jest moja metoda – podobnie było w „Weselu” Wojtki Smarzowskiego – przecież ten film na jakimś poziomie jest szalenie śmieszny, choć wszystkie postacie są solenne, a absurd wynika z sytuacji. Nie z tego, że się starasz być śmieszny.

No dobrze, to może powiedz mi, jak się gra takie śmieszne rzeczy – bo przecież

„1670” na poziomie scenariusza i inscenizacji jest potwornie wręcz śmieszne – i daje radę być poważnym.
– To było dla mnie największe wyzwanie – „pę- kłem” dopiero w drugim czy trzecim tygodniu zdjęć. Zresztą przy scenie odzyskiwania Bogdana: jeden z jeńców ma na głowie worek i mówię, że przecież tam może być kot. Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem. Maciek – reżyser – powiedział wtedy: „No, nareszcie ci zeszło”. Napięcie faktycznie opadło. Pojawiła się przestrzeń na odpuszczenie.

Bo pracę tak poważnie traktujesz?
– Trochę tak. Ale jak było „luźniej”, to wtedy już mogłem się na planie bawić. Bo wiesz, jak patrzysz na fiskomikę Andrzeja Kłaka albo Dobromira Dymeckiego, to czasem naprawdę trudno jest grać, bo oni są tak cudownie śmieszni. A już wspomniana scena ładowania prochu do strzelb kosztowała mnie więcej stresu, bo się zaśmiewałem do łez, ale też miałem świadomość, że cała ekipa czeka, aż się ogarnę. To, że się świetnie bawię w takich momentach, nie ma znaczenia: wiedziałem, że muszę wziąć odpowiedzialność za siebie, bo przecież bywałem też producentem i taki aktor w ataku śmiechu to są po prostu pieniądze! Ale tak, to był strasznie zabawny plan: wszyscy się śmiali. Ale też mnóstwo mieliśmy śmiechu wewnętrznego, takiego jak w „Afterlife”, że bardziej podziwiasz, jakie coś jest śmieszne, geniusz scenariusza czy reżyserii, niż się śmiesz naprawdę.

W wielu scenach leci wam para z ust: zimno, błoto – to wszystko było prawdziwe?
– Wszystko. Na dokumentacji było zielono, a potem wszystko się w skansenie w Kolbuszowej, gdzie kręciliśmy, zrobiło naprawdę „prawdziwe”. Błoto, zimno. Jak mówi mój bohater, „normalnie tu jest pięknie – od czerwca do września”. I my w tych wspaniałych kostiumach i scenografii, z tymi absurdalnymi tekstami, w tym bloku... Mam nadzieję, że te teksty spuszczą trochę powietrza z naszego napompowanego balona narodowego.

Masz wrażenie, że to serial terapeutyczny? Że to terapia śmiechem? Z siebie?
– Może być. Jeśli zobaczy parę osób i spuści im faktycznie to powietrze z napuszenia, to może!

I co, nie popełnimy drugi raz tych samych błędów?
– No... nie mam takiej pewności. Największy ból ludzkości to ten – powtórzę raz jeszcze – że nie uczymy się na błędach, szybko zapominamy.

A może – jak już trochę zasugerowałeś – coś zmienią kobiety? Albo kobiecość – żeby nie rozróżniać na płcie, tylko mówić o wartościach?
– Męskie scenariusze się w końcu wypstrykają, jak wy zaczniecie sięgać po swoje miejsce i moc. Myślę też, że ta równowaga jest bliska, że się dzieje: pojawia się przestrzeń na łagodność, wrażliwość, sensualność, empatię i zrozumienie. ●

Klub ■ wyborcza.pl

Demokraci
wygrali.

Podsumowanie
roku w polityce



Spotkanie online

Wtorek,
19 grudnia,
godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej”
na [Wyborcza.pl/prenumerata](https://wyborcza.pl/prenumerata)

Sejm taki jak my

Polacy wysoko stawiają poprzeczkę swoim politykom.
W skali od zera do dziesięciu chcieliby od razu dziesięć. I pół

Parys

Gdy obserwuję to, co dzieje się w Sejmie, nachodzi mnie myśl, że jesteśmy świadkami tego, jak w chwili transformacji obnażają się główni aktorzy. W chwilach historycznego przesilenia i fundamentalnych zmian wszystkie zalety i wady poszczególnych ugrupowań osiągną jakiś inny wymiar.

Napięcia uzewnętrzniają w przegranych i wygranych straszną prawdę. Opadają maski, widzimy teatr za kulisami. Emocje sięgają szczytu. Emocje nie kłamią. Agresywni stają się jeszcze bardziej agresywni, najspokojniejszym puszczają nerwy. Szlachetni milczą. Szaleńcy sięgają do gaśnic.

Widzą cię. Obrady Sejmu ogląda kilka milionów ludzi, BBC znalazło już nazwę dla tego fenomenu: Sejmflix, i obecnie nie ma na świecie drugiego parlamentu, który cieszyłby się większą popularnością. Kamery pokazują wszystkich. Wychwyca wszystko. Nikt się nie ukryje. Obserwowani przyzwyczajają się do kamer i po wielu tygodniach zachowują się, jakby operatorów nie było.

Czterystu sześćdziesięciu posłów na żywo – reality show wszech czasów. Prawie sześćset tysięcy abonamentów na YouTube – Bundestag ma sto dwadzieścia cztery tysiące – ponad cztery milionów wyświetleń jednego z najdłuższych exposé w historii III RP, miliony widzów przed telewizorami, miliony słuchaczy podcastów, zapelnione kinoteki. To się dzieje naprawdę: widzowie siedzą w sali kinowej z popcornem i oglądają... Sejm.

Analizowane jest wszystko, układ dłoni, przekrzywiony krawat, rechot, zaciśnięte pięści. Czy prezydent śpiewał hymn? Czy to łupież na kołnierzu? Tusk pokazuje Nowackiej coś na komórcę? Wyrywa jej komórkę? Dlaczego? W Sejmie nikt nie ziewa, chyba że przemawia (były) premier Morawiecki. Oto na przykład prezes Kaczyński już nie opuszcza Sejmu, kiedy przemawia premier Tusk, prezes jest czujny i jak nigdy wcześniej częściej obecny niż nieobecny. „Nie wiem, czy wiesz – zwraca się do gościa w studiu telewizyjnym komentator – poseł ten i ten kiedyś uczył w szkole podstawowej. A to jest była żona posła Iksińskiego”. Mój syn, słysząc to z pokoju obok, pyta, czy to transmisja meczu piłkarskiego. Ma prawo tego nie rozumieć (choć mówi po polsku). Urodził się w Niemczech.

Co tu się dzieje? Demokracja. Naród ogląda demokrację. Na oczach Polski dzieje się demokracja. Dojrzeła. Eksploduje. Pączkuje! Proszę wpisać, co komu pasuje...

Tak wygląda droga (przez mękę) do demokracji. Pyskówki, przepychanki, manipulacje. Wszystkie przejawy ludzkich niedoskonałości, wreszcie wybory, głosowanie. Akceptacja woli narodu. Zaprzysiężenie. Tak właśnie to wygląda. Niekończąca się wyboista droga. I ma prawo nie podobać się wynik przegranych. I nie ma prawa dziwić to przegranych.

Może nam się nie podobać sposób, w jaki się to odbywa, ale to, że coś się nie podoba, to też należy do demokracji. Brak klasy politycznej też mieści się w jej szerokich ramach. Padają wyzwiska, pomówienia i kłamstwa. Tę kwestię oceni zbiorowy mechanizm – naród – który wychwyci wszystko. I jakoś tak się dzieje w Polsce, że kiedy demo-

kracja chyli się ku upadkowi, naród wybiera pod koniec zawsze demokrację.

Chór polski. Wiele można powiedzieć o Polakach. Na przykład, że wysoko stawiają poprzeczkę swoim politykom. Chcieliby od razu stać się najwyższej klasy Rzeczpospolitą, w skali od zera do dziesięciu chcieliby od razu dziesięć. I pół. Jedni chcieliby, aby ich politycy byli ponadprzeciętni jak Marian Turski; nad wyraz mądrzy i nad wyraz przyzwoici. Inni, żeby politycy byli surowymi trybunami, Herkulesami Rzeczypospolitej. Jeszcze inni, żeby zapanowała wieczna zgoda. Wszystkich łączy jedno, chcieliby widzieć na sali udoskonalone wersje samych siebie. A tu nic, czterystu sześćdziesięciu posłów odzwierciedla ich samych, nierzadko w karykaturze.

Naród w Sejmie ogląda w pigułce siebie. Weźmy takiego Nowaka, który lubi przesadzać i z natury jest trochę histerykiem. Dał jeszcze raz szansę PiS, włączył TVP i za chwilę usłyszy posła Błaszczaka: „koalicja chaosu, koalicja chaosu, koalicja chaosu i chaos koalicji, a winę za deszcz, za zimę, za typa z gaśnicą ponosi Hołownia”. Czy to się Nowakowi jeszcze podoba? Wystarczy, że sam siebie ogląda w lustrze. Choć zawsze to jakaś zmiana, przynajmniej już nie wina Tuska. Może ziewnie, może jeszcze nie. Ale inny Nowak już się znużył. Przesada zawsze osłabia. Co odzwierciedla wynik wyborów.

To, że się różnimy, że wytrzymujemy siebie nawzajem, jest demokracją. **Faszyści. Hitlerowcy.** Kto oczekuje wiele, a niewiele dostaje, jest rozczarowany i ma prawo być niezadowolony. Samych siebie najsurowiej oceniają sami zainteresowani: Polacy. Ale ja się z tego polskiego chóru wyłamuję. Mogę mówić swoim głosem, stoję z boku, obserwuję to wszystko z Berlina i nic na to nie poradzę, przepraszam wszystkich Polaków, widzę w Polsce demokrację.

Posługując się logiką prezesa Kaczyńskiego, nie mam do tej obserwacji prawa, bo urodziłam się w Gdańsku i zamieszkałam w Berlinie, w dodatku moi pradziadkowie to kolejarze. Jestem więc chyba niemiecką agentką, a nawet gorzej, bo brat dziadka ożenił się z niejaką Brygidą, która w dzieciństwie mówiła tylko po niemiecku. Ja sama urodziłam się w Gdańsku w tym samym budynku na ul. Klinicznej (wcześniej Schellmühler Weg 1) co Günter Grass i mieszkalam rzut beretem od kamienicy, w której się wychowałam. I najstraszniejsze na koniec: od trzynastego roku życia uczęszczałam do niemieckich szkół w Berlinie (wtedy Zachodnim) i studiowałam na niemieckim uniwersytecie. Mam męża Niemca i moja córka jest w połowie Niemką. Pradziadka mojej córki, berlińczyka, wcielono do Wehrmachtu, a drugi pradiadek był w Luftwaffe spadochroniarzem i siedział w niewoli we Włoszech.

Myślę, że jak się to wszystko zsumuje, rozbiłam bank i jestem nazistką, żeby nie powiedzieć hitlerową. Nic mi nie pomogą polscy pradiadkowie kolejarze, nic a nic nie pomoże, że drugiego dziadka zameczyło prawie na śmierć gestapo ani fakt, że innemu dziadkowi podczas kampanii wrześniowej Niemiec zadał cios bagnetem od ramienia po szyję. Wciąż nie rozumiem, skąd Niemiec wystraszył bagnet w 1939 roku. Muszę się pogodzić, że na analizę złożonych historii obu od początku

swojego istnienia sąsiadujących ze sobą narodów w PiS nikt nie ma czasu.

Ale chociaż nie mają czasu, to mnie żyjącej w Niemczech chętnie opowiedzą, jak się w Niemczech żyje, że tu strzelają, mordują, gwałcą, że w szkołach uczą niedopuszczalnych rzeczy i że z Berlina wysłali Tuska do Warszawy (wysłali go też z Moskwy, a zatem podwójny agent). I nie ma znaczenia, że wielu członków PiS Niemiec nigdy nie odwiedziło, chyba że przelotem samolotem do Brukseli. PiS nie lubi zwiedzać wrogich krajów.

W tym miejscu powinienam jednak sprostować, bo na przykład Krystyna Pawłowicz zwiedzała Berlin i przekazała wiedzę o tym mieście swym sympatykom w 2021 roku, informując, że Reichstag nazywa się wciąż Reichstag, jak za Hitlera. Opatrzyła zdjęcie znakiem wiktorii. Myślę, że to dlatego, że jakimś cudem przeżyła ten pobyt. Bo to wiadomo? Co w Germanii się Polakowi przydarzyć może? I co z tego, że nazwa Reichstag istniała za Republiki Weimarskiej i za cesarza? I co z tego, że Berlin za czasów Hitlera też nazywał się Berlin? Nic z tego. Hitler zawsze działa. A Reichstag to Reichstag. Niektórzy starsi wyborcy PiS, którzy nie podróżują tak często jak pani Pawłowicz, pamiętają NRD. Byli tam na wycieczce w 1983 roku, więc wiedzą, co i jak.

Superstar. Jeszcze tylko wspomnę, że nazwisko Kaczyński jest znane w Niemczech bardziej od nazwiska Tuska. A jak tylko na chwilę o Kaczyńskim zapomną, to wybucha afery na przykład dewizowa i już Kaczyński jest znowu obecny we wszystkich niemieckojęzycznych mediach. Myślę, że spełniło się wieloletnie marzenie prezesa, żeby wyjść wreszcie z cienia noblisty Lecha Wałęsy. Po Wałęsie jest dziś Kaczyński najbardziej rozpoznawalnym Polakiem w Europie. Nawet nie wiem, czy nie popularniejszym. Zyskać popularność na Zachodzie, pochodząc ze Wschodu, to jest naprawdę nie lada osiągnięcie. Gratulacje!

Odbiegłam od demokracji. Już wracam. Czy nam się to podoba, czy nie, ocenić można coś na zasadzie porównań. Stwierdzić, czy coś jest dobre, złe lub wymaga ulepszeń, można tylko, kiedy się to coś do czegoś odniesie i zestawi w rankingu z czymś innym. Czy jestem dobrą tenisistką, dowiem się dopiero, kiedy zagram z kimś innym. Czy moje miasto jest naprawdę czyste, stwierdzić będę mogła dopiero, kiedy odwiedzę inne miasta, na przykład Wiedeń. Czy w Warszawie rzeczywiście jeździ wielu rowerzystów, stwierdzą, kiedy pojedą do Amsterdamu i tak dalej. Może dlatego członkowie PiS wolą nie jeździć, chyba że czasem pod Reichstag potępić Reichstag. Potrzebujemy porównań, to nas napędza, sprawia, że się rozwijamy lub rezygnujemy.

Czy demokrację można porównać, stworzyć dla niej ranking? Nie wiem, ale wiem, że jeśli kraj raz skróci w stronę populistycznej prawicy, zazwyczaj stamtąd nie wraca. Chyba że w wyniku krwawych zamieszek lub wojny. I wiem, że Polsce się jeszcze raz udało. I dlatego chyłę czoła przed demokracją w Polsce. Nikt nie wie, co będzie jutro, ale teraz przez chwilę jest teraz.

Trochę historii. Nie ma państw na świecie, w których demokracja zadziała się tak po prostu od razu i była. Prawie zawsze poprzedzały ją wydarzenia

tragiczne, w Niemczech: niespotykana w dziejach katastrofa, którą naród ściągnął najpierw na siebie, wybierając Hitlera na wodza, a potem przez ten wybór ściągając kataklizm na cały świat.

Po doświadczeniu dyktatury NSDAP, po wojnie i klęsce, po okresie, w którym debatowano, czy państwo niemieckie ma prawo w ogóle jeszcze istnieć, po podzieleniu Niemiec na cztery strefy okupacyjne w biedzie, głodzie, chaosie i potępieniu rodziła się w Niemczech demokracja.

Rodziła się w kraju, w którym większość mężczyzn przeżywała w niewoli lub zginęła na wojnie. Ci, co zostali, za wszelką cenę próbowali udowodnić, że nie należeli do NSDAP. Zawsze mnie zastanawia, że historia wciąż odkrywa nowych, którym udało się zataić tyle zł. Beczka bez dna. A jednak gdyby wtedy z nich wszystkich zrezygnować, trzeba byłoby wybudować Niemcy bez Niemców. Jak to zrobić? Wywieźć ich? Dokąd? Temat na wiele książek.

Miasta odbudowywały początkowo głównie kobiety i nie bez powodu opisuję ten wątek z perspektywy Niemiec. I świadomie pomijam wątek Polski. Chciałabym przedstawić to krótko od tej strony, bo w Polsce jest nieznaną. Nie dziwię się, że nikt nie chce jej znać. Że wciąż nie sposób słuchać o biedzie i głodzie powojennego Niemca, skoro Niemcy wymordowali w Polsce miliony, a po wojnie ci, co przeżyli, byli też głodni przecież nie z własnej winy.

Ale rzecz się ma o demokracji. Osiemdziesiąt lat po wojnie demokracja w Niemczech wciąż się trzyma. Raz lepiej, raz gorzej z nią, lecz wciąż jest. Padają wokół demokratyczne rządy, świat się pali, a w Niemczech mimo wszystkich wstrząsów i mimo niebezpiecznie rosnącej w siłę AfD wciąż jednak pluralizm.

Czarne plansze. Działy się jednak w Niemczech po wojnie straszne rzeczy, porywano polityków, zabijano, ostatni Walter Lübcke zginął od strzału w głowę z rąk prawicowego ekstremisty w 2019 roku.

Bywało, że poważnie zagrożona była wolność prasy. W 1962 roku, siedemnaście lat po wojnie, minister spraw wewnętrznych Franz Josef Strauss aresztował dziennikarzy „Spiegla” i naczelnego „Spiegla” – słynnego Rudolfa Augsteina. Wydawca i jego dziennikarze narazili się ministrowi, publikując artykuł, który ujawniał tan Bundeswehry. Wynikało z niego, że Republika Federalna Niemiec nie byłaby w stanie obronić się przed inwazją Układu Warszawskiego.

Działania ministra doprowadziły do protestów społeczeństwa i pozostałej prasy, która obawiała się ataku na wolność słowa. W efekcie zdymisjonowano dwóch sekretarzy stanu, a Strauss musiał ustąpić z gabinetu kanclerza Adenauera. Wygrało społeczeństwo. Ten moment jest dziś postrzegany jako wzmocnienie wolności prasy, a cała afery „Spiegla” jako największy wewnętrzny kryzys polityczny w historii niemieckiej demokracji. Wygrał pluralizm. Wychodzi na to, że sytuacje krytyczne wzmacniają demokrację.

Myślę o doświadczeniach Polski z ośmiu lat. O czarnych planszach wszystkich stacji poza reżimową TVP. I dochodzę do wniosku, że trzeba bardzo głęboko doświadczyć naród, żeby przegrać. Co dotyczy nie tylko tej odchodzącej władzy. ●



„Tunel”, „Magik” i „Książę” – kryminały historyczno-polityczne Magdaleny Parys – na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl

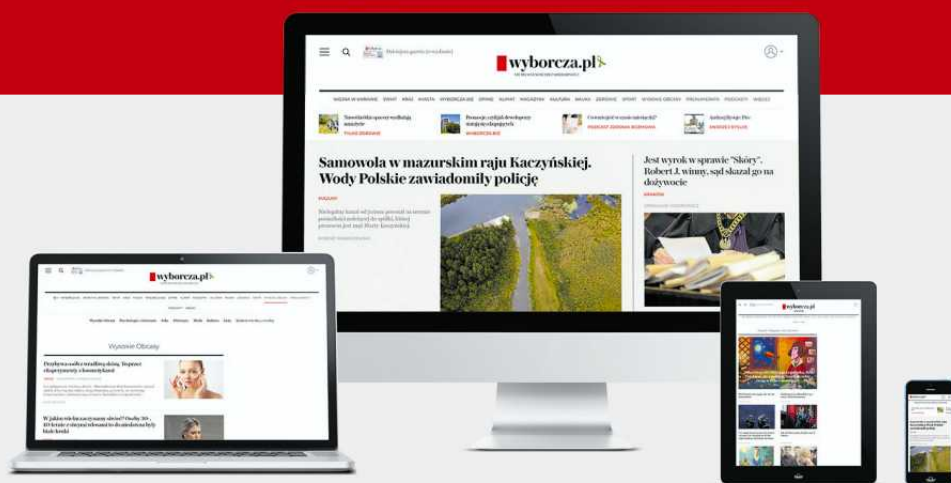
DO 20 GRUDNIA ZAMÓW PRENUMERATĘ TECZKOWĄ NA STYCZEŃ 2024
- W KIOSKU LUB INNYM PUNKCIE SPRZEDAŻY

KUP PRENUMERATĘ TECZKOWĄ

I ODBIERZ DOSTĘP
DO WYBORCZA.PL*

CENA
159,90 zł
**GWARANCJA
NAJNIŻSZEJ
CENY****

CODZIENNIE



**W STYCZNIU KSIĄŻKA
W PREZENCIE*****

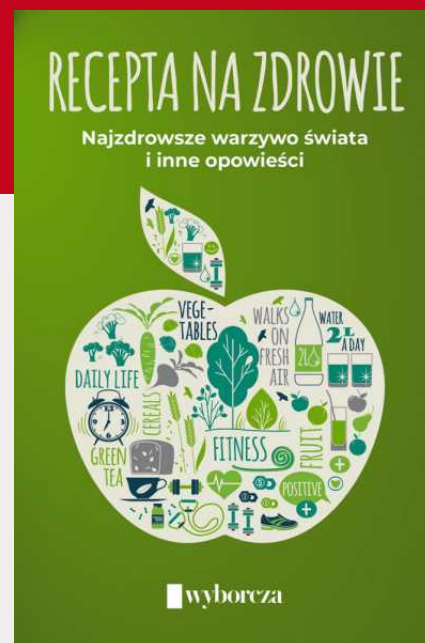
Dystrybutorzy oferujący prenumeratę teczkową:

KOLPORTER sp. z o.o.
tel. 41 367 88 88

GARMOND PRESS SA
tel. 12 422 14 85

GLM sp. z o.o. (Warszawa i okolice)
tel. 22 649 40 80

Jeśli napotkasz problem z zamówieniem prenumeraty teczkowej,
możesz zamówić prenumeratę tradycyjną na pocztę lub u listonosza.



* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-18). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy.

** Cena sugerowana

*** Książka do odbioru od 22 stycznia w punkcie sprzedaży

SEJM, CZYLI SHOW Z HUMOREM

Dużo łatwiej zmienić telewizję,
niż ukarać tych,
którzy odpowiadali
za jej propagandę



FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z PROF. **PRZEMYSŁAWEM SADURĄ***,
SOCJOLOGIEM, ROZMAWIA **AGNIESZKA
KUBLIK**

Najmłodsze pokolenie, gen. Z, zaczęło oglądać transmisje obrad Sejmu w serwisach społecznościowych. Może oczekuje, że to będzie tak atrakcyjne jak występy Jay-Z? To aluzja do wystąpienia marszałka, który pouczał posła Kaletę z PiS: „Nie Jay-Z, panie pośle Kaleta, tylko gen. Z. Tak, to są dwa różne zjawiska”.
– Mogą się trochę rozczarować. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia robi, co może, żeby przyciągnąć młodą widownię, i zaczął marszałkowanie w stylu showmana. To styl anglosaski, to ożywia Sejm, a Hołownia świetnie się przygotował do tej roli, ma świadomość, że to moment, by zaistnieć. Wydaje się też, że wzrost oglądalności transmisji obrad Sejmu to czynność zastępcza w oczekiwaniu na nowy rząd, którego powstanie się opóźniło przez decyzje prezydenta i ten cyrk z rządem dwutygodniowym. Ludzie zaczęli się przyglądać, jak wygląda Sejm, i cieszyć się tym.

Oglądalność zaczęła rosnąć już 22 listopada. Przed czwartym dniem pierwszego posiedzenia Sejmu X kadencji kanał Sejmu na YouTube miał 100 tysięcy subskrybentów.

– A to spowodowało, że posłowie świadomi tego zaczęli przygotowywać występy przed nową publicznością.

Wzrost zainteresowania wynika też z ciekawości młodych, którzy zagłosowali 15 października. Zostali zmobilizowani,

zwłaszcza w ostatnich tygodniach kampanii, akcjami profrekwencyjnymi, często po raz pierwszy głosowali i teraz chcą zobaczyć, w czym wzięli udział.

Mam świeże wyniki badań przeprowadzonych dla SWPS i fundacji Pole Dialogu przez IPSOS. Sprawdzaliśmy parę tygodni po wyborach, czy bezprecedensowa, wysoka frekwencja, zwłaszcza młodych i zwłaszcza kobiet, utrzymała się w deklaracjach badanych.

Frekwencja w grupie kobiet w wieku 18-29 lat wyniosła 71,5 proc., a w grupie 30-39 – 77,3 proc. I była wyższa od tej cztery lata temu, w grupie 18-29 – aż o 25 punktów procentowych.

– No i się taka nie utrzymała. Mobilizacja w następnych wyborach, samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, jest bliższa takiej, jaka była wcześniej. Zdecydowaną chęć udziału w eurowyborach deklaruje 33 proc. osób w wieku 18-29 lat, 25 proc. mówi, że „raczej weźmie udział”. Duże lub bardzo duże zainteresowanie polityką deklaruje 26 proc. młodych. Mężczyźni interesują się polityką dwukrotnie częściej niż kobiety.

Sondaż pokazał nam widoczność i skuteczność kampanii profrekwencyjnych, widząc ją w tych grupach, do których była skierowana. I wreszcie zobaczyliśmy, że nieporównywalnie więcej badanych niż w poprzednich wyborach deklarowało, że decyzję wyborczą podjęło w ostatnim tygodniu, ba, w ostatnich dniach kampanii. Mieliśmy więc do czynienia z olbrzymią mobilizacją, ale często jednorazową i w ostatniej chwili.

Wiele osób w ostatnim momencie dało się przekonać, żeby pójść do urn, co nie znaczy, że mobilizacja wyborcza utrzyma się na przyszłość. To praca dla nowej, demokratycznej większości, by to utrzymać stylem prowadzenia obrad, ale przede wszystkim stylem rządzenia. I to będzie wielka praca, bo nowa ekipa dostała jednorazowy kredyt zaufania, teraz odbędzie się wielkie „sprawdzam” młodego pokolenia.

Z wpisów w mediach społecznościowych, memów wynika, że młodzi są Hołownią zachwyceni. Co ich ujęło?

– Poczucie humoru, spontaniczność, brak agresji. Hołownia próbuje się ustawić, tak jak wcześniej, jako opcja umiarkowana. Ma ogromne doświadczenie medialne, wie, jak dobrze wypaść, korzysta z tych umiejętności. Natomiast nie do końca jestem przekonany, że jego popularność to wynik wielkiej zmiany postaw i wartości w polskim społeczeństwie. Na razie w badaniach tej zmiany nie widać. Jest raczej coś, co tę zmianę poprzedza, czyli gotowość do podjęcia pewnego trudu i zaangażowania się w politykę, w którą do tej pory się nie angażowaliśmy. W danych sondażowych widać wzrost notowań Trzeciej Drogi oraz wzrost poczucia sprawczości Polek i Polaków. Ale nie widzę odwrotu od polaryzacji, nie widzę tego, że kampania PiS była zupełnie nietrafiona, bo nie była. Okazało się, że jest spora grupa ludzi, którzy do tej pory albo polityką się nie interesowali, albo nie interesowali się na tyle, żeby pójść na wybory, a których udało się jednorazowo przekonać i poszli.

Hołownia przyciągnie młodych na dłużej? Do polityki czy do politycznego show?

– Nie wiem, czy to się da oddzielić. Na pewno jest to inny rodzaj wciągania do polityki niż np. udział w protestach Strajku Kobiet. To była wielka lekcja demokracji, szczególnie właśnie dla młodych, którzy wtedy wyszli na ulice nie tylko w dużych miastach, masowo, ale również w małych. Zobaczyli się, policzyli i poczuili przez moment moc. Wyszli mimo obowiązujących zakazów, mimo pandemii. Wtedy też zresztą było widać, jak szybko ta mobilizacja spadła. W kilka miesięcy, rok po protestach, kiedy było widać, że nic się nie zmieniło, nastroje drastycznie opadły. Cierpliwość młodych jest krótka.

Hołownia przyciąga ich teraz takim sejmowym show, który może być odbierany jako reality show czy rodzaj serialu, atrakcyjnego swoją nowością. Do tego wzmocnionego modą, że inni też oglądają.

Młodzi coraz częściej komentują, co się aktualnie dzieje, kto co powiedział w Sejmie, kto jak ripostował. Tego wcześniej nie było, a już na pewno nie było przez ostatnie osiem lat. Mamy dziś więc nowy rodzaj obcowania z polityką, taki mniej wymagający, bardziej rozrywkowy. Nie deprecjonuję tego, bo to jednak daje szansę na wspólnotowe uczestnictwo. Stąd powodzenie inicjatyw takich jak oglądanie obrad Sejmu w salach kinowych. Niemniej to za mało, żeby utrzymać mobilizację wyborczą, polityczną, żeby móc spokojnie myśleć o tym, jak wysoka będzie frekwencja w wyborach samorządowych, eurowyborach, a już

przede wszystkim w wyborach za cztery lata. To długa i szalenie ciężka praca, żeby ci, którzy aktywizowali się 15 października, zagłosowali po raz pierwszy w życiu, zostali zmobilizowani przez siły demokratyczne, pozostali w polityce i stanowili trwały elektorat strony demokratycznej.

Niektórzy już ostrzegają, że istnieje delikatna granica między byciem fajnym a śmiesznym. Jest ryzyko jej przekroczenia?

– Do wyborów prezydenckich jeszcze sporo czasu, więc jakieś ryzyko jest, że to może się już opatrzyć, znudzić. Że w którymś momencie Hołownia może się zadryblować, ale też jest ryzyko, że pojawią się inni pretendenci. Platforma Obywatelska na pewno musi zacząć myśleć, kto ma być ich kandydatem. Do tej pory było niemal pewne, że drugi raz spróbuje Rafał Trzaskowski, ale w warunkach, w których Hołownia jest silnym, mrowanym kandydatem, wcale nie wiadomo, czy Trzaskowski będzie chciał.

Z drugiej strony to demokracja i partie – PO i PL 2020 – są osobnymi, politycznymi bytami, więc muszą ze sobą jakoś rywalizować. Wybory prezydenckie nie są rafa, o którą się może rozbić jedność koalicji, bo są dwie tury. Pierwsza, w której można przeciwko sobie grać, i druga, w której wspólnie głosujemy na kandydata demokratycznego, który przekonał największą grupę wyborców.

Kilku kandydatów przeciwko jednemu kandydatowi PiS? To nie jest ryzyko?

– W wyborach prezydenckich nie musi być. Może sobie obóz anti-PiS wystawić czterech, pięciu kandydatów, chyba żeby był kandydat spoza polaryzacji PiS – anti-PiS, który by zagroził kandydatowi anti-PiS, ale to gdybanie. Myślę, że obóz demokratyczny może sobie pozwolić na to, żeby w wyborach prezydenckich w pierwszej turze wystawić kilkoro kandydatów. Jeśli chcemy mieć mocnych kandydatów, to jest pytanie, jakie platformy ich wyniosą.

Hołownia od początku potraktował Sejm i marszałkowanie jako taki wehikuł do prezydentury. Nie wiadomo, kto będzie kandydatem KO i czy np. komisja śledcza lub któreś z ministerstw będzie trampoliną do wzrostu popularności. Może się okazać, że w Sejmie pojawi się ktoś, kto będzie próbował Hołownię przyćmić, a przynajmniej rzucić mu wyzwanie i też próbować wykorzystać popularność w Sejmie, żeby zacząć robić sobie kampanię prezydencką.

Sejm jest oglądany po pierwsze ze względu na zachowanie Hołowni, ale z drugiej strony ze względu na ten cyrk Kaczyńskiego, Morawieckiego i Dudy, czyli rządu dwutygodniowego, który udawał rządy.

– Bo to rodzaj takiego teatru politycznego, może szopki bardziej czy maskarady... Sporą przyjemność wyborcom dawało patrzenie na polityków PiS, którzy są przywoływani do porządku, którzy przestali być panami tego, co się dzieje w Sejmie.

Przemawiającymi bez żadnego trybu.

– Jak prezes Kaczyński oskarżający Tuska o to, że jest niemieckim agentem. Tylko że to się kończy. To ostatnie konwulsje konającej i oszalałej z bólu bestii. Sejm został symbolicznie przywrócony obywatelom. Nie tylko przez błyskawiczne zlikwidowanie barier, przez wpuszczenie dziennikarzy w głąb Sejmu, ale właśnie przez wprowadzanie nowego stylu prowadzenia obrad. I owszem, jest przywoływanie do porządku, ale bez agresji, chamstwa, jakie często zdarzało się przez ostatnie osiem lat, teraz mamy humor, finezję.

Hołownia, gdy go PiS znowu przezywał „marszałkiem rotacyjnym”, ripostował: „Bardzo cenię państwa komentarze i uwagi, natomiast zwracam też uwagę z mojej perspektywy, że stają się odrobinę monotematyczne. Zachęcam do więk-

szej oryginalności, pracy intelektualnej. Obrazić też trzeba umieć”.

– I to się po prostu ludziom podobało. Że chociaż czekaliśmy na przejęcie władzy, na stworzenie nowego rządu, to przynajmniej zaczęliśmy nowe porządki i meblowanie Sejmu, Senatu. Czekaliśmy na przywrócenie normalności.

Wyborca PiS dostrzegał ten cyrk z dwutygodniowym rządem? Jest zażenowany?

– Po stronie samego PiS widać walkę o zachowanie spójności. PiS musi się zastanowić, jak chce rozegrać życie w opozycji. Przyjęty może być kurs antyunijny oparty na tezach o międzynarodowym spisku przeciwko Polsce. Może się pojawiać narracja o skradzionych wyborach, żeby tworzyć kolejny mit, tak jak mit smoleński.

Mit ofiary. Znowu.

– Tak, takie podkreślanie, że demokratyczna większość wcale nie jest demokratyczna, tylko niszczy pluralizm. Bo nowa większość nie chce przyjąć kandydatów PiS do różnych ciał. Chociaż akurat np. w przypadku komisji śledczych jest zasadne, by nie zasiadali w nich ci, których obejmie dochodzenie komisji.

To powinno być dla nich oczywiste, że nie mogą być sędziami we własnych sprawach.

– Ale nie jest, a w taki sposób łatwo zostać ni-by-ofiarą. Zasadne było zablokowanie kandydatury Elżbiety Witek na wicemarszałka Sejmu. Trochę inaczej oceniam zachowanie w Senacie, tu postać wicemarszałka nie była tak spektakularna, to nie był ten symbol. Tu, moim zdaniem, nowa większość przesadziła. Trzeba uważać, żeby nie przekroczyć tej delikatnej granicy, bo większość obywateli uzna, że odsuwanie pewnych osób od funkcji jest zasadne, a pewnych to już dokuczanie, gnębienie opozycji.

Trzaskowski właśnie dostał silnego konkurenta w walce o prezydenturę – Hołownię

Zemsta po prostu.

– No tak, a tu chodzi nie o zemstę polityczną, tylko o rozliczenie. Dużo trudniejsza sprawa...

O sprawiedliwość?

– Tak, tylko że sprawiedliwość przy takim systemie sądownictwa, jaki mamy, to kwestia lat. To się będzie działo bardzo, bardzo powoli, a opinia publiczna potrzebuje szybkiego, spektakularnego efektu. I to jest cały problem. To, co można nazwać sprawiedliwością, wymaga cierpliwości.

A takie polityczne rozliczenie może odpowiadać na płytko rozumiane poczucie sprawiedliwości czy rewanżu. I dlatego te symboliczne, sejmowe przepychanki z marszałkiem Hołownią przyciągają tak wielką uwagę i rozładowują trochę potrzebę wyrównania rachunków, rozliczenia tych, którzy nadużywali swojej władzy, łamali prawo i reguły praworządności przez ostatnie osiem lat.

Jaka sprawiedliwość czeka Kaczyńskiego?

– To jest polityk, który kończy swoją aktywność. Nie wiem, czy doczekamy się jakiegoś rozliczenia łamania konstytucji w sensie prawnym. Myślę, że samo przegranie wyborów, utrata władzy to już rozliczenie polityczne. Chociaż chciałbym się mylić, to szczerze wątpię, żeby udało się rozliczyć to inaczej.

Co więcej, uczestnicy badań, które prowadziliśmy ze Sławkiem Sierakowskim zaraz po wyborach, też wcale się tego nie spodziewali. Z jednej strony deklarują chęć

przywrócenia sprawiedliwości, ukarania winnych, rozliczenia, a z drugiej strony mało kto w to wierzy.

Dlaczego?

– Po pierwsze, bo to Polska, bo wiadomo, jak ten system działa. Po drugie, to jednak świat polityki i wszyscy obiecywali, że tak będzie, nawet PiS obiecywał, że rozliczy Tuska, rozliczy rządy liberalistów, a tak naprawdę – mówili uczestnicy badań – niewiele z tego wyszło. Zatem jak nawet taki niedemokratyczny PiS nie był w stanie tego zrobić, to co dopiero z demokratami, którzy mają większe skrupuły. No i trzecia rzecz, że tak naprawdę wszyscy mówili, że chcieliby rozliczenia, sprawiedliwości, ale na koniec podkreślali, że bez przesady, żeby to się nie stało najważniejszym zadaniem nowej większości, nowego rządu. Bo chodzi przede wszystkim o to, żeby naprawiać państwo, podnosić poziom życia, a nie żeby toczyć walki z poprzednikami. Zresztą, jak ich wszystkich wsadzimy do więzień, to kto za to zapłaci? Podatnik. I to jest taka ludowa mądrość dotycząca rozliczeń.

Do tej pory rozliczenia się nie udawały, np. za IV RP.

– To prawda. Na pewno byłoby wielką wartością, gdyby udało się rozliczyć PiS za osiem lat w sposób niebudzący kontrowersji prawnych, niezakwestionowany potem przed europejskimi trybunałami sprawiedliwości. Myślę, że dużo łatwiej będzie zmienić telewizję publiczną i przywrócić jej normalność, niż rozliczyć, ukarać tych, którzy odpowiadali za osiem lat manipulacji i propagandy.

Zwłaszcza że komisje śledcze, na razie trzy, będą pracować miesiącami.

– Pytanie, czy będą forum rzetelnego śledztwa, czy też będą skupione na tym, żeby robić show? Pamiętamy różne postaci polityczne, które wykorzystywały komisje śledcze jako wehikuł do tego, żeby zaistnieć w polityce.

Młodzi oglądają Sejm, bo często po raz pierwszy głosowali i chcą zobaczyć, w czym biorą udział

Jeżeli tych komisji będzie za dużo, a styl działania będzie zbyt showmański, to może się szybko okazać, że mamy do czynienia z inflacją znaczenia ustaleń komisji śledczych.

Jak utrzymać tę gigantyczną mobilizację młodych? Za chwilę wybory samorządowe, europejskie, prezydenckie. Bez tej mobilizacji opozycja zwycięstw może już nie odnieść.

– To jest największe wyzwanie, największy dylemat. Zwłaszcza że wiemy, iż postawy młodych są zupełnie inne niż starszego pokolenia. Mamy w Polsce trwający już długo i dosyć silny proces liberalizacji, sekularyzacji. Młodzi, którzy poszli do wyborów, zagłosowali na ówczesną opozycję demokratyczną i dali jej większość, są w kwestiach światopoglądowych dużo bardziej progresywni. Oczekują liberalizacji przepisów aborcyjnych, normalnego, czyli takiego jak w całej Europie, dostępu do antykoncepcji, chcą zmian w stosunku do osób LGBT zgodnych z cywilizacyjnym, europejskim standardem.

Zobaczmy, czy nowa większość będzie konsekwentna we wdrażaniu tych zmian. Oczywiście będzie trudno o szybkie i spektakularne zmiany, zwłaszcza te, które wymagają zmiany ustaw...

A prezydent Duda już obiecał nowemu rządowi weto...

– ...w ogóle stworzył wrażenie, że będzie głównie zajmował się tym, żeby przeszkadzać nowemu rządowi.

„Ja jestem prezydentem, ale Donald Tusk nie jest moim kandydatem na premiera” – te słowa Dudy padły po wyborach, w listopadzie.

– Oczywiście to może przez jakiś czas stanowić jakąś wymówkę nierealizowania obietnic, ale nikt tego długo nie wytrzyma. Cierpliwość młodszych wyborców jest bardzo ograniczona. Nawet tam, gdzie nie będzie można wprowadzić zmian realnych, trzeba wysłać jasne komunikaty i dokonywać zmian symbolicznych, które pokazują przynajmniej intencje.

Bo społeczeństwo jest dużo bardziej liberalne niż elity polityczne, to wiemy z wielu badań. Społeczeństwo się ciągle liberalizowało, a politycy wciąż się obawiali reakcji Kościoła. Radykalne ograniczenie praw kobiet i jednak rozwiązywania niespotykane w Europie nazywano kompromisem. Musi być wysłany sygnał, że od tej pory liberalizujemy, może nie natychmiast, nie wszystko, bo nie da się tego zrobić, ale przynajmniej wysyłamy sygnał.

Mam obawę, czy Trzecia Droga i Szymon Hołownia myślący o kampanii prezydenckiej i wierzący w to, że ma się odwołać do jakiegoś umiarkowanego elektoratu i nie ulegać polaryzacji, nie będą trochę takim hamulcowym. Tak jak Trzecia Droga była hamulcowym w procesie jednoczenia opozycji przed wyborami i postawiła społeczeństwo przed dylematem, że „albo Trzecia Droga, albo trzecia kadencja PiS”. To był szantaż. Badania, które prowadziliśmy ze Sławkiem Sierakowskim, pokazują, jak wiele osób temu szantażowi uległo.

W ostatnich dniach przed wyborami.

– Połowa elektoratu Trzeciej Drogi z dużych miast biorąca udział w naszych badaniach to był elektorat jednej listy. Mówili – zagłosowaliśmy na Hołownię, mimo że popieraliśmy bardziej Lewicę albo Tuska, bo baliśmy się, że Trzecia Droga nie wejdzie do Sejmu i opozycja nie będzie miała większości. To było strategiczne głosowanie.

Ratowali koalicję demokratyczną, głosując na Hołownię.

– To chwytliwe hasło stało się więc skutecznym szantażem. Ale teraz Trzecia Droga nie może próbować szantażować swoich partnerów i trzymać w szachu reszty nowej, demokratycznej większości, bo jej to po prostu zaszkodzi, bo rozczaruje młodych wyborców, a przede wszystkim wyborczynię. I nie pozwoli utrzymać tej ogromnej mobilizacji, a może wręcz wywołać jakąś reakcję odwrotną.

Tomasz Lis napisał w swojej nowej książce: „Hołownia bardziej niż pomysłem na Polskę jest zaabsorbowany pomysłem na Hołownię w Polsce”. Ma rację?

– Ale nie da się wykazać tak dużym zaangażowaniem, mobilizacją bez odrobiny narcyzmu. To u polityka zaleta. Hołownia zaczyna właśnie kampanię prezydencką w wyborach, do których jeszcze półtora roku, więc to będzie maraton i trzeba mieć motywację, siłę, energię, żeby pobiec i dobiec. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZAPL

*Dr hab. Przemysław Sadura

• profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej. Nakładem Krytyki Politycznej ukazała się jego i Sławomira Sierakowskiego książka „Społeczeństwo populistów”

Za 15 lat będziemy starzy. I co dalej?

CHCEĆ SAMĄ
WYBRAĆ ZUPĘ

W wynajmowanym mieszkaniu, bez dzieci, które pomogą, z emeryturą niższą, niż mieli dziadkowie, i z wiekowymi rodzicami na głowie. Czterdziestolatki myślą o starości

Z **MARTĄ BIAŁEK-GRACZYK**, SOCJOLOGIĄ, SPECJALISTKĄ DS. INNOWACJI SPOŁECZNYCH, PREZESKĄ ZARZĄDU TOWARZYSTWA INICJATYW TWÓRCZYCH „e”, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**



FOT. KRZYSZTOF PACHOLAK

Od ponad piętnastu lat pracujesz z seniorami. Za kolejne piętnaście sama dołączysz do tej grupy. Jak sobie wyobrażasz swoją starość?

– Mam wiele obaw – czy będę sprawna, jak się zmieni moje ciało, czy będę mieć wystarczająco pieniędzy, jak będą wyglądać moje relacje. Ale jak trochę je odsunę i skupię się na tym, co chciałabym zachować, to tym czymś jest decyzyjność.

Wiele lat temu w Bostonie odwiedziłam Institute for Human Centered Design – instytut, który projektuje różne usługi i przedmioty z myślą o ludziach i ich potrzebach. Chodząc po tej przestrzeni, trafiłam na zawiniątko w fantastycznych wzorach – tu szalona różowa panterka, tam drobna kolorowa łączka. Okazało się, że to specjalne nakładki, które pozwalały osobom starszym na „personalizowanie” swoich lasek w zależności od stylu, jaki lubią. I to jest przesłanie, które przyświeca mi dziś w myśleniu o starości: niezależnie od tego, w jakiej będziesz formie, jakie wyzwania i trudności cię czekają, ważne, żebyś zachowała kawalek siebie. Swoją osobowość i sprawczość.

To jest zresztą kierunek, który przyjmuję się w różnych politykach społecznych, żeby jak najdłużej zachować możliwość samodzielnego funkcjonowania i podejmowania wyborów. Nawet jeśli ktoś jest w słabej formie i przebywa w ośrodku opieki, ale ma możliwość wybrania, jaką zupę zje na obiad, bo w menu są dwie, to już wpływa na jego dobrostan, poczucie podmiotowości, godności.

Możliwość wyboru zależy od wielu czynników, a jednym z nich jest sytuacja bytowa. Niestety, większość prognoz na naszą, czterdziestoparolatkę, starość jest ponura. Weźmy choćby miejsce zamieszkania. Z tegorocznego raportu Otodomu, Polityki Insight i Uniwersytetu SWPS

wynika, że 90 proc. seniorów mieszka w domach docelowych, tylko niecałe pięć procent seniorów je wynajmuje. Ale dziś wiele osób w średnim wieku nie stać na własne lokum, więc przybędzie seniorów bez własnego dachu nad głową. Co pewnie wpłynie na poczucie stabilizacji i samopoczucie w ogóle.

– Kwestia mieszkaniowa jest jednym z najważniejszych tematów branych pod uwagę przy projektach wokół starości. Ale ona łączy się z inną – z samotnością. Bo już teraz spora część gospodarstw domowych osób starszych to pojedyncze gospodarstwa. A jak mówią liczne badania, samotność i izolacja społeczna szkodzą naszemu zdrowiu i skracają życie. W odpowiedzi na to od lat rozwija się trend cohousingowy, czyli współdzielenie przestrzeni mieszkalnej przez osoby starsze. Modele są różne, to mogą być wspólne mieszkania, domy, osiedla. Generalnie chodzi o to, żeby dzielić się kosztami i wspierać. I chociaż głównie słyszymy o przykładach z Zachodu, ze Skandynawii czy z Kanady, w Polsce też mamy takie projekty. Na przykład w Rybniku powstało specjalne mieszkanie seniorskie, w którym zamieszkały cztery panie.

Kto je im zapewnił?

– Urząd miasta, więc jest to rodzaj usługi społecznej. Ale są inne możliwości, na przykład wspólny zakup mieszkania przez grupę osób starszych albo wspólny wynajem.

I myślisz, że to się u nas przyjmie? Wciąż mamy jeden z najniższych wskaźników zaufania społecznego w Europie. Polacy nie bardzo są przychylni wspólnym inicjatywom.



Firmy już się uczą, że w zespole przydają się zetki, milenialsi, iksy, osoby neuroatypowe i z różnych kultur. Wkrótce nauczą się, że osoby starsze też mają kapitał – choćby doświadczenia z trudnymi sytuacjami międzyludzkimi

– Rzeczywistość nas do tego zmusi. Już w tej chwili osoby starsze to jedna czwarta populacji w Polsce, a w 2050 r. będą stanowić 40 procent. I coraz więcej będzie osób najstarszych, bo coraz dłużej żyjemy, więc obecny system wsparcia społecznego przestanie być wydolny. Jednocześnie zmienia się model rodziny. Przybywa osób, które nie mają dzieci albo mają jedno. Te dzieci wyjeżdżają za granicę albo nie chcą pełnić funkcji opiekuńczych, więc jeśli już teraz nie zaczniemy myśleć, co nas czeka, nie podejmiemy starań, żeby szukać nowatorskich pomysłów, które niekoniecznie od ra-

zu muszą nam pasować, to za chwilę będziemy w beznadziejnej sytuacji.

„Musimy szukać nowych rozwiązań” – ale kim są ci „my”?

– Zaraz sobie porozmawiamy, co każdy z nas może zrobić wokół siebie. Ale najwięcej tych poszukiwań – nie tylko odnośnie do mieszkania, ale też organizacji jedzenia, opieki, włączania w życie, na przykład kulturalne czy rynku pracy – odbywa się na poziomie lokalnych społeczności, organizacji obywatelskich i samorządów. Bo to jest poziom, który najbardziej kształtuje jakość naszego życia.

To weźmy kolejne zmartwienie przyszłych seniorów, czyli kwestię emerytur. Jest pewne, że te świadczenia będą dużo niższe niż dziś. Czy tu się pojawiają jakieś odpowiedzi?

– Ponieważ jest to wynik struktury demograficznej, odpowiedź jest jedna: będziemy musieli dłużej pracować. Teraz chodzi o to, jak tę pracę ułożyć sobie na nowo. Bo praca osób starszych nie będzie taka, jaką wykonujemy obecnie.

Ja sobie nie wyobrażam, żebym mogła pracować za 20 lat tak jak dziś. Często już teraz nie daję rady. I wydaje mi się, że to jest pokoleniowe doświadczenie, nie tylko moje.

– Co zmusza nas do zastanowienia się: no dobrze, to co mogę zrobić już teraz? Czy mogę jakoś przededefiniować swój styl pracy tak, żeby rozłożyć siły, skoro będę pracować dużo dłużej niż kolejne 15 lat? Jak mam zarządzać energią? Zwłaszcza że być może tę pracę trzeba będzie łączyć z opieką nad jeszcze starszymi rodzicami. Rynek też będzie musiał to uwzględnić. Być może pojawią się rozwiązania podobne do tych dla młodych matek czy ojców.

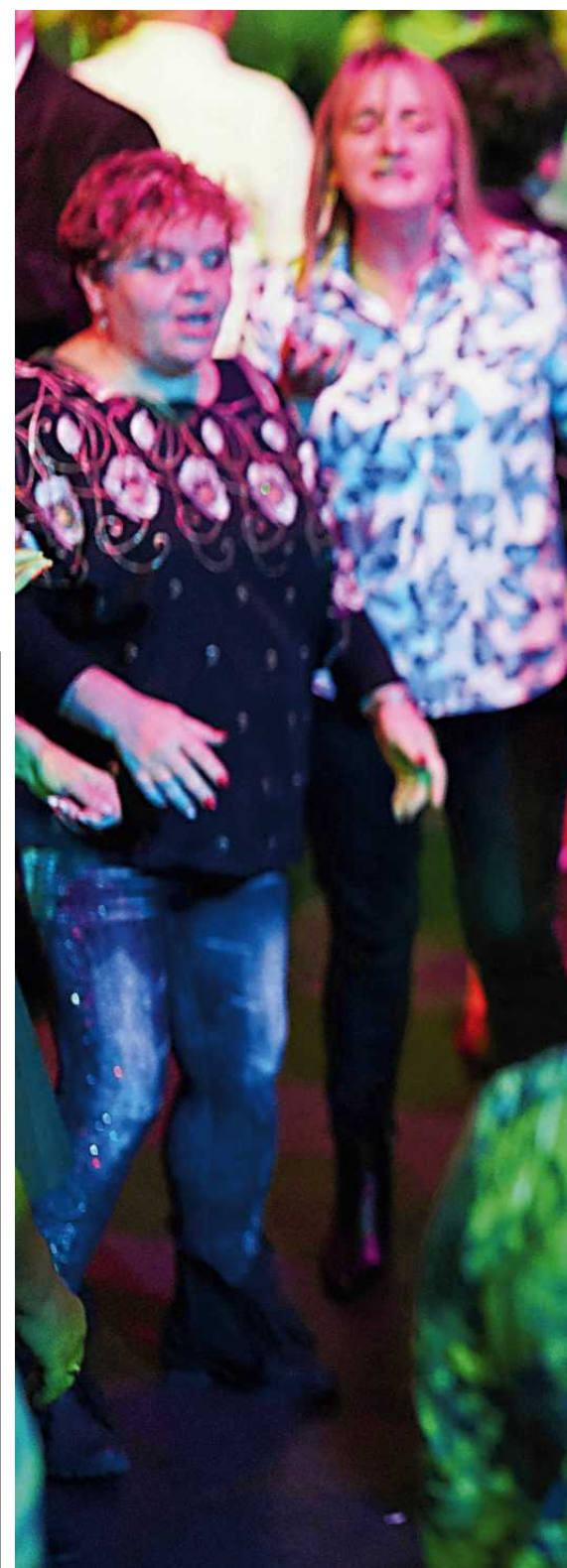
Urlopy opiekuńcze dla pracujących seniorów opiekujących się starszymi seniorami?

– Na przykład. To już jest wielkie zjawisko w Polsce, bo typową opiekunką osoby starszej jest inna osoba starsza. Najczęściej kobieta, która sama doświadcza różnych trudności zdrowotnych, godząc to z opieką nad wnucami albo ze wspieraniem dorosłych dzieci, które coraz dłużej mieszkają z rodzicami. A nam dojdzie do tego jeszcze praca zawodowa.

Na razie w Polsce w grupie 60-89 lat tylko 16 proc. osób jest aktywnych zawodowo.

– Na razie wśród pracodawców widzę głównie obawy i wciąż pokutujące przekonanie, że rynek pracy należy do ludzi młodych. Ale jest nadzieja, bo przecież firmy uczą się różnorodności. Na przykład tego, że w zespole mogą być ludzie z różnych pokoleń – i zetki, i milenialsi, i X-Y, z różnych kultur, neuroatypowe, że te osoby mają różne potrzeby, możliwości i musimy się jakoś dogadać. Za chwilę więc pojawi się też przestrzeń na dostrzeżenie potencjału osób starszych.

Powszechną praktyką w świecie anglosaskim jest różnego rodzaju mentoring, czyli traktowanie osób starszych jako tych, które posiadają wiedzę, doświadczenie, zasoby



by wynikające na przykład z przeżycia dziesiątek trudnych sytuacji interpersonalnych w pracy. To może być bardzo przydatne dla młodych osób, które często doświadczają konfliktów, nieporozumień – a starsze osoby, ze względu na większą praktykę, potrafią rozwiązać je na miękko.

Taką inicjatywą, która dostrzegła potrzebę pracy w wieku emerytalnym, jest na przykład Biuro Karier dla osób starszych, które powstało przy Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Okazało się, że osoby związane z lokalnym Uniwersytetem Trzeciego Wieku bardzo chciały pracować na emeryturze. I nie tylko chciały kontynuować to, co robiły wcześniej, czyli „40 lat byłam księgową, więc chcę pracować jako księgową”, ale szukały też czegoś zupełnie innego. Jeden pan całe życie pracował w fabryce, ale w wolnym czasie interesował się fotografią. Inwestował w to hobby, rozwijał je. I tym się zajął profesjonalnie na emeryturze, więc takie senioralne biuro karier może otworzyć całkiem nowe możliwości.

O konieczności uczenia się przez całe życie mówi się na Zachodzie lifelong learning. Na razie w Polsce tylko 15 proc. osób w wieku 55-64 lata podejmuje jakąś formę nauki. Nasze pokolenie będzie musiało podjąć ten wysiłek, a z drugiej strony – skąd ci zapracowani, przeciążeni informacyjnie 40- czy 50-latkowie mają za 20 lat wziąć siłę, żeby uczyć się czegoś nowego albo przebranżowić?

– Albo się poddamy, albo się z tym jakoś zmierzmy. Warto pamiętać, że uczenie się to nie tylko wysiłek, ale i korzyści. Na przykład kontakty społeczne, które, jak pokazuje wiele ba-



dań, w tym fantastyczne wieloletnie badania z Harvardu, są kluczowe dla zdrowia. Decydując się na taki styl życia, działamy na rzecz własnej kondycji fizycznej i psychicznej, poczucia szczęścia, czucia się potrzebnym.

Jedna z uczestniczek naszego programu „Seniorzy w akcji”, który realizujemy od 16 lat z Polsko-Amerykańską Fundacją Wolności, powiedziała, prowadząc projekt dla lokalnej społeczności: „Całe życie pracowałam w kadrach w fabryce na Śląsku. I dziś, mając 70 lat, znów mogłam poczuć to, co czułam w harcerstwie – że jestem częścią wspólnoty, że mogę coś zrobić dla innych, że mam głos. A do tego mam frajdę”. Opierając się na jakiejś wymianie, na współdzieleniu – ale trochę też na zweryfikowaniu materialnych oczekiwań – możemy stworzyć alternatywne podejście do starości.

O dobroczynnym wpływie relacji piszemy od lat. Coraz częściej jednak spotykam ludzi, którzy mówią: wiemy to, ale nie mamy czasu pielegnować relacji. Prawdopodobnie ci ludzie na starość nie tylko będą samotni, ale też w ogóle wyjdą z wprawy w przebywaniu z innymi. Czy myśli się o jakichś rozwiązaniach dla osób, które jak się to mówi – nie zainwestowały w relacje?

– Jest taki trend w europejskich politykach senioralnych, żeby wychodzić do ludzi, dostarczać im różne usługi do domu, co tworzy też okazję do budowania więzi. Myślę teraz o amerykańskiej organizacji Meals on Wheels i jej projekcie, w ramach którego wolontariusze gotują posiłki i dostarczają je osobom potrzebującym, w tym starszym. Taki posiłek jest nie tylko posiłkiem. Jest również pretekstem.

Do spotkań?

– Do jakiejś wymiany. Do poczucia bycia zapiekiwanym też. W tym modelu robimy coś dla innych, ale też trochę dla siebie, bo może za jakiś czas my albo nasi bliscy będziemy chcieli skorzystać z podobnej usługi. Z kolei ta druga osoba czuje, że nie jest zupełnie sama. Jednocześnie nie jest to bardzo kosztowne. I takie pomysły są też realizowane w Polsce, na przykład w naszym inkubatorze innowacji społecznych „Generator innowacji. Sieci wsparcia”, który współtworzymy z PCG Polska.

Czym jest taki inkubator?

– Od 2016 roku w całej Polsce Ministerstwo Rozwoju ze środków europejskich wspiera miejsca, które odpowiadają na różne społeczne wyzwania związane z włączaniem grup wykluczonych tak, żeby żyło im się lepiej. My jesteśmy jednym z takich miejsc, specjalizującym się w szukaniu rozwiązań na rzecz osób starszych. Każdy, kto ma pomysł, może do nas przyjść i go przetestować z naszym wsparciem.

Ile takich pomysłów już przetestowałyście?

– Ponad 80. Ale nie tylko sprawdzamy, czy działają. Tworzymy też całe instrukcje, „krok po kroku”, jak taki pomysł wdrożyć u siebie. Jedne są dla instytucji kultury, inne dla samorządów, jeszcze inne dla osób prywatnych. Modele rozwiązań można pobrać ze strony Sieciwsparcia.pl.

Wracając do tych obiadów, w myśleniu o starości istnieje kierunek, który polega na łączeniu już istniejących zasobów i potrzeb w nowy sposób. Na przykład grup osób starszych z grupą dzieci albo z uchodźcami. Taką innowacją, która powstała w naszym in-

Fajnie jest mieć starsze koleżanki czy kolegów, bo czymś, co rozbraja nasze myślenie o starości, są relacje międzypokoleniowe. Starsi koledzy i koleżanki mogą nas oswoić z tym okresem życia

kubatorze, są „obiady terapeutyczne”. Jej autorka Alicja Barcikowska z Krasnegostawu współpracowała wcześniej z warsztatami terapii zajęciowej. WTZ to miejsca, gdzie osoby z niepełnosprawnościami, głównie intelektualnymi, zdobywają różne umiejętności. Na tych warsztatach uczestnicy uczyli się akurat gotowania, a potem zjadali posiłki sami albo z rodziną. Pani Alicja pomyślała tak: skoro oni mają swoją kuchnię, a na tym osiedlu mieszka mnóstwo starszych osób, które nie kwalifikują się do pomocy społecznej, bo ich sytuacja materialna nie jest aż taka zła, jednak jedzą byle co, bo nie mają siły gotować albo nie stać ich na coś lepszego, to dlaczego by ich nie połączyć?

Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Uczestnicy warsztatów terapii zajęciowej mieli poczucie sensu i odpowiedzialności, bo „muszę zanieść obiad pani Krysi, ona na mnie czeka”. A osoby starsze nie czekały na jakiś anonimowy obiad z firmy cateringowej, tylko na obiad „od Janka”. Korzyścią by-

ło nie tylko smaczne jedzenie, ale i znalezienie swojego miejsca w społeczeństwie. Ten projekt został później dostrzeżony przez ministerstwo i przeznaczony do tzw. skalowania.

Co to znaczy?

– Wdrożono go na szerszą skalę. Aktualnie obiady gotowane w ramach warsztatów terapii zajęciowej są dostarczane osobom starszym w 44 miejscach.

To jest opowieść o tym, że takie małe pomysły przetestowane na lokalnym gruncie, łączące istniejące zasoby i potrzeby oraz realizowane przez organizacje społeczne mogą się fenomenalnie sprawdzić również na większą skalę.

Wspomniałaś, że zmienia się model rodziny. Coraz więcej osób nie decyduje się na dzieci. Oczywiście dzieci nie gwarantują opieki na starość, jednak zwiększają to prawdopodobieństwo. Co z tymi, którzy takiej opieki mieć na pewno nie będą?

– Jest już mnóstwo pomysłów na przykład na to, jak pomóc osobom starszym lepiej funkcjonować samodzielnie w mieszkaniu. Starzy ludzie często ulegają wypadkom we własnym domu – ktoś się potknie o dywan, uderzy głową o źle ustawioną szafkę, gdzieś zabraknie poręczy. Nie mówiąc już o „więźniach czwartego piętra”, czyli ludziach, którzy mieszkają w budynku bez windy i utykają na wysokim piętrze, bo nie są w stanie się poruszać.

W Niemczech od lat dofinansowuje się dostosowywanie mieszkań. Do osoby starszej przychodzi interdyscyplinarny zespół i ustala, jak można lokal przearanżować, co w nim zmienić. My lata temu zrealizowali-

śmy podobny projekt, który połączył studentów projektowania z podopiecznymi Stowarzyszenia Mali Bracia Ubogich. Studenci prostymi sposobami i niewielkim nakładem finansowym znacząco poprawili funkcjonowanie tych osób. W jednym miejscu podkleili dywany, w innym zawiesili sznurek do otwierania szafki, a w jeszcze innym zamontowali mechanizm do podtrzymywania.

Przez kilka lat jeździłam na targi designu w Mediolanie i zauważyłam, że z roku na rok młodzi projektują coraz więcej przedmiotów i mebli z myślą o starszych – na przykład fotel, który starzeje się z właścicielem, przystosowując się do zmieniającego się ciała, albo łóżko, z którego łatwiej wstać, gdy nie jest się tak sprawnym.

– Często wydaje się nam, że takie rzeczy muszą być bardzo kosztowne albo oparte na najnowszej technologii. A rozwiązania bywają naprawdę proste. I tu jest przestrzeń dla organizacji i instytucji, choćby takich jak nasza, które wiedzą, jakie światy ze sobą połączyć, potrafią powiedzieć: hej, spotkajcie się razem. Wy, zamiast projektować abstrakcyjne rzeczy, zaprojektujcie pani Irenie przedpokój, w którym się nie połamie. A wy, którzy macie podopiecznych z problemem poruszania się po domu, spytajcie tych, którzy się na tym znają, co tu można usprawnić.

Kolejnym obszarem, w którym można wiele zrobić, jest kultura. Bo uczestniczenie w niej ma ogromny wpływ na samopoczucie, mamy na to badania.

I co tu się może wydarzyć?

– Na przykład kultura może przyjść do ciebie, jeśli jesteś w złej formie, albo nie możesz się poruszać. W filii Domu Kultury w warszawskim Wawrze jedna z naszych innowatorek zauważyła zjawisko „znikających uczestniczek”. Grupa seniorów przychodziła na zajęcia manualne, jednak jedna się wykruszyła, potem druga, kolejna. I co się okazało? Że jedna nie ma już siły przychodzić, druga jest w złej formie psychicznej, a trzecia ma problem z dojazdem. Nasze innowatorki pozyskały pieniądze z urzędu miasta, przeszkoliły bezrobotne dziewczyny z gminy i zatrudniły je do prowadzenia tych zajęć w domach osób starszych. Dom kultury nie tylko umożliwił tym osobom uczestniczenie w kulturze, ale też dał im troskę, poprawił ich sprawność manualną, poznał. I to jest wskazówka dla różnych instytucji, jak można szukać sposobów na włączenie osób wykluczonych.

Ale żeby to zrobić, trzeba najpierw pokonać bariery w myśleniu o sobie jako o instytucji, do której nie tylko się przychodzi, ale która może też wyjść do innych.

Już nie mówiąc o rozwiązaniach dla szczególnie wrażliwych grup.

Kogo masz na myśli?

– Na przykład osoby z demencją. To rozwiązanie testowaliśmy w Muzeum Narodowym w Warszawie. Wydawałoby się, że ta grupa już w niczym nie może uczestniczyć, że w ogóle jest wyłączona z życia społecznego. Tymczasem nasza innowatorka Marzena Wójcicka udowodniła, że to nieprawda, że osoby z demencją mogą być równoprawnymi uczestnikami kulturalnej oferty. Swoją drogą podobne doświadczenia ma nowojorskie Museum of Modern Art, czyli słynna MOMA. Dziś odzwyczajają się do nas instytucje z całej Polski, które chcą podobne zajęcia prowadzić u siebie.

Jak one wyglądały?

– Najpierw z kolekcji muzeum wybrano prace o uniwersalnej tematyce, które mogły stać się pretekstem do rozmów. Potem przeszkolono edukatorki – bo żeby prowadzić zajęcia z taką grupą, trzeba mieć odpowiednie predyspozycje. A potem zaproszono osoby z demencją wraz z opiekunami. Kontakt ze sztuką okazał się dla nich tak stymulujący, że efekty były niesamowite. Niektórzy opiekunowie mówili: „Myślałam, że mój tato nigdy się już nie odezwie, a tu się odezwał”. Albo: „Myślałam, że mama nie da rady uczestniczyć w czymś takim. A nie dość, że uczestniczyła, to jeszcze jak wyszłyśmy, rozpoznała fragment Warszawy, które-

Nie lubię słowa „seniorzy”, wolę starsi dorośli. Grupa osób starszych jest jedną z najbardziej zróżnicowanych, bo przecież 60-latka od 85-latka dzieli całe pokolenie. Im bardziej myślimy o osobach starszych jako o masie, starości jako o pewnym monolicie, tym więcej lęku w nas budzi

go nie rozpoznawała od lat”. To doświadczenie przywróciło też uczestnikom i uczestniczkom godność, że są w tak ważnym miejscu jak Muzeum Narodowe, że biorą udział w jakimś święcie. Relacja między opiekunami, często straszliwie umęczonymi, a ich podopiecznymi też nabrała innego wymiaru.

Mówisz o zmianach oddolnych – ktoś dostrzega jakąś potrzebę i ma nią pomysł. Ale co z takim problemem jak zdrowie? Tego już się nie da załatwić oddolnie. System ochrony zdrowia jest niewydolny. Co będzie za te 20, 30 lat?

– Ochrona zdrowia to odpowiedzialność państwa. Ja się odwołuję do rozwiązań miękkich i nie bagatelizowałabym ich, bo stanowią alternatywę i mają ogromną moc. Spójrzmy na te obiady terapeutyczne. Skoro mogą one się wydarzyć już nie w jednym miejscu, ale w 44, to może będą mogły się wydarzyć w 444, a potem w 4444? Rolą rządu jest to, żeby tego typu rozwiązania wyciągać z tej oddolnej przestrzeni i wdrażać na szerszą skalę. Może zechce się im przyjrzeć nowa ministra ds. polityki senioralnej?

Jeśli więc pytasz o oddolne rozwiązania w zakresie zdrowia, to są dwa ciekawe kierunki. Pierwszy to profilaktyka, czyli dbanie o swoją sprawność, aktywność fizyczną. A drugi – docieranie z informacją. Jednym z projektów testowanych w naszym inkubatorze był pomysł Wrocławskiego Centrum Alzheimerowskiego, które miało taką usługę jak badania przesiewowe w kierunku alzheimera, ale za mało osób z niej korzystało. I wymyślili genialną rzecz – przeszkolenie młodzieży tak, żeby skutecznie zachęciła dziadków i starszych bliskich do badania się, bo przecież wnuczkowi czy wnuczce się nie odmawia.

Sprytnie.

– Właśnie – często mówimy, że rozwijane w ramach inkubatora pomysły to sprytnie rozwiązania dla dużych wyzwań.

Albo weźmy twój ulubiony „social prescribing”, czyli przepisywanie kontaktów społecznych na receptę, pomysł popularny w Wielkiej Brytanii. To też jest oddolna odpowiedź na pytanie, jak zagospodarować rzeszę ludzi, która korzysta ze służby zdrowia w celach społecznych. Bo jest im źle, bo są same, bo źle się czują, ponieważ są same, i przychodzą do przychodni pogadać. Takie rozwiązanie, w ramach naszego inkubatora, testowało PCG w Aleksandrowie Łódzkim. Nazywało się „Recepta na życie”. Przychodnia nawiązała współpracę z ośrodkiem kultury, który zebrał informacje o wszystkich możliwych aktywnościach dla osób starszych w okolicy, a potem lekarze, wystawiając receptę, wystawiali też receptę na te aktywności. Na przykład na zajęcia na basenie tylko dla seniorów – a następnie sprawdzali, czy ta starsza osoba z nich skorzystała.

Bez dostępu do tych informacji te starsze osoby mogły myśleć, że nic dla nich w tym Aleksandrowie nie ma albo że ich nie stać, tymczasem oferta okazała się całkiem spora. I takie miękkie pomysły też mogą być odpowiedzią na wielkie wyzwania. Szukajmy pieńdzy, żeby porządnie zreformować służbę

zdrowia, a równolegle szukajmy pomniejszych, nowatorskich rozwiązań.

Wspomniałaś o profilaktyce. Rozumiem, że tu chodzi o to, żeby się jakoś na tę starość przyszykować?

– My się już musimy szykować, Agnieszko.

A ty jak się na nią szykujesz?

– Staram się mądrze zarządzać energią. Inwestuję w relacje. Na pewno pomaga mi moja praca. Bo w kontekście tych różnych niewesołych prognoz jednak żyję w świecie ludzi, którzy próbują coś zmienić. Wykorzystują możliwości, które mają, żeby w ich lokalnych społecznościach żyło się trochę lepiej. Obcowanie z nimi sprawia, że ta perspektywa jest nieco bardziej optymistyczna.

W ogóle polecam kontakt z osobami starszymi, bo są wzorami do myślenia o tym, jak może wyglądać nasza starość. Ostatnio spotkałam się z grupą senierek, które działają przy jednej z warszawskich instytucji kultury. Spotykają się, odwiedzając galerie sztuki w darmowe dni. Zaczęłyśmy od rozmowy o wystawie, którą ostatnio widziały, na której pojawił się wątek cielesności. I nagle znalazłam się w gronie znacznie starszych kobiet, siedemdziesięcioparoletnich, z którymi bardzo otwarcie rozmawiałam o seksualności. Tak otwarcie dawno nie rozmawiałam z koleżankami w moim wieku – o relacji z naszym ciałem, o masturbacji.

I co sobie pomyślałaś?

– Jak to tak ma wyglądać, to dam radę.

W tym, co mówisz, są dwie rzeczy. Jedna – że warto konfrontować to, co się ma w głowie na temat starości, z rzeczywistością. A druga, że chyba jednak wciąż wokół starzenia się jest dużo stereotypów.

– Bardzo dużo. I obszary totalnego tabu. Na przykład właśnie seksualności osób starszych, włącznie z tymi mieszkającymi w instytucjach opiekuńczych.

Poza wszystkim po prostu fajnie jest mieć starsze koleżanki czy kolegów, bo czymś, co rozbraja nasze myślenie o starości, są relacje międzypokoleniowe. Starsi koledzy i koleżanki mogą nas ośwoić z tym okresem życia, pokazać, jaką drogę sami przeszli...

...i że życie wcale się nie kończy.

– Przeciwnie, dla niektórych w jakimś sensie dopiero się zaczyna. Bo mogą zrealizować marzenia albo wreszcie żyć tak, jak chcieli, tylko różne zobowiązania im na to nie pozwalały.

Przekaz medialny na temat starzenia się zmienia. Coraz więcej widać seniorów, którzy są aktywni, przekraczający bariery wiekowe, jak DJ Wika, modelka Helena Norowicz czy Jan Morawiec, maratończyk po osiemdziesiątce. Mówi się o zjawisku silver tsunami. Wydaje mi się jednak, że niektórych taki model może onieśmielać. Mogą pomyśleć: czy dam radę być tak aktywna? Czy w ogóle muszę?

– Mnie silver tsunami źle się kojarzy, z tragedią, już wolę silver power. Nie lubię też słowa „seniorzy”, wolę starsi dorośli. Ale cieszę się, że tych wzorców starości jest coraz więcej, bo chyba lubimy wybierać, prawda? Oczywiście

nie wszystko w naszym starzeniu wybierze- my, jednak coś możemy, więc im więcej będzie tych modeli, tym lepiej.

Zawsze podkreślam, żeby pamiętać, iż grupa osób starszych to jedna z najbardziej zróżnicowanych grup, bo przecież 60-latka od 85-latka dzieli całe pokolenie. Nie mówiąc o różnicach pod względem płci, miejsca zamieszkania, wykształcenia, kapitału kulturowego, stanu zdrowia, sytuacji ekonomicznej, osobistej. To, co nam, społeczeństwu, słabo wychodzi, to dostrzeganie tych ogromnych różnic. A im bardziej myślimy o osobach starszych jako o masie, starości jako o pewnym monolicie, tym więcej lęku w nas budzi.

Wróć jeszcze do tego przymusu bycia aktywnym. Kiedyś sama używałam sformułowania „aktywizacja seniorów i senierek”, dziś go nie lubię.

Dlaczego?

– Bo to właśnie takie narzucające się, opresyjne. Pokazujące, że to jedyny właściwy model. A ja już wiem, obserwując osoby starsze, że bywa różnie. Dla niektórych wielką aktywnością jest położenie w oknie poduszki i oglądanie tego, co się dzieje na podwórku. Dla innych – siedzenie na ławce i rozmowa z sąsiedami. Dla jeszcze innych – wycieczka rowerowa. Nie warto pochopnie oceniać tych wyborów, mówić: to jest aktywny senior, a tamten jest nieaktywny, raczej szukać w tej całej różnorodności modelu na swoją starość.

Często myślimy o osobach starszych jak o odrębnej grupie. Podobnie zresztą myśli się o nastolatkach, a przecież wszyscy jesteśmy połączeni i od siebie zależni. I ta rosnąca grupa osób starszych będzie generować zapotrzebowanie na przykład na nowe zawody związane z obsługą starości. Może dobrze byłoby dostrzec w tym możliwości?

– Ja ich widzę mnóstwo. Nie tylko tworzenia nowych zawodów, ale i budowania nowych kompetencji w ramach już istniejących. Potrzeba tylko jednego – otwarcia się na osoby starsze, zaciekawienia się nimi. ●

„Silver: doświadczenie pracy nad szczęściem” – raport przygotowany przez Otodom, Politykę Insight i SWPS w ramach projektu „Szczęśliwy dom” to czwarta publikacja zrealizowana na podstawie tegorocznego badania dobrostanu mieszkańców Polski, prowadzonego przez Otodom już od trzech lat. Można się z nim zapoznać na www.otodom.pl/wiadomosci/pobierz/raporty



Parafraza

W exposé premiera Morawieckiego ważniejsze było nie to, co powiedział, ale to, czego nie powiedział.

Michał Rusinek



W poniedziałek 11 grudnia w polskim Sejmie wiele się działo i słusznie za-uważyl marszałek Szymon Hołownia, że działa się też historia. Exposé wygłosił Mateusz Morawiecki, komentowali je przedstawiciele wszystkich partii obecnych w parlamencie. Nie udzielono wotum zaufania jego rządowi. Wybrano za to na premiera Donalda Tuska.

W momentach historycznie ważnych Polacy mają tendencję nie tylko do posługiwania się patosem, ale i do cytowania literatury. Morawiecki cytował więc fragment „Dzienników” Witolda Gombrowicza („Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim, póki nie wyodrębnimy się z Europy, gdyż europejskość nie polega na zlaniiu się z Europą, lecz na tym, by być jej częścią składową, specyficzną i niedającą się niczym zastąpić”) oraz, o dziwo, Martę Frej („Miejsce kobiety jest tam, gdzie ona chce”); Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL) cytował „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima („Otwórz nam Polskę, jak piorunem/ otwierasz niebo zachmurzone./ Daj nam uprzątnąć dom ojczysty”); Barbara Oliwiecka (Polska 2050) cytowała tekst piosenki zespołu Inkwizycja („to takie proste – wskazać palcem wroga/ to jest wróg – bo inaczej nazwał Boga/ takie łatwe – gdy potrzebni są winni/ trzeba znaleźć małych słabych i innych/ takie piękne – gdy są oni i my/ czarno biały świat dobrzy i źli”); Michał Kobosko (Polska 2050) zdecydował się natomiast wyjść poza szeroko pojętą literaturę i zacytować dziadęski bon mot innego byłego premiera („Leszek Miller dawno temu powiedział, że męzczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, lecz po tym, jak kończy”).

Mieliśmy także do czynienia z pewną ryzykowną parafrazą. Dzień przed feralnym exposé premier Morawiecki zamieścił na swoim iksowym profilu zdanie: „Polska to wielka siła duchowa i to nie my ją wybieramy. To ona wybiera nas”. To samo zdanie pojawiło się też na początku jego exposé. Brzmi ono na tyle patetycznie, że sprawia wrażenie tematu maturalnego, a przynajmniej kryptocytatu. Tymczasem jest to parafraza wypowiedzi poety Jarosława Marka Rymkiewicza z 2017 roku, kiedy to odbierał on nagrodę Strażnik Pamięci przyznawaną przez tygodnik „Do Rzeczy”.

Parafraza – jak czytamy w słownikach terminów literackich – to swobodna przeróbka tekstu, która rozwija lub modyfikuje treść oryginału, zachowując jego zasadniczy sens. Przyjrzyjmy się zatem oryginalnej wypowiedzi Rymkiewicza. Opowiadał on wówczas o swoich przodkach, którzy nie byli Polakami (jedna gałąź rodziny pochodziła

z Saksonii lub Bawarii, druga – z Wileńszczyzny). Doszedłszy do wniosku, że „polskość nie jest ani biologiczna, ani genetyczna, (...) nie bierze się z krwi, a nawet, jak pokazuje mój przykład, nie bierze się z pochodzenia”, powiedział: „Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy niczego wybierać, to ona nas wybiera”.

Odpowiedź na pytanie, czy zdanie Morawieckiego to jeszcze parafraza, czy też parafrazujący na tyle zmienił zasadniczą treść parafrazowanego tekstu, że odpłynął w całkiem innym kierunku – zostawmy specjalistom od poetyki. Skupmy się za to na pewnym skutku ubocznym parafrazowania tekstów. Gdy rozpoznamy tekst oryginalny, staje nam on przed oczami. A że nasze oczy są szczególnie wyczulone na różnice, dostrzegamy wówczas to, co parafrazujący zmienił, dodał lub usunął.

Po pierwsze, zamiast „polskości” – logicznej i uzasadnionej w kontekście rozważań o swoim pochodzeniu – mamy tu dosyć metaforyczną „Polskę” jako coś, czego nie wybieramy, ale co nas wybiera. Być może Polska, która wybrała Morawieckiego, to wyłacznie Andrzej Duda, który wbrew przyziemnej matematyce, pchany jakąś duchową siłą wybrał go do tworzenia rządu. A być może Polska, która jednak nie wybrała Morawieckiego, to wyborcy, którzy 15 października zagłosowali przeciwko PiS. Zresztą wspomniana „duchowa siła” w oryginale była „straszna”, a u Morawieckiego – „wielka”. Z pewnością przymiotnik „wielka” brzmi dumniej i mniej niepokojąco niż „straszna”. Nawet jeśli przymiotnik ten w ustach Rymkiewicza miał zapewne konotacje romantyczne, więc dotyczył straszności fascynującej, a nie oznaczającej coś złego czy przerażającego, to jednak podstawowe znaczenie ma on jednoznacznie negatywne. Gdyby Polska pozostała siłą straszną, to taką, która potrafi pokonać partię mającą swoją telewizję i swoje inwigilujące polityków opozycji służby. Natomiast fragment o tym, że niczego nie możemy wybierać, został przez Morawieckiego pominięty. Powstaje pytanie: dlaczego? Czy uznał go za niewnoszące nic istotnego wtrącenie, czy też sformułowanie niebezpieczne dla kontekstu, w jakim się znajdował. Władza nie może wybierać władzy, bo władzę wybierają obywatele: ot, taka niefortunność demokracji. Marzy się zatem niektórym autokracja, w której rzeczywistość „nie możemy niczego wybierać”.

Skutek uboczny parafrazowania jest taki, że wprawdzie fragment ten został przez Morawieckiego pominięty, ale rozpoznanie w jego wypowiedzi parafrazy Rymkiewicza powoduje, że jednak w nim tkwi. Co więcej, dzięki pominięciu zostaje uwypuklony. Dzieje się tak na mocy figury retorycznej zwanej praeteritio, czyli pominięcia w celu zwrócenia na coś uwagi. W exposé premiera ważniejsze było nie to, co powiedział, ale to, czego nie powiedział. A nie mówiąc – przewidział: Polska to straszna siła, która zmiotła władzę o autorytarnych zapędach. Jego władzę. I nie ma się co dziwić, że mówiąc przedtem: „Staję przed państwem z poczuciem dumy i odpowiedzialności, z podniesionym czołem” – Mateusz Morawiecki spuścił głowę.

Osiem milionów głów do zrozumienia

Co macie zamiar zrobić z wyborcami Kaczyńskiego? Bo coś zrobić trzeba. Oni tu będą – jak sąsiedzi z bloku, z którymi mamy problem.

Marcin Matczak



„Jest pan niemieckim agentem” – powiedział Kaczyński Tuskowi, jak tylko skończył śpiewać polski hymn. Potwierdził tym samym, że choć on żyje, Polska już zginęła. Przy najmniej ta z jego chorych marzeń – w której podstawą naszego ustroju nie jest podział władz, tylko kłamstwo. Bo beczelnym kłamstwem Kaczyńskiego ostatni tydzień w Sejmie położył wreszcie kres. Pozostały mu budzące politowanie okrzyki „Agent!” i „Za to, co zrobił Braun, trzeba odwołać Hołownię!”.

Tusk odpowiedział: „Powinienem być wdzięczny, że tak bardzo odkrywa to, co mu w głowie siedzi”. I to jest dobry komentarz, bo coś więcej można powiedzieć. Niestety, polityka to miejsce dla wszystkich, w tym także dla pomyłków, którzy po Sejmie biegają z gaśnicą, choć dymi im się tylko pod ich własną kopułą.

Warto jednak pociągnąć pytanie, co Kaczyńskiemu w głowie siedzi. Bo coś podobnego siedzi w głowach ośmiu milionów Polaków, którzy na PiS głosowali. A zwycięska opozycja ma na tę zawartość pisowskiej głowy odpowiedź wprawdzie staropolską, ale dalece niewystarczającą: „Jebać!”.

Znaczenie tego czasownika obejmuje tak różne aktywności jak spółkowanie, bicie i lekceważenie. Nikt z elektoratem PiS nie chce uprawiać jakiegś namiętnej miłości (choć jako nowo wyświęcony symetrysta jestem o taką perwersyjną chęć posądzany). Ale trzeba zapytać wprost – co macie zamiar zrobić z wyborcami Kaczyńskiego? Nie chcecie ich kochać, chcecie bić albo lekceważyć? A może jest jakieś inne rozwiązanie?

Bo coś zrobić trzeba. Oni tu będą – jak domownicy, jak sąsiedzi z bloku, z którymi mamy problem. Oni nie lubią nas, my nie lubimy ich, raz my wybieramy gospodarza domu, który z nimi ma zrobić porządek, potem oni wybierają swojego, i on ma podobne zadanie.

Nie podoba się metafora domowników? Nie są sąsiadami? A kim są? Obcym narodem jak Rosjanie albo Niemcy? Mamy zacząć z nimi walczyć? Wojna domowa byłaby rozwiązaniem? Chyba nie o to chodzi.

To może chcecie uznać ich zbiorowo za nienormalnych? Skoro Kaczyński plecie coś o agenturze, a Suski chwali zabójcę Adamowicza, to może założyć, że tak jak liderzy pomyleni, to i elektorat głupi? I co wtedy? Ubezwłasnowolnić ich wszystkich? Co ma być tego politycznym odpowiednikiem? Pozbawienie prawa głosu w wyborach? Wolne żarty. Powtarzam więc pytanie: co chcecie z nimi zrobić?

Łatwo pokazać osiem gwiazdek rządowi – można go odwołać w wyborach i wtedy gwiazdkowe życzenie się spełnia. Łatwo nawet życzyć pojedynczemu Jackowi Kurskiemu, by coś utknęło mu w dziąśle. Ale jak chcecie odwołać osiem milionów ludzi, jak chcecie ich ośmiogwiazdkować, skoro oni tu żyją i tu będą znowu za jakiś czas głosować? Zresztą w niektórych aspektach ich nie lekceważycie, ale okazujecie empatię. Jakoś

nie słyszę zarzutów, że bez sensu jest pozostawiać 800 plus, bo to wyraz „troski” o elektorat PiS. Skoro ich lekceważycie, zabieracie im te pieniądze. Nie zrobicie tego, bo wiecie, że PiS dbał o nich socjalnie, więc nie możecie być gorsi. Ale PiS dbał o nich także w inny sposób – przywracając im symbolicznie godność, chroniąc przed rzeczywistymi i urojonymi atakami na ich świętości. Jesteście więc hipokrytami – socjalnie o lud pisowski dbacie, a symbolicznie i tożsamościowo nie. Pierwsze jest dla was mądrością, drugie głupotą.

A niby dlaczego? Przecież PiS rządził dwie kadencje, bo połączył populizm lewicowy (transfery socjalne) z prawicowym („wstawanie z kolan”). Chcecie teraz, żeby ten pisowski suweren miał kasę, ale trzymał głowę nisko? Żeby miał na grilla i browar, ale spożywał je w postawie podłej i nikczemnej? Czy to nie jest pogarda?

Wybaczcie tę serię retorycznych pytań, ale kiedy oburzacie się na propozycję, by objąć troską elektorat PiS, jesteście nielogiczni. Tak jak nowy rząd dba o ich socjale, tak powinien dbać o ich morale. Bo to jedyny moment, kiedy PiS można rzeczywiście osłabić tak, żeby jego szalone pomysły na niszczenie Polski nie wróciły.

Trzeba przyjąć, że tam są ludzie, którzy nie muszą głosować na Kaczyńskiego, żeby ochronić to, co dla nich ważne. Że nie muszą wierzyć w spiskowe teorie dziejów, zawsze atrakcyjne dla niepewnych siebie, bo normalny rząd pozwoli im czuć się tutaj w miarę bezpiecznie. I że poziom resentymentu można u nich zmniejszyć, odcinając populistyczne paliwo PiS.

Czy zamiast tego musimy ich umacniać w przekonaniu, że PiS jest ich jedyną nadzieją? A może da się zmniejszyć pisowskie poparcie choć wśród części wyborców? Tak jak Kaczyński chciał odebrać elektorat PSL-owi, może niech teraz PSL i Trzecia Droga odbiorą część Kaczyńskiemu? Jak mają to zrobić, jeśli będziemy tych ludzi obrażać?

Oprócz tych, którzy czują bezradność wobec świata, są w elektoracie PiS ludzie bardzo inteligentni, radzący sobie ze światem lepiej niż wyborcy KO. Ale dla nich także ważna jest agenda konserwatywna, czasem religijna albo patriotyczna. Czy da się obniżyć polaryzację uznając, że dla wartości tych ludzi jest miejsce w naszym życiu publicznym, że nie muszą być banitami, bo ich partia przegrała wybory?

Dajcie im więc alternatywę. Może zmarginalizować politycznych wariatów, tak jak się marginalizuje trolli w mediach społecznościowych, i mówić bezpośrednio do ich wyborców? A gdy grupa liderów wyciąga ze swojego elektoratu to, co najgorsze, nie brać w tym spektaklu udziału, dolewając oliwy do ognia?

Może więc zbyć zarzut o agenturalność Tuska, zejść poniżej tej idiotycznej formy i – odpowiadając na oczekiwanie części naszych współobywateli – prowadzić wobec Niemiec czy Brukseli politykę bardziej asertywną? Może zlekceważyć bzdury Suskiego o Kulturkampf i neopogaństwie, ale zrozumieć obawę przed atakami na tradycję i religię, które wyborcę PiS boją, nawet jeśli je wyolbrzymia? I promować szacunek dla uczuć religijnych?

Zastanówmy się, co powinno być odpowiednikiem 800 plus w sferze potrzeb wyborcy PiS, które nie są fizyczne, ale metafizyczne, żeby tak rzec. Bo takie on też ma i obecnie leżą one odlogiem.

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka

24-letni Adam Gomola, najmłodszy parlamentarzysta w tej kadencji, nie miał najłatwiejszego startu w Sejmie. Kiedy podczas debaty nad ustawą o zmianie przepisów dotyczących niedziel niehandlowych „jako jedyny przedstawiciel gen. Z” nawiązał do sytuacji studentów, wrzawa w ławach PiS uniemożliwiła mu kontynuowanie wypowiedzi. – Co rusz słyszę uwagi pod adresem mojego wieku – westchnął 24-letni Gomola i poprosił o interwencję marszałka.

A Szymon Holownia nie odmówił sobie zostania kolejnym memem. – Nie Jay-Z, tylko gen. Z, panie pośle Kaleta. To są jednak dwa różne zjawiska – stwierdził.

Zjawisko zwane gen. Z obejmuje 30 proc. światowej populacji i około jednej czwartej siły roboczej. Jest obiektem licznych analiz i jeszcze liczniejszych narzekania. Spróbujmy pomóc nie tylko posłowi Kalecie w zrozumieniu go.

utrudnia nawiązanie relacji ze współpracownikami, a relacje są dla zetek ważne.

Prawie połowa zetek odczuwa permanentny stres, głównie z powodu stanu własnych finansów, ale także z przepracowania. Nawet więcej, mimo relatywnie krótkiego stażu pracy mówi o wypaleniu zawodowym. To oni też najczęściej skarżą się nie tylko na mobbing i molestowanie, ale także na mikroagresję w pracy – mają większą świadomość i niższą tolerancję na takie zachowania niż poprzednie pokolenia, może poza milenialsami. W badaniu Deloitte milenialsi i zetki wypadają zresztą bardzo podobnie, co nie dziwi socjolożki Katarzyny Krzywickiej-Zdunek. – To milenialsi jako pierwsi wprowadzili termin work-life balance. Przetarli ścieżki, a zetki to po prostu realizują.

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

ki ma odróżniać większy pęd do władzy i osiągnięć, hedonizm i potrzeba stymulacji. Sukces i bycie docenionym są istotne dla 44 proc. ich pokolenia, w porównaniu z trochę ponad jedną trzecią milenialistów, prawie jedną czwartą 40-letnich i 13 proc. baby boomerów. Trochę ponad 4 na 10 zetek deklaruje, że liczy się dla nich robienie rzeczy, które sprawiają im przyjemność. 3 na 10 mówi wprost, że ważne jest dla nich bycie bogatymi i ekscytujący styl życia. U starszych pokoleń procent odpowiedzi twierdzących sukcesywnie spada.

Należy jednak pamiętać, że to wciąż nie oznacza, że większość zetek to szukający stymulacji hedoniści. Ba, nawet nie połowa. Po prostu zetki bardziej szczerze się do niego przyznają.

Za otwarty hedonizm części najmłodszego pokolenia mają odpowiadać media społecznościowe, które pokazują wyidealizowany obraz rzeczywistości: twarze obrobione filtrem, sylwetki ustawione w najkorzystniejszej pozycji, życie, na które składają się wakacje w malowniczych miejscach, imprezy i sukcesy.

Z drugiej strony mamy też trend na zdjęcia bez filtra i body positivity. O ile jeszcze milenialsi dorastali, patrząc na idealne – i poprawione Photoshopem – ciała na okładkach

dzieci progresywne od rodziców i dziadków, zwłaszcza w takich kwestiach jak prawa osób trans czy Black Lives Matter, ale nie są to różnice pozwalające mówić o konflikcie pokoleń, przynajmniej w rodzinie. Przeciwnie: zetki, jeśli chodzi o – wydawałoby się – niezbędny rytuał przejścia, czyli bunt wobec starych, są powściągliwe. Troje na pięciorko uważa rodziców za wzory do naśladowania, jedna czwarta wskazuje dziadków i nauczycieli.

Różnice zaczynały się pojawiać w poziomie liberalizmu zetek w sferze publicznej – wynika z badania Channel 4. Jedna czwarta ankietowanych stwierdziła, że „ma bardzo niską tolerancję dla ludzi, z których poglądami się nie zgadza”. Nie popierają absolutnej wolności słowa, zwłaszcza tego, które mogłoby skrzywdzić grupy dyskryminowane, i uważają, że „niektórzy zasługują na to, by zostać unieważnieni”. Channel 4 delikatnie zauważa, że postawę zetek charakteryzuje „paradoks między tą nietolerancją a ich autentycznie deklarowanymi pragnieniami obrony praw i wolności każdego człowieka”.

Brytyjscy badacze zapytali też o źródła stresu i kryzysów zdrowia psychicznego. O ile starsi za główne przyczyny uznali media społecznościowe, same zetki po-

NIETOLERANCYJNIE TOLERANCYJNI HEDONIŚCI

Milenialsi próbują zrozumieć pokolenie Z

Katarzyna Wężyk



FOT. SHUTTERSTOCK

Wrażliwi materialści

„Generacja Z, moje pokolenie, żyje w toksycznej kulturze osiągnięcia, ambicji. Musimy bez ustanku pracować, najlepiej po osiemnaście godzin, pisać kolejne prace, zaliczać niezliczone konkursy, żeby potem wpisać je w esej, który wyślemy na uczelnię, albo żeby zapunktować u nauczycieli, rodziców, rówieśników. Te oczekiwania wrzucają nas w schemat, który mało komu wychodzi na zdrowie” – aktywistka klimatyczna Dominika Lasota (ur. 2001) w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

Zestresowani, żyjący od pierwszego do pierwszego, ale nietolerujący mobbingu – taki obraz zetek wylania się z badania zetek (roczniki 1996–2012) i milenialistów (1981–96), które zleciła firma Deloitte. Interesowały ją głównie te cechy obu pokoleń, które mogą wykorzystać pracodawcy, ale można się też trochę dowiedzieć o ich wartościach i obawach.

Wyszło im, że zetki najbardziej boją się kosztów życia i bezrobocia. Katastrofa klimatyczna jest na trzecim miejscu, zdrowie psychiczne na czwartym. Nic dziwnego – połowa nie ma żadnych oszczędności. Praca wciąż jest ważna dla ich tożsamości – dla prawie połowy najważniejsza – ale pod warunkiem, że zostawia przestrzeń na życie prywatne. Preferują pracę hybrydową; najlepiej, jeśli proporcje między czasem spędzonym w firmie i na home office są elastyczne. Praca zdalna pozwala zaoszczędzić czas i pieniądze na dojazdy, ale

Badanie Deloitte nie potwierdza obrazu roszczeniowej zetki, która w środku dnia mówi szefowi, że idzie na jogę, a na informację, że deadline ma na wczoraj, reaguje rzuceniem papierami. – Powielanie takich stereotypów jeszcze bardziej pogłębia przepaść między młodszym a starszym pokoleniem. Żadna zetka w środku dnia nie pójdzie na jogę, raczej powie, że w umowie ma zapisaną pracę od 9 do 17 i jeśli ma zostać po godzinach, to chce być za to wynagradzana. Pokolenie X jest jeszcze w stanie położyć uszy po sobie i robić to, czego żąda pracodawca, bo jest wychowane w kuli pracy. Zetki od dzieciństwa są uczone asertywności i stawiania granic – mówi Krzywicka-Zdunek.

Indywidualni hedoniści

„Wydaje mi się, że ta autentyczność oznacza, że faktycznie są tą nową erą, czyli są bardzo otwarci. Przychodzisz do nich i czujesz się rzeczywiście jak z najlepszymi przyjaciółmi, co nie zawsze możesz poczuć z kimkolwiek innym. Myślę, że ich dużą zaletą jest to, że oni po prostu pokazują siebie takimi, jakimi są” – Wersow (rocznik 1996), jedna z popularniejszych polskich influencerów, o kanale Genzie na YouTube w rozmowie z „Glamour”.

Wartości zetek – oraz pozostałych pokoleń (w sumie 36 tys. osób z 30 krajów) – zbadała też firma consultingowa BCW i zebrała w raporcie „Age of Values 2023”. Efekt: od poprzednich pokoleń zet-

magazynów, na Instagramie jest też mnóstwo popularnych influencerów w każdym kształcie i rozmiarze. Dla zetek piękno jest bardziej różnorodne, a sukces niekoniecznie oznacza wypchany portfel: to też realizowanie siebie, ciekawe życie, podróże.

Należy także dodać, że wizja świata jako rogu obfitości – tylko brać – też ma swoje negatywne konsekwencje: – To pokolenie cierpi na paradoks wyboru. Za naszych czasów wchodziło się do lodziarni, były tam cztery smaki na krzyż i koniec. Dziś młody człowiek wybiera między 20 smakami i 50 posypkami. I odczuwa ogromną presję. Rodzice i media mówią mu, że może być, kim chce, tyle że to musi być najlepsza wersja siebie. Zetka boi się, że wybierze złe, bo przecież inna opcja mogłaby być lepsza – mówi Krzywicka-Zdunek.

Lubią swoich rodziców

„Bunt przeciwko rodzicom? Nie mają takiej potrzeby. Chcą żyć po swojemu, jasne, ale rodzice im na to pozwalają, plus zawsze mogą z nimi pogadać. To pokolenie świętego spokoju. Większość deklaruje, że ma dobre relacje z rodzicami, nawet jeśli różni się poglądami. To przeciwko czemu się buntować?” – Zuzanna Szybisty, współautorka raportu „Debiutanci '23” dla „Gazety Wyborczej”.

Channel 4 w 2022 r. zbadał 1,5 tys. brytyjskich zetek w wieku 13–24 lata. Najmłodsze pokolenie, tu bez zaskoczeń, jest bar-

dawoły bardziej tradycyjne powody do niepokojów: koszty życia, brak przystępnych cenowo mieszkań, niepewność co do przyszłości, presja odniesienia sukcesu i negatywne uczucia związane z wyglądem. Jak podsumowuje Channel 4: jedzenie, schronienie, ocena innych – zetki mają te same zmartwienia i priorytety co ich poprzednicy. A starszym pokoleniom mówią: nie martwcie się, dajemy radę. Sześć na dziesięć uważa, że starsi nie doceniają ich siły i odporności, a nadopiekuńczość rodziców jest dla nich głównym źródłem pokoleniowego konfliktu.

Kochają siebie, nie idą na kompromisy

„Przedstawiam wam My dating life 2023. Łączna liczba facetów: 13. Uważam to za bardzo dobry wynik, ponieważ wychodzi mniej więcej jeden facet na miesiąc. Całowałam się z 12 na 13 chłopaków. No, obviously, nie pocałowałam się z tym jednym, który okazał się gejem. Większość z nich poznałam w klubie, Tinder też sobie bardzo dobrze poradził. Pozostałe 17 procent to są faceci z mojej przeszłości. Czy to polecam? Nie. Situationships: no, tutaj poszło znacznie gorzej, tylko 15 proc. wszystkich poznanych facetów przerodziło się w situationships. Miejmy nadzieję, że 2024 r. przyniesie nam coś lepszego, więcej situationships, a może, chociaż się na to nie nastawiam, któreś z situationships przero-

dzi się w relationship” – użytkowniczka Tik-Toka werkucha, przedstawiając prezentację – z wykresami – swojego życia towarzyskiego i uczuciowego w 2023 r.

Według części badań to podejście do relacji romantycznych najbardziej odróżnia zetki od rodziców czy dziadków. Z raportu „Relationships: A Status Update” Vice Media Group z 2020 r. wynika, że najważniejszą relacją dla przedstawicieli najmłodszego pokolenia jest ta z samym lub samą sobą. Najpierw musisz pokochać siebie – uważają – żeby móc pokochać kogoś, a to pierwsze często wymaga solidnego wysiłku i często terapii. „Wierzą, że praca, którą wkładają w dbanie o siebie, ostatecznie poprawia ich relacje z innymi, ale nie potrzebują ani nie chcą być od nich zależni”. Związki wymagają kompromisów, a zetki – dowodzi Vice – nie mają specjalnej ochoty poświęcać tego, kim są, swoich pasji czy kariery dla innej osoby. I jeśli miałyby wybrać między związkiem a dającą satysfakcję i pieniądze pracą, raczej postawią na to drugie.

Małżeństwo i dzieci nie ma być bynajmniej jedynym ani też najbardziej pożądanym modelem. Większość badanych nie oczekiwała relacji do grobowej deski ani też, że jedna osoba będzie odpowiadać na wszystkie ich potrzeby: dopuszczają sytuację, w której rozdzielają seks, przyjaźń czy poczucie bezpieczeństwa między różnych partnerów lub różne etapy życia. Także dlatego, że w kwestii seksualności jest to najbardziej płynne i skłonne do eksperymentów pokolenie w historii. Tylko około połowy zetek określa się jako osoby heteroseksualne, a dla wielu płeć nie musi determinować pożądania. Aplikacje randkowe oferują niemal nieskończony wachlarz możliwości.

„Coraz więcej badań potwierdza: zetki, w porównaniu z poprzednimi pokoleniami, wydają się mieć wyjątkowo pragmatyczne podejście do związków” – przekonywało w styczniu 2022 r. w obszernej analizie BBC. Dorastające podczas pandemii, w cieniu zmiany klimatu i inflacji, pokolenie Z chce osiągnąć stabilizację, zanim zwiąże się z kimś na stałe. A że przy rosnących cenach mieszkań coraz więcej młodych dorosłych mieszka z rodzicami, oddała się też wchodzenie w stałe związki.

Nie tylko zresztą małżeństwa: stąd popularność tzw. situationship, czyli relacji romantycznej bądź seksualnej bez zobowiązań. Nie jest ona na wyłączność ani nie ma z zasady prowadzić do dalszych kroków w rodzaju wspólnego mieszkania czy małżeństwa – to bardziej wzajemne zaspokajanie swoich seksualnych i towarzyskich potrzeb (o ile nie kolidują z niczym ważniejszym, typu kariera czy self care) do czasu, aż trafi się coś lepszego. Jak wynika z raportu Tindera z 2022 r. głównym trendem randkowym w przedziale 18-25 było właśnie situationship. Jego główną atrakcją miał być brak presji.

Naprawianie świata? Niech ktoś to zrobi za nas

„Odczuwam bardzo duży chaos. Ostatnio rozmawiałem z moimi rodzicami i powiedzieli mi, że w sumie cieszą się, że urodzili się w swoich czasach, a nie tych, ponieważ dla nich ten świat byłby zbyt skomplikowany. Kiedyś świat był prostszy. Nie uważam, że jesteśmy buntem albo rewolucją, uważam, że jesteśmy bardziej chaosem” – uczestnik badania „Młodzi dorośli 2022”.

Jak w porównaniu z rówieśnikami wypadają polskie zetki? Podobnie. Badanie „Generacja Z – rzeczywistość młodych w kontrze do utrwalonych stereotypów” domu mediowego Mediahub i Instytutu Badań „Pollster” w 2022 r. (1,3 tys. osób z roczników 1998-2006) rozprawia się z popularnym przed pandemią obrazem pokolenia aktywistek i naprawiaczy świata. 7 na 10, owszem, deklaruje, że tworzenie lepszego świata jest dla nich ważne, ale tylko 2 na 10 jest skłonnych działać w tym kierunku, a ponad połowa

ma mówi, że problemy społeczne ich przerażają. Podobnie jak ich zachodni rówieśnicy, polskie zetki nie buntują się przeciw rodzicom (7 na 10 ma z nimi dobre relacje, tyle samo wciąż z nimi mieszka) i otwarcie rozmawiają o seksualności.

Raport „Młodzi dorośli 2022” Doroty Peretiatkowicz i Katarzyny Krzywickiej-Zdunek (2 tysiące badanych, przedział wiekowy 16-35 lat) bada „toksyny i endorfiny”, czyli to, co zetki – i młodszych milenialsów – stresuje i co ich napędza. Do tych pierwszych poczucie braku wpływu na rzeczywistość, zagubienie w nadmiarze wyboru i łączyący się z nim lęk przed podjęciem złych decyzji czy poczucie braku perspektywy. Aż 8 na 10 badanych przyznało, że boi się o pracę i swoje finanse.

Młodzi czują się też przytłoczeni presją: przede wszystkim sukcesu, którą odczuwają niemal od przedszkola, ale też buntu: w medialnych narracjach to oni mają odwrócić katastrofę klimatyczną czy wywalczyć prawa reprodukcyjne. Dotyka ich kryzys zaufania do wszelkich autorytetów, może poza rodziną, ale także do pokazywanej w social mediach rzeczywistości czy ekologicznych obietnic wielkich firm. Wreszcie, dręczą ich lęki mniej lub bardziej apokaliptyczne: przed katastrofą klimatyczną, kolejną pandemią, kryzysem finansowym.

Podtrzymują zetki i napędzają je relacje z najbliższymi i poczucie bezpieczeństwa; w pracy ważny jest dla nich brak stresu. 9 na 10 deklaruje, że każdy człowiek powinien dążyć do założenia rodziny, tyle samo zapewnia, że ważna jest dla nich miłość, a niewiele mniej, że związek. Jak te deklaracje mają się do situationships? Badaczki przekonują, że jeśli faktycznie istnieje taki trend, to raczej wąski i raczej miejski. W sytuacji zagrożenia – pandemia, wojna u sąsiada, wzrost kosztów życia – zwiększa się znaczenie poczucia bezpieczeństwa, które zapewnia krąg najbliższych. Rodzina, niekoniecznie heteroseksualna, ale w przeważającej mierze jednak model mama, tata plus dzieci. Krzywicka-Zdunek: – Polskie zetki są bardziej tradycyjne.

Można też zaryzykować stwierdzenie, że są także bardziej libertariańskie niż ich zachodni rówieśnicy. Najpopularniejszym politycznym postulatem w badaniu „Debiutantów ’23” – czyli osób głosujących w tym roku po raz pierwszy – były niskie podatki, a „Młodzi dorośli” skarżyli się na „zabijanie przedsiębiorczości i pracowitości” przez programy socjalne, czyli „rodawnictwo”. Najmłodsi wyborcy nie zagłosowali jednak masowo na Konfederację – zajęła czwarte miejsce, po KO, Lewicy i Trzeciej Drodze.

Marudzące płatki śniegu czy pokolenie Greta?

„Pokolenie Z jest leniwe, roszczeniowe i nie chce pracować tyle co my – uważają mileniali” – serwis Money.pl.

Na temat zetek – i ich realnej lub wydumanej odrębności od innych pokoleń – każdego roku chętnie wypowiadają się przedstawiciele pozostałych generacji. Część z nich zachwycą się: pokolenie Greta Thunberg i Katniss Everdeen (bohaterki „Igrzysk śmierci”), oni uratują świat przed katastrofą klimatyczną, rasizmem, seksizmem, transfobią i wszelką inną nietolerancją oraz nauczą nas wszystkich zdrowego work-life balance’u. Ale chyba więcej jest głosów krytycznych. Mają najlepiej w historii, a jeszcze narzekają i uważają, że wszystko im się należy. Totalny brak pokory. Nie chce im się pracować, robią tylko to, co muszą, a i to nie zawsze. „Kruchutkie jak płatki śniegu, przekonane o swojej wyjątkowości i skoncentrowane na własnych potrzebach”. Psychicznie słabi i unikający ryzyka, a przez to mniej innowacyjni. A poza tym zetki to pokolenie domorosłych inkwizytorów i lajkowych policjantów gotowych do unieważnienia każdego, kto choć na milimetr odchyli się od ich woke-ortodoksji, chociażby i przez polubienie nieprawomyślnego posta.

Oba podejścia, to pełne zachwytów i to potępiające w czambuł, są równie upiupiające.

Można też zapytać, czy zetki są aż tak radykalnie inne od poprzednich pokoleń. Dziennikarka edukacyjna Justyna Sucheca w swojej książce „Pokolenie zmiany” nazwała je, no właśnie, pokoleniem zmiany. Ale czy każde z żyjących dziś pokoleń nie zasługuje na ten tytuł? Baby boomerzy zafundowali światu rewolucję kulturalną i seksualną. Polskie pokolenie X dorastało w czasach demokratycznej i kapitalistycznej transformacji. Mileniali przeszli ze świata analogowego w cyfrowy. To wszystko potężne zmiany.

Poza tym sam podział na pokolenia jest dość arbitralny. Czy faktycznie ludzie urodzeni w 1995 roku różnią się tak dramatycznie od tych z rocznika 1997? I czy przypisywanie zestawu cech kilkunastu rocznikom nie przypomina aby trochę astrologii, z tą różnicą, że ta ostatnia ma dwanaście charakterologicznych typów w roku? Nie wszyscy boomerzy uprawiali wolną miłość i protestowali na ulicach, nie wszystkie X „orbitowały bez cukru” i odrzucały konsumpcjonizm i nie wszyscy mileniali piją sojowe latte.

Narzekanie na „tę dzisiejszą młodzież” oraz „starych, którzy nic nie rozumieją” jest

Twarze obrobione filtrem, sylwetki ustawione w najkorzystniejszej pozycji, życie, które najlepiej wygląda na Instagramie. Czy może jednak zdjęcia bez filtra i body positivity?

stare jak świat i w znacznej mierze wynika z różnic podejścia na różnych etapach życia. W młodości zazwyczaj jesteśmy bardziej radykalni i skupieni na sobie, a razem ze zmarszczkami najczęściej przybywa zarówno tolerancji na (zgnile) kompromisy, jak i obawy przed nowościami. A zarzuty starych wobec młodych też są dość stałe i przewidywalne.

Odwieczny konflikt

Rozwrzeszczana, roszczeniowa, niedomyta, obsceniczna, zagrażająca publicznemu porządkowi gówniarzeria, której jest po prostu za dobrze. W głowach im się z tego dobrobytu poprzewracało i stąd te idiotyczne, radykalne i niebezpieczne postulaty wolnej miłości, pokoju czy praw mniejszości.

To typowa lista zarzutów wobec baby boomerów. Tak, tych moralizatorskich emerytów z roczników 1946-64. Amerykańskich, bo to oni gorszyli pokolenia swoich rodziców i dziadków za pomocą seksu, narkotyków i rock’n’rolla. Polscy boomersi skutecznie wtedy szybko ścieżkę awansu społecznego ze wsi do miast, a nieliczni protestowali przeciwko zdjęciu „Dziadów” z afisza, więc było mniej kolorowo. Ale też słyszeli, że „panie, za moich czasów to wojna była, a wcześniej kryzys, i młodzi starszym nie pyskowali”.

Cyniczne, pozbawione ambicji, arogantkie, nieodpowiedzialne nieroby, którym nawet kontestować się nie chce porządnie, tylko siedzą w tych swoich kraciastych koszulach z tymi swoimi tłustymi włosami, słuchają Nirvany i ironizują. To z kolei narzekania starszych na pokolenie X (roczniki 1965-80). Znów polskie iksy nie pasują, bo u nas była to generacja szybkich karier lat 90., ale też się im obrywało, dla odmiany za egoizm, materializm i zapatrze-

nie w Zachód. Dziś od młodszych słyszą, że promują kulturę zapierdolu.

„Pokolenie Ja, Ja, Ja”. Chowani w duszącym ciepłku nadwrażliwcy, przyzwyczajeni do nagród za samo uczestnictwo. Uzależnione od technologii narcyzy, które nie potrafią sobie poradzić z najblaszszymi problemami, bo rodzice rozwiązywały je za nich. Roszczeniowe lenie: narzekają, że kryzys ekonomiczny na starcie podciął im skrzydła, ale gdyby nie jedli tostów z awokado, byłoby ich stać na dom i dwa samochody. To oni wymyślili trzy największe plagę ponowoczesności (oraz prawicowego publicysty): bezpieczne przestrzenie, ostrzeżenia przed niepokojącymi treściami i kulturę unieważnienia”.

To dość świeże narzekanie, sprzed dekady – nagłówek „Millennials: The Me Me Me Generation” pojawił się na okładce tygodnika „Time” w 2013 r. Jego obiektem były roczniki 1981-95 i tym razem Polska dogoniła już Zachód, bo teksty w naszych mediach były podobne. Dziś od dwudziestolatków starsi mileniali słyszą: „OK, boomer”, i zastanawiają się, co się stało, w końcu chwilę temu to oni uważali, że starzy ich nie rozumieją.

Młodzież zawsze słyszy, że jest leniwa, roszczeniowa, bezradna, przeczulona i wybitnie wkurzająca z tym swoim doprawdy

nieuzasadnionym przekonaniem, że pozjadała wszystkie rozumy. Starzy także od zarańia dziejów dostają odpowiedź, że nic nie rozumieją, są opresyjni i brak im elastyczności. Czy obecny konflikt pokoleń jest powodem do obaw?

Krzywicka-Zdunek uspokaja: – Myślę, że nie mamy gwałtownego konfliktu pokoleń. Przeciwnie, rodzice są ostatnim bastionem autorytetów dla ponad połowy młodych. To kwestia dialogu i uczenia się od siebie nawzajem. Młodzi mają inne potrzeby i należy spróbować to zrozumieć, ale to zrozumienie musi działać w obie strony. Należy się słuchać wzajemnie i nie wydawać osądów na bazie „bo mi się tak wydaje”.

I pamiętać, że każdy kiedyś był tą okropną młodzieżą i prawdopodobnie będzie opresyjnym starym. ●

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: większa się polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na: **Wyborcza.pl/Jutronauci**

FOT. BARTOSZ ZIEMSKI, OSWALD RODRIGO PEREIRA

250 OSÓB IDZIE NA K2

**Jeden zjeżdża na nartach,
drugi robi trudne drogi w skale i lodzie,
trzeci wchodzi na czas z tlenem.**

W Himalajach jest miejsce dla każdego

ZE WSPINACZAMI **BARTKIEM ZIEMSKIM*** I **OSWALDEM RODRIGIEM PEREIRĄ**** ROZMAWIA **BARTOSZ WRZEŚNIEWSKI***** (MAGAZYN „GÓRY”)

O czym jest wasz film?

OSWALD RODRIGO PEREIRA: Formalnie o pierwszym w historii zjeździe Bartka z dwóch ośmiotysięczników. A w istocie o tym, co ciągnie ludzi w góry wysokie. W filmie pada zdanie, że celem naszej wyprawy jest ucieczka od cywilizacji. Staram się odpowiedzieć na pytanie, czy góry mogą dać taką ucieczkę. Czy na taki spokój pozwala zagrożenie lawinami, niebezpieczeństwo?

BARTEK ZIEMSKI: Chciałem pojechać na wakacje, dobrze się bawić i zjechać z ośmiotysięcznika. A skoro już tam jesteśmy i mamy aklimatyzację, której bardzo nie lubię robić, to można zjechać od razu z dwóch.

O.P.: Oczywiście nie korzystaliśmy z dodatkowego tlenu i personalnego wsparcia Szerpów, więc oprócz wakacji i dobrej zabawy celem było osiągnięcie sportowe.

W potocznym wyobrażeniu Polaka wyprawa na ośmiotysięcznik to kilkanaście osób pod górą i długie tygodnie zmagani. Tymczasem wy jedziecie we dwóch, zdobywacie jedną górę, potem następną. Himalaizm się zmienił?

B.Z.: Działanie w małym zespole ma dużo plusów, ale trudno mi porównywać naszą akcję do wyprawy obłęźniczej, na przykład zimowej, bo jednak nie działaliśmy na górze sami, jest sezon, więc dużo osób toruje drogę na szczyt, a w razie czego są poręczówki, co sporo ułatwia.

O.P.: My się poznaliśmy na takiej dużej obłęźniczej wyprawie na Lhotse. Doświadczaliśmy tam tego wszystkiego, co jest minusem dużych wypraw. Musisz pogodzić się z tym, że jesteś tylko trybikiem w tej obłęźniczej maszynie. Z jednej strony praca i odpowiedzialność rozkładają się na cały zespół, z drugiej – chce się iść do góry, ale niekoniecznie się idzie, bo jest kierownik i on decyduje. Dotarło tam do nas, że nie chcemy uczestniczyć w takich projektach. W zespole dwuosobowym decyzyjność jest bardzo szybka i wszystko zależy tylko od nas. Na przykład na Dhaulagiri, gdy byliśmy w obozie trzecim, nagle pojawiło się okno pogodowe i nie patrząc na innych, mogliśmy jako pierwsi w sezonie wejść na szczyt. Gdy-

by to była duża wyprawa, być może to by się nie udało.

Każdy ośmiotysięcznik został zdobyty latem i zimą, a skompletowanie wszystkich 14 szczytów przy odpowiedniej logistyce jest możliwe w jeden sezon. Czy wobec tego himalaizm ma jeszcze sens?

O.P.: Jesteśmy właśnie po Krakowskim Festiwalu Górskim, gdzie był duży panel poświęcony temu zagadnieniu. Wnioski są takie, że duże projekty komercyjne i szybkościowe realizują osoby mające gigantyczne zaplecze finansowe i medialne, ale często wielką wartość mają osiągnięcia, które nie są medialne i gdzieś tam giną w natłoku informacji. To między innymi wejścia na sześciotysięczniki nowymi drogami, jak ostatni projekt Wadima Jabłońskiego – szefa programu Polski Himalaizm Sportowy – i Macieja Kimela. Ich droga Just Breathe, mimo wspaniałego charakteru, nie przebiła się do szerszego kręgu odbiorców.

Jednak w Himalajach jest przestrzeń dla różnych działań. Bartek zjeżdża na nartach, ja robię filmy, kto inny wytycza nowe drogi o charakterze mikstowym – czyli skalno-lodowym – albo wchodzi na czas, korzystając z dodatkowego tlenu w ramach bicia jakiegoś rekordu. Każdy w tych górach ma własną drogę i każdy może znaleźć ogródek, w którym pielęgnuje swoje projekty. Nigdy nie będę krytykować, co kto robi, jeśli robi to z poszanowaniem natury, tak aby nie zaśmiecać gór.

Na razie pojęcia takie jak styl alpejski, nie mówiąc już o skomplikowanych wyce-nach trudności we wspinaczce mikstowej, są kompletnie niezrozumiałe dla Kowalskiego. Jak rozpalić zainteresowanie innymi celami niż pierwsze wejścia?

B.Z.: Nie wiem, ale wierzę, że to możliwe, skoro jakimś sposobem Polacy kochają skoki narciarskie, mimo że nie mamy w tej dyscyplinie tradycji rozumianej tak, że bawi się w to szeroka rzesza pasjonatów. Nikt z kibicujących raczej sam na nartach nie skacze, a jednak wszyscy gorąco kibicują.

O.P.: Na pewno to trudne zadanie, bo media szukają emocji i większa jest klikalność tytułów z ofiarami śmiertelnymi, krwią, potem i łzami. Raczej nikt nie napisze o nowej drodze na sześciotysięczniku, ale jeśli ktoś złamie tam nogę i będzie jakaś dramaturgia, to wszyscy się tym zainteresują. W me-



diach nowe, ambitne wejścia ograniczają się do prasy branżowej, którą my, alpiniści, czytamy z wypiekami na twarzy, ale grono odbiorców jest ograniczone. Dobrze by było, aby raz na jakiś czas pojawiał się jakiś duży projekt typu zimowa wyprawa na K2, który zainteresuje media, bo to powoduje, że znajdują się pieniądze na wyprawy bardziej niszowe, dużo tańsze, ale też kosztowne.

Ale ten kij ma dwa końce, bo bardzo często samym bohaterom takich przejść nie zależy na rozgłosie. Jadą, robią swoje i tyle. Często te projekty da się opłacić z własnej kieszeni i nie trzeba chodzić po telewizjach śniadaniowych. Niestety, bywają też projekty takie jak nasz, tak drogie, że nie obejdzie się bez sponsorów.

Tylko czy po zdobyciu wszystkich celów ważnych w oczach laików himalaizmowi nie grozi spadek zainteresowania, a więc i odpływ sponsorów?

B.Z.: Myślę, że gorzej niż teraz już być nie może. **O.P.:** Teraz mamy niepewne czasy, wojnę w Ukrainie, wcześniej pandemię. Firmy boją się inwestować w cokolwiek, a co dopiero w himalaizm. Nawet nasz projekt, choć ma wszystko, czego potrzeba – ośmiotysięczniki, nowe wyzwanie, wyczyn – nie sprawił, że wszyscy uderzają do nas drzwiami i oknami.

Bartek, ponoć twoje pierwsze zjazdy z ośmiotysięczników wydarzyły się przypadkiem?

B.Z.: Dokładnie! O wyjeździe na Broad Peak dowiedziałem się jakoś miesiąc wcześniej. Od Mariusza Hatali [ceniony himalaista nowego pokolenia] dowiedziałem się, że tam jedzie, no i się zabrałem.

Z Dhaulagiri zjechałeś jako pierwszy, Annapurny sobie nie zaliczasz jako czystego zjazdu, bo użyłeś poręczówki, ale chyba też byłeś pierwszy? Z ilu ośmiotysięczników nikt jeszcze nie zjechał?

B.Z.: Na pewno z Kanczendzongi. Przynajmniej według dostępnych źródeł, bo 100 procent pewności nigdy mieć nie można. Co do reszty ośmiotysięczników sprawa jest dość skomplikowana, bo pojawia się pytanie o styl: co to znaczy zjechać z góry? Dla mnie to oznacza, że nie korzystam z poręczówek podczas zjazdu i nie odpinam nart. Z tego, co wiem, Broad Peak nie był zjecha-ny czysto.

Co w tej dyscyplinie jest najtrudniejsze: wejście z nartami wymagające na pewno sporej kondycji i cała ta wysokościowa logistyka czy sam zjazd?

B.Z.: To wymagające przedsięwzięcie jako całość, ale tym technicznym cruxem - tak nazywamy w slangu najtrudniejsze miejsce na drodze - jest oczywiście sam zjazd.

Zastanawiam się, jak rangę takiego wyczynu opisać komuś mniej zorientowanemu. Czy taki zjazd jest trudniejszy technicznie od najtrudniejszych freeride'ów – czyli jazdy poza trasami – w Tatrach?

B.Z.: O wiele większa jest skala przedsięwzięcia, natomiast techniczne trudności są raczej podobne. Mam na myśli to, że w Tatrach nie jest łatwo. Jednak największym problem są warunki. W Tatrach możemy wyczekać na ten najlepszy dzień w sezonie, na warun idealny. Możemy nawet czekać kilka sezonów, aż jakiś fragment idealnie wysnieży, a w Himalajach tak się nie da. Mamy jeden dzień z oknem pogodowym i kropka. Nie wiemy, co dostaniemy. Będzie warun czy nie, musisz to zjechać.

Która góra okazała się trudniejsza?

B.Z.: Chyba Annapurna, no bo jednak jej nie zjechałem w takim stylu, jak chciałem. Jest większym wyzwaniem przez sekcję między dwójką a trójką. Pewnie da się to jakoś objechać, ale mnie się nie udało znaleźć drogi. Za mało czasu. Dhaulagiri jest dużo przyjemniejsza i można było zjechać do samej bazy.

Annapurna cieszy się złą sławą ze względu na zagrożenia obiektywne. Wielu himalaistów poniosło na niej śmierć. Czuliście, że ryzykujecie?

B.Z.: Tam niebezpieczeństwo jest losowe, nie da się określić bardziej bezpiecznych godzin. Jednak działaliśmy szybko i w tym najbardziej niebezpiecznym miejscu byliśmy krótko.

Wysokość i spowodowany nią brak tlenu doskwierają podczas zjazdu?

B.Z.: Na pewno trochę, szczególnie na początku, ale super jest to uczucie, gdy szybko tracisz wysokość i to bardzo czuć – im niżej, tym lepiej. Nie wiem, jak to porównać z zejściem. To już by trzeba Oswalda zapytać.

Mam podpisany akt notarialny, że w przypadku śmierci w górach nie chcę, aby ściągać moje ciało, jeśli ktoś miałby ryzykować życie

O.P.: Diametralna różnica. Na zejściu obniżanie wysokości następuje wolno, bo w miarę schodzenia rośnie zmęczenie, więc zysk jakby się niweluje. Dopiero w bazie czuje się różnicę i ten dopływ tlenu oraz komfort związany z pełnym bezpieczeństwem.

Czemu tak mało ludzi zajmuje się skialpinizmem w górach najwyższych?

B.Z.: Jeśli chodzi o himalaistów, to wydaje mi się, że w dużej mierze nie mają na tyle umiejętności, aby jeździć tam na nartach. A dlaczego profesjonalni narciarze nie jeżdżą w Himalaje? To duże wyrzeczenie i zabiera sporą część sezonu. Trzeba mieć grubą zajawę, żeby spędzić tyle czasu w górach dla jednego czy dwóch zjazdów. W tym czasie u siebie na miejscu zrobisz mnóstwo ciekawych linii. Trzeba mieć do tego pasję.

Oswald, dla ciebie to było chyba też trudne zadanie, bo oprócz roli partnera wspinaczkowego kręciłeś film, a potem schodziłeś samotnie ze szczytu.

O.P.: Na pewno nie jest łatwo. Oprócz myślenia o celu sportowym dochodzi dodatkowe obciążenie, sprzęt filmowy musi być naladowany, sprawny, jeśli coś się na górze zepsuje, to koniec. No i na szczycie nie ma przestrzeni do celebracji wejścia. Zdobywam szczyt i dopiero tak naprawdę zaczyna się moja praca – muszę jeszcze nagrać zjazd Bartka, złapać ostrość, myśleć o kadrze, a przecież znajdujemy się na ośmiotysięczniku bez dodatkowego tlenu.

Pewnie z punktu widzenia filmowego lepiej by było, gdyby nasz zespół był większy, bo na przykład ktoś by filmował zjazd w pośrednich obozach. Z drugiej strony nasz wyczyn miał chyba bardziej sportowy charakter i to daje sporą satysfakcję. Nie ma na świecie zbyt wielu filmowców kręcących na ośmiotysięcznikach ujęcia, które jeszcze potem da się oglądać.

Czy wspinaczka ze skialpinistą różni się od klasycznej wyprawy wysokogórskiej?

O.P.: Widzę same różnice (*śmiech*). Bartek porusza się dużo szybciej. Gdy po powrocie do domu przeanalizowałem czasy moich zejść i przemyślałem całą akcję pod kątem wydatku fizycznego i psychicznego, doszedłem do wniosku, że sporo mniej to kosztowało. Jesteśmy na szczycie razem, potem Bartek zjeżdża, a ja zostaję sam. Czekam co prawda w trójce i dopiero, jak dojdę, kontynuuje zjazd, ale mimo wszystko zejście jest dość samotne. Wymaga zaciśnięcia zębów i dania z siebie 100 pro-

cent, jeśli chodzi o wysiłek fizyczny, bo po prostu osoba na nartach jest szybsza. W dodatku, gdy filmuję, muszę potem nadrabiać stracony czas i gonić za Bartkiem. Moje zejścia na Annapurnie i Dhaulagiri trwały 15 i 10 godzin, a miałem już w nogach przecież atak szczytowy. Ale taka już dola narciarskiego ignoranta, musi deptać w dół.

Premiera waszego filmu była w Korei. Dlaczego tam, a nie w Polsce? Czyżby w Azji scena filmów wspinaczkowych i outdoorowych była większa niż w Europie?

O.P.: To był trochę zbieg okoliczności. Na Ulsan Ulju Mountain Film Festival co roku jakieś państwo jest partnerem wydarzenia, w tym

roku padło na Polskę, więc polskim twórcom było łatwiej się tam dostać. A ja chciałem zaprezentować dzieło za granicą, bo wychodzę z założenia, że taki widz jest bardziej obiektywny. Nikt nie będzie klepał mnie po ramieniu, bo jestem z towarzystwa. To też naturalny element rozwoju i oczywiście otwiera jakieś furtki.

Łatwo przebić się do globalnego festiwalowego świata?

O.P.: Nie miałem żadnego producenta, więc musiałem tę organizacyjno-wizerunkową robotę wykonywać sam i było to wykańczające. Samych maili były setki. Przekonywanie kogoś, że twój film jest ciekawy, to najmniej wdzięczna robota, tym bardziej że teraz jest lekkie przesycenie filmem górskim na świecie, tak samo jak do niedawna literaturą górską. Ale krótki metraż był dobrym testem, jak taki film się przyjmuje za granicą i ile trzeba pracować nad jego promocją.

Jak wypada polska kinematografia wspinaczkowa na tle innych krajów?

O.P.: Nasze filmy mają mniejszy budżet i to je wyróżnia. To ma się nijak do wielkich zagranicznych produkcji, gdzie na film pracuje cały sztab ludzi dysponujący niewiarygodnym sprzętem. Na pokazie w Paryżu zostałem zapytany o eksperymentalny i minimalistyczny styl tego filmu – a on jest odzwierciedleniem tego, jak działamy w górach wysokich. Idziemy minimalistycznie załadowani sprzętem, bez luksusów i ekipy. Obraz jest dość surowy, ale za to może bardziej prawdziwy?

B.Z.: A następny film nie mógłby być ciut weselszy?

O.P.: Bartkowi chodzi o to, że mieliśmy do czynienia z dramatycznymi wydarzeniami, czyli lawiną na Annapurnie, która zabrała nam cały sprzęt, zasypała namioty. Te momenty radości na szczycie też jakoś nie wybrzmiewały, nie nagrywaliśmy selfie i uśmiechów. Dochodziliśmy na szczyt, Bartek zjeżdżał i tyle. Nie chciałem na siłę szukać radosnych momentów. Nie na tym polega rola dokumentalisty. Portretuję Bartka w obliczu okoliczności, które nas spotkały, a nie zawsze były one wesołe. Ale postaram się, żeby następny film miał więcej wątków humorystycznych.

Lawina zabrała wam sprzęt?

O.P.: To było w obozie drugim, wysoka dwójka, 5700 m. Miejsce wyglądało na bezpieczne, zresztą Adam Bielecki z Mariuszem Hatalą dzień wcześniej spędzili tam noc. Zosta-

wiliśmy tam wszystko, co potrzebne do ataku szczytowego: namiot, śpiwory, karimaty, palnik, gazy, jedzenie, baterie do ogrzewanych skarpet i sprzętu filmowego, dwa czekany. Gdy wróciliśmy po paru dniach, miejsce było nie do poznania. Obóz zdmuchnęła lawina. Trzy dni spędziliśmy na poszukiwaniach sprzętu, syzyfowa robota, przekopaliśmy tony śniegu, ale mimo urządzeń nawigacyjnych nie mieliśmy bladego pojęcia, gdzie ten namiot może być. Uznaliśmy, że dalsze poszukiwania nie mają sensu, bo tracimy tylko energię i motywację.

Mnie to bardzo dobiło, bo miałem w głowie szybką akcję, byliśmy silni i gotowi do działania, a tymczasem stoimy w miejscu. Na szczęście dzięki wsparciu osób z innych wypraw, które wykazały się bardzo solidarnościową postawą, pożyczając nam sprzęt, spróbowaliśmy raz jeszcze, tym razem z bazy bezpośrednio do obozu trzeciego, a następnie na szczyt.

W tym samym czasie na Annapurnie Bielecki z Hatalą próbowali wytyczyć nową drogę w ramach programu PHS.

B.Z.: Absolutny przypadek. Również to, że lecieliśmy tym samym samolotem.

O.P.: W bazie mieliśmy wspólną mesę, więc spędziliśmy dużo czasu ze sobą. Na pewno było to mile, że oni są w pobliżu, bo czuliśmy się różnie i wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć.

Czy dokumenty górskie pozwolą zrozumieć Kowalskiemu, co to jest styl alpejski i że droga na trzytysięczniku może być dużo bardziej wymagająca niż na ośmiotysięczniku? Widzicie tu jakiś wymiar edukacyjny czy raczej są to filmy dedykowane samym wspinaczom, narciarzom, alpinistom?

O.P.: Filmowanie trudnych mikstowych przejść typu nowa droga na sześciotysięczniku wiele by pomogło i na pewno miało wymiar edukacyjny. Może to dobry pomysł, aby zrobić ambitny, ciekawy film, który byłby pokazywany nie tylko na festiwalach górskich, ale też w szerszych kręgach. Przecież „Free Solo” i „Dawn Wall” zdobyły ogromny rozgłos, są wyświetlane w kinach na całym świecie, mają mnóstwo odsłon w serwisach streamingowych, a przecież nie traktują o ośmiotysięcznikach. No ale to są filmy za gigantyczne pieniądze. Pytanie, czy bez zaplecza medialnego lub wielkich sponsorów podobny sukces filmowy jest w ogóle możliwy.

Ciekawym wątkiem jest wasza przyjaźń z Carlosem Sorią, którego uratowaliście na Dhaulagiri.

O.P.: Przyjaźń to może za duże słowo. Pewnie nie jesteśmy wśród jego pierwszych kontaktów telefonicznych, ale wysłał nam dużo zdjęć swojej nogi i informacji, jak przechodzi rekonwalescencję. Zaprosił nas do swojego rodzinnego miasta w Hiszpanii na prelekcję i na wspólny obiad z rodziną. To było mile. Ludzie, którzy są jego fanami, dziękowali nam za pomoc, czuliśmy się tym trochę... może nie tyle zażenowani, co zawstydzeni. Opowiedział nam też dużo więcej o okolicznościach wypadku i rzeczywiście było to dramatyczne, więc cieszymy się, że mogliśmy wesprzeć ekipę, która wcześniej ściągnęła go z wysokości 7700 m na 7250 m.

Jak wyglądała akcja ratunkowa?

O.P.: Siedzieliśmy już w Katmandu, czekając na lot powrotny, gdy odezwała się agencja Seven Summit Treks z prośbą o pomoc. Wydawało się to prostym zadaniem, ale na miejscu okazało się, że chodzi o otwarte złamanie nogi. Pięciu Szerpów pod wodzą Sito Carcavilli, partnera wspinaczkowego Carlosa, sprowadziło go do obozu trzeciego, a my wystartowaliśmy z dwójki, gdzie nas wysadzano z helikoptera. Bartek dotarł pierwszy, unieruchomił nogę i rozpoczęła się sierniężna, czasochłonna operacja sprowadzenia go do namiotu powyżej dwójki, a następnego dnia do obozu drugiego.

To zastanawiające, że poproszono was o pomoc. Identyczna sytuacja miała

miejsce na Annapurnie, gdzie Bielecki z Hatalą wyciągnęli ze szczeliny na wpół żywego wspinacza. Czy to moralne, że agencje biorą od himalaistów astromiczne kwoty za możliwość wejścia na szczyt, a w razie wypadku wzywają niezależnych alpinistów, którzy okazują się najlepiej wyszkoleni?

B.Z.: Na pewno niemoralnie byłoby nie pomóc. Trudno rozważać, co jest moralne po stronie agencji. Super, gdyby istniała jakaś himalajska ekipa ratunkowa, zaaklimatyzowana i gotowa w czasie ataków szczytowych, które są przecież przewidywalne i nie odbywają się codziennie.

O.P.: Nepalczycy są bardzo sprawni, jeśli chodzi o logistykę, co pokazali chociażby podczas projektów szybkościowych Kristin Harili czy Nimsa Purji. Potrafią bardzo szybko przemieszczać się między ośmiotysięcznikami, więc to by było z pożytkiem dla wszystkich, jakby istniała taka mobilna, wyszkolona jednostka ratunkowa w Himalajach. Niestety, podejrzewam, że bardziej opłaca się pójść z klientem jako Szerpa, niż działać w takiej jednostce, i tu jest problem. Ale może odnalazłby się takie osoby z misją? Można by też zatrudniać przeszkoloną ekipę z zagranicy.

Na festiwalu w Paryżu zostałem zapytany o eksperymentalny i minimalistyczny styl naszego filmu – a on jest odzwierciedleniem tego, że mamy mały budżet, idziemy minimalistycznie załadowani sprzętem, bez luksusów i ekipy

Jeśli przydarzyłby się wam wypadek, jak wyglądają procedury ratownicze?

B.Z.: Agencja może pomóc, udostępniając helikopter, ale liczyć należy na siebie i swoich partnerów. Na Annapurnie byliśmy w dużo bardziej komfortowej sytuacji, bo działali tam Bielecki z Hatalą. To wpływa na psychikę, bo wiadomo, że jak coś się stanie, to oni na pewno rzucą swój projekt i będą w stanie nam pomóc, również pod względem technicznym, bo są świetnie wyszkoleni. Natomiast w innych momentach już nie jest tak przyjemnie.

A co z ciałami pozostawionymi tam na górze? Skoro za ogromne pieniądze przygotowuje się drogi, poręczając je i wykuwając miejsca pod obozy, może wypadałoby przy okazji usunąć ciała chociażby z grani, po której poruszają się alpinści?

O.P.: Wychodzę z założenia, że to bardzo indywidualne kwestie. Mam podpisany akt notarialny, w którym oświadczyłem, że w przypadku śmierci w górach nie chcę, aby ściągać moje ciało, jeśli ktoś miałby ryzykować życie. Wszystko zależy od człowieka. Są tacy, którzy czerpią jakąś dziwną rozkosz, fotografując się przy czyichś zwłokach, i to jest słabe, ale na przykład na Dhaulagiri od 1995 roku leży ciało niemieckiego wspinacza i nikt na to nie zwraca uwagi. Przeszliśmy obok, nie robiąc z tego sensacji. To rzeczywistość, która zawsze będzie w górach.

Rozziew między himalaizmem sportowym i komercyjnym rośnie. Ten drugi coraz bardziej przejmuje dla siebie góry

wysokie, stając się zjawiskiem masowym. Jaki to może mieć wpływ na kulturę górską i ekologię?

B.Z.: Na pewno im więcej ludzi, tym gorzej, ale zazwyczaj nikt nie trafia tu przypadkowo, a ludzie gór mają inne podejście do ekologii niż przeciętny obywatel. Starają się nie zostawiać po sobie śladu. Prawdą jest, że himalaizm staje się zjawiskiem masowym. Pamiętam, jak kilka lat temu wyszedłem w nocy za potrzebą z namiotu w base campie i zobaczyłem całe ramię K2 oświetlone latarkami. To był atak szczytowy, w którym uczestniczyło 250 osób. Jakby ktoś powiesił na grani lampki choinkowe.

O.P.: Moja obserwacja jest taka, że ludzie, którzy wspinają się bardziej niezależnie albo w sposób sportowy, zostawiają najmniej śmieci. To nie są osoby, które przygodę z górami zaczęły wczoraj. Ale zdarzają się sytuacje, na które nie mamy wpływu, jak wtedy, gdy lawina zabrała cały sprzęt, który już zostanie na lodowcu. Jako himalaiści też mamy swój udział w zaśmiecaniu planety, ale staramy się ten aspekt ograniczyć do minimum.

A co sądzicie o rekordach dokonanych na dodatkowym tlenie i ze wsparciem

ogromnego zespołu w ramach wejść komercyjnych? Kukuczka potrzebował na koronę Himalajów ośmiu lat, a Kristin Harila zrobiła ją w 92 dni – takie hasło przemawia do wyobraźni. Tyle że Kristin na każdy z tych szczytów wprowadzał przewodnik.

B.Z.: Wyznaje prostą zasadę: niech każdy robi to, co lubi, i niech się ludzie bawią, jak chcą. Natomiast samego zamysłu chodzenia z dodatkowym tlenem nie rozumiem, bo czemu w takim razie jechać w góry wysokie? Równie dobrze można działać gdzieś niżej i nie korzystać z tego tlenu, wyjdzie na to samo. Wysokie góry „na tlenie” przestają być wyzwaniem, bo odchodzą problemy związane z wysokością. Sam nigdy go nie używałem, więc nie wiem, na ile pomaga, ale podobno bardzo. Są wyliczenia, które wskazują, że dodatkowy tlen użyty na 8000 metrów obniża odczuwalną wysokość do 6000 metrów.

O.P.: Trzeba podkreślić, że to duży zamysł organizatorski. Nims musiał postawić wszystko na jedną kartę, przekonać sponsorów, poświęcić się tylko jednemu zajęciu przez długi czas. Teraz odcina od tego kupony, ale wiele ryzykował. Można się z nim zgadzać lub nie, ale na pewno jest maszyną, jeśli chodzi o logistykę i marketing.

Natomiast mnie bicie rekordów szybkościowych zupełnie nie przekonuje. Zrobisz wszystkie ośmiotysięczniki w jeden sezon i co dalej? Fajnie mieć nie tylko cel, ale przy okazji cieszyć się tym procesem wspinania i nabierania doświadczenia, a nie odbębnić wszystko za jednym zamachem.

Jakie macie plany na przyszły sezon?

B.Z.: Spodobało nam się to, dobrze nam się razem działa, więc na pewno chcemy jeszcze raz pojechać w Himalaje. Chcę spróbować zjechać z Kancenzonggi i pewnie jeszcze z czegoś obok przy okazji.

O.P.: Naszym głównym ograniczaniem są finanse. Nie jesteśmy aż tak sprawni marketingowo, aby mieć pełne wsparcie, więc cały czas szukamy sponsorów. Gdyby się udało, to będziemy myśleć o trzech ośmiotysięcznikach.

Bartek, czy zamierzasz zjechać na nartach całą koronę Himalajów i Karakorum? Czy jednak bardziej jarają cię niższe i mniej komercyjne góry?

B.Z.: Nie mam planu i myślę, że w ogóle nie będę miał. Teraz mi się to podoba i nie mogę się doczekać kolejnego wyjazdu, ale raczej żyję z celu na cel. Nie mam zajawki, żeby zebrać czternaście znaczków. Mam za to wrażenie, że droga zaprowadzi mnie gdzie indziej.

A jakieś cele w niższych górach?

B.Z.: Na razie nie. Na pewno chcę przepracować sezon lokalnie na nartach. Zima zaczyna się super, więc trzymajmy za nią kciuki!

O.P.: Miałem pomysł, aby zrealizować krótki projekt filmowy w niższych górach, ale jednak nasz cel himalajski będzie tak skomplikowany finansowo, logistycznie i sportowo, że zamiast tego wolę się do niego odpowiednio przygotować. Może w końcu spróbuję pojeździć na nartach? *(śmiech)*.

Bartek cię namówił?

O.P.: Może kiedyś uda mi się zjechać z jakiegoś dwutysięcznika *(śmiech)*. Ale mam nadzieję, że nie powstanie z tego żaden film. ●



*Bartek Ziemiński

● wspinacz, himalaista, członek programu Polski Himalaizm Sportowy, związany z Klubem Wysokogórskim SAKWA. W tym roku zachwycił środowisko wysokogórskie pierwszym zjazdem na nartach z Dhaulagiri i Annapurny, po którym okrzyknięto go następcą Andrzeja Bargiela – jednego z najwybitniejszych skialpinistów świata.



**Oswaldo Rodrigo Pereira

● himalaista i filmowiec, w 2021 r. wszedł na Broad Peak bez dodatkowego tlenu, uczestnik wyprawy, podczas której Bartek zjechał na nartach z Dhaulagiri i z Annapurny. Na podstawie tych wydarzeń nakręcił film „The Silent Escape” pokazywany na festiwalach w ponad 20 krajach na świecie i nagrodzony na Krakowskim Festiwalu Górskim.

*****Bartosz Wrześniewski** – alpinista, taternik, fotograf (FB: Bartosz Wrześniewski fotografia), dziennikarz, stały współpracownik magazynu „Góry” – najważniejszego polskiego czasopisma wspinaczkowo-górskiego – i kwartalnika Tatrzańskiego Parku Narodowego „Tatry”. Autor fanpage FB „Kaukaz w stronę wolności” i czekającej na wydawcę książki o tym samym tytule.

Zaoszczędzę miliony dolarów

„Ich konflikty nie są warte amerykańskiego życia”. Co będzie, jeśli Trump wróci

*
Applebaum



„Gównu mnie obchodzi NATO”. Tak byłby prezydent Donald Trump podsumował swoje uczucia wobec najstarszego i najsilniejszego sojuszu wojskowego Ameryki.

Wypowiedź ta, wygłoszona w obecności ówczesnego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Johna Boltona, nie była dla nikogo zaskoczeniem. Trump kwestionował wartość amerykańskich sojuszy, długo zanim zaangażował się w politykę. O Europejczykach napisał kiedyś, że „ich konflikty nie są warte amerykańskiego życia. Wycofanie się z Europy zaoszczędziłoby temu krajowi miliony dolarów rocznie”. NATO, założone w 1949 r. i wspierane przez 75 lat przez Demokratów, Republikanów i niezależnych, od dawna jest przedmiotem wyjątkowej irytacji Trumpa. Jako prezydent wielokrotnie groził wycofaniem się z sojuszu – w tym, pamiętnie, na szczycie NATO w 2018 r.

Podczas jego kadencji Ameryka została jednak w NATO. Zawsze bowiem znalazł się ktoś, kto Trumpowi ten ruch wyperswadował. Bolton twierdzi, że on, Jim Mattis, John Kelly, Rex Tillerson, Mike Pompeo, a nawet Mike Pence również mieli prezydenta powstrzymywać.

Nie zmienili jednak jego zdania na temat sojuszu. A jeśli Trump zostanie ponownie wybrany w 2024 r., żadna z tych osób nie znajdzie się w Białym Domu. Wszyscy zerwali z byłym prezydentem, w niektórych przypadkach dramatycznie. A nie ma innej puli republikańskich analityków, którzy rozumieją Rosję i Europę; większość z nich albo już w 2016 się od Trumpa odcięła, albo krytykowała go po 2020 r. W drugiej kadencji Trump będzie więc otoczony przez ludzi, którzy albo podzielają jego niechęć do militarnych sojuszy, albo nic o nich nie wiedzą i nie uważają ich za ważne. Tym razem zła wola, którą Trump zawsze odczuwał wobec amerykańskich sojuszników, prawdopodobnie znajdzie wyraz w zmianie kierunku polityki. „Szkoły, które wyrządził w pierwszej kadencji, można było jeszcze naprawić”, powiedział mi Bolton. „Szkoły w drugiej byłyby nieodwracalne”.

W wymiarze instytucjonalnym, a może nawet politycznym, opuszczenie NATO może być trudne dla Trumpa. Gdy tylko ogłosi swoje zamiary, nastąpi konstytucyjny kryzys. Podpisanie traktatów wymaga zgody Senatu, ale konstytucja nie mówi nic o zgodzie Kongresu na wycofanie się z nich. Dostrzegając tę lukę w prawie, demokratyczny senator Tim Kaine i republikański senator Marco Rubio zaproponowali przepisy – przeszły już przez Senat – mające na celu zablokowanie prezydentowi USA możliwości wycofania się z NATO bez zgody dwóch trzecich Senatu lub ustawy przyjętej przez Kongres. Kaine powiedział mi, że jest przekonany, że „sądy poparłyby nas w tej sprawie i nie pozwoliłyby prezydentowi na jednostronne wycofanie się” z Sojuszu, ale nie obyłoby się bez walki.

Administracja Trumpa stanęłaby też przed PR-owym kryzysem. Wiele osób – byli najwyżsi dowódcy Sojuszu, byli przewodniczący Połączonych Szefów Sztabów, byli prezydenci, gło-

wy obcych państw – z pewnością połączyłoby siły w obronie NATO, i to bardzo głośno.

Ostatecznie wszystko to nie miało by jednak większego znaczenia. Szkody zostałyby wyrządzone długo przed zwołaniem Kongresu w celu przedyskutowania wycofania się z traktatu. Najważniejsze źródło siły NATO nie jest bowiem prawne lub instytucjonalne, ale psychologiczne: każdy, kto chciałby zagrozić jakemukolwiek członkowi sojuszu, wie, że może się spodziewać kolektywnej odpowiedzi reszty państw członkowskich. Związek Radziecki nie zaatakował Niemiec Zachodnich w latach 1949-89 nie dlatego, że obawiał się niemieckiej odpowiedzi. Rosja nie zaatakowała Polski, państw bałtyckich lub Rumunii w ciągu ostatnich 18 miesięcy także nie dlatego, że obawia się Polski, państw bałtyckich lub Rumunii. Związek Radziecki powstrzymywał swoje imperialistyczne zapędy, a Rosja nadal to robi, ponieważ wierzy, że Ameryka przyjdzie swoim sojusznikom z pomocą.

Ten odstraszaający efekt nie wynika jedynie z traktatu założycielskiego NATO, suchego dokumentu, którego sygnatariusze w art. 5 zgadzają się na to, że „zbrojna napaść na jedną lub więcej z nich w Europie lub Ameryce Północnej będzie uznana za napaść przeciwko nim wszystkim”. Odstraszanie bie-

Nie ma alternatywnego przywództwa, alternatywnego źródła systemów dowodzenia i kontroli, alternatywnej broni kosmicznej ani nawet alternatywnych dostaw amunicji. Bez USA w NATO Europa natychmiast zostałaby wystawiona na rosyjski atak

rze się z przekonania Kremla, że Amerykanie naprawdę wierzą we wspólną obronę, że amerykańskie wojsko naprawdę jest przygotowane do wspólnej obrony i że prezydent USA naprawdę zobowiązuje się do działania, jeśli wspólne bezpieczeństwo zostanie zagrożone. Trump mógłby owo przekonanie zmienić jednym przemówieniem, jednym komentarzem, a nawet jednym postem w swoim serwisie społecznościowym Truth Social. A to, czy Kongres, media i Partia Republikańska nadal spierałyby się o legalność wystąpienia z NATO, nie miałyby najmniejszego znaczenia. Gdy naczelny wódz powie: „Jeśli sojusznik zostanie zaatakowany, nie przyjdę mu z pomocą”, po co ktokolwiek miałby się obawiać NATO niezależnie od tego, jakie zobowiązania nadal będą istnieć na papierze?

A gdy Rosja, lub jakiekolwiek inne państwo, przestanie obawiać się reakcji Stanów Zjednoczonych na atak na członka sojuszu, szanse na to, że go przeprowadzą, sukcesywnie rosną. Jeśli taki scenariusz wydaje się wam mało prawdopodobny, przemyślcie to. Przed lutym 2022 r. też wielu nie wierzyło, że kiedykolwiek może dojść do inwazji Rosji na Ukrainę.

Poprosiłam kilka dobrze znających NATO osób, aby wyobraziły sobie, co stałoby się z Europą, Ukrainą, a nawet Tajwanem i Koreą Południową, gdyby Trump ogłosił, że nie będzie ho-

norować artykułu 5. Wszyscy zgodzili się, że zaufanie do zbiorowej obrony mogłoby szybko wyparować. Alexander Vershbow, były ambasador USA przy NATO i były zastępca sekretarza generalnego NATO, przypomniał, że Trump mógłby odwołać amerykańskiego ambasadora przy sojuszu, uniemożliwić dyplomatom uczestniczenie w spotkaniach lub przestać pokrywać koszty brukselskiej siedziby organizacji, jeszcze zanim Kongres zdolałby go zablokować: „Prawo w żaden sposób go tu nie ogranicza”.

Zamknięcie amerykańskich baz w Europie i przeniesienie tysięcy żołnierzy zajęłoby oczywiście więcej czasu, ale wszystkie organy polityczne paktu musiałyby z dnia na dzień zmienić sposób działania. James Goldgeier, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Amerykańskim i autor kilku książek o NATO, uważa, że rezultat byłby chaotyczny. „To nie jest tak, że można powiedzieć: „OK, teraz mamy plan B, jak sobie z tym poradzić”, powiedział mi. Nie ma alternatywnego przywództwa, alternatywnego źródła systemów dowodzenia i kontroli, alternatywnej broni kosmicznej ani nawet alternatywnych dostaw amunicji. Europa natychmiast zostałaby wystawiona na możliwy rosyjski atak, na który nie jest przygotowana i na który nie będzie przygotowana przez wiele lat.

Bez NATO i bez amerykańskiego zaangażowania w bezpieczeństwo Europy skończą się również dostawy dla Ukrainy. Perspektywa wyjścia USA z Sojuszu zmusiłaby wiele europejskich państw do gromadzenia zasobów wojskowych we własnych magazynach – w końcu one też mogą stać się celem rosyjskiej inwazji. A Ukraincom szybko zaczęłoby brakować amunicji. Podbój całej Ukrainy – który wciąż jest celem Putina – znów stałby się realny. Jeśli Rosjanie zbombardowaliby lotniska i inne węzły zaopatrzeniowe w Polsce i Rumunii, ukraińska wojskowa logistyka stałaby się znacznie trudniejsza. Bywało już blisko: co najmniej jeden rosyjski pocisk przypadkowo uderzył w Polskę, zdarzały się też rosyjskie ataki na granicę rumuńsko-ukraińską. Na początku wojny Rosjanie celowo zaatakowali bazę w zachodniej Ukrainie, bardzo blisko granicy z Polską, gdzie szkoleni byli zagraniczni żołnierze. Jeśli Rosjanie zaczęną atakować bazy w samej Polsce, zbrojenie Ukrainy stanie się logistycznie niemożliwe.

Ale na Europie ta fala się nie skończy. W momencie, w którym Trump powie wprost, że nie popiera już NATO, wszystkie inne amerykańskie sojusze będą zagrożone. Tajwan, Korea Południowa, Japonia, a nawet Izrael uznałyby, że nie mogą już liczyć na automatyczne wsparcie Ameryki. Koniec NATO może nie dotyczyć ich bezpośrednio, ale byłby sygnałem, że wszy-

scy i wszędzie muszą założyć, że Stany Zjednoczone nie są już wiarygodnym sojusznikiem.

Z czasem sojusznicy Ameryki zaczęliby szukać bezpieczeństwa gdzie indziej. Wiele krajów europejskich zaczęłoby się przymilać do Rosji. Wiele krajów azjatyckich uznałoby, że – jak to ujął Kaine – „chyba musimy zbliżyć się do Chin, wymaga tego przetrwanie”. Aby uniknąć inwazji, pragmatyczni przywódcy państw leżących w bliskim sąsiedztwie Chin lub Rosji zaczęliby poważniej traktować handlowe i polityczne żądania drugiej i trzeciej potęgi militarnej na świecie.

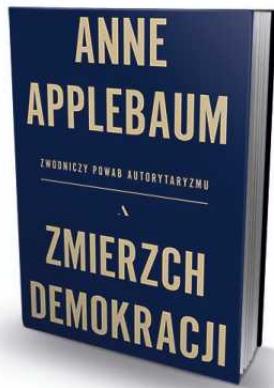
Jednocześnie wiele wspieranych przez Rosję i Chiny – lub Iran, Wenezuelę czy Kubę – partii politycznych i głów państw (zarówno u władzy, jak i aspirujących) zyskałoby nowy, przekonujący argument na rzecz autokratycznych metod i taktyk. Ameryka, kraj, którego wizerunek został już raz poważnie nadszarpnięty przez Trumpa i trumpizm, byłaby postrzegana jako potęga coraz bardziej wycofana. Z czasem zmniejszyłyby się również amerykańskie wpływy gospodarcze. Umowy handlowe i porozumienia finansowe zostałyby renegocjowane, co z kolei uderzyłoby w amerykańskie firmy i ostatecznie w gospodarkę USA.

Jeśli Trump zostanie ponownie wybrany, Amerykanie będą tak pochłonięci spektaklem własnych upadających instytucji, że większość z nich długo nie zauważy problemów spowodowanych zmianą porządku międzynarodowego. Kłopoty Litwy i Korei Południowej będą wydawać się odległe i nieistotne. Koniec amerykańskich wpływów przejdzie niemal niezauważony. Zanim ludzie zrozumieją, jak wiele się zmieniło, będzie już za późno.

Przełożyła Katarzyna Wężyk.
Tytuł i lead od redakcji

© 2023 THE ATLANTIC MEDIA CO., AS FIRST PUBLISHED IN „THE ATLANTIC”
ALL RIGHTS RESERVED. DISTRIBUTED BY TRIBUNE CONTENT AGENCY

***Anne Applebaum** jest stałą autorką magazynu „The Atlantic”, wykładowczynią SNF Agora Institute na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa oraz autorką wielu bestsellerowych książek. Najnowsza to **„Zmierzch demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu”**, o tym, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Książka dostępna na [Kulturalnysklep.pl](https://www.kulturalnysklep.pl) i w formie e-booka na [Publio.pl](https://www.publio.pl).



N A S Z A E U R O P A

Skąd terroryści mieli pieniądze na atak

WALIZKI
Z DOLARAMI
DLA WROGAPlan był prosty: silny Hamas
to bezpieczny Netanjahu.Ronen Bergman, Mark Mazzetti
„The New York Times”

Kilka tygodni przed atakiem Hamasu na Izrael 7 października szef Mosadu przyleciał do Dauhy na spotkanie z przywódcami Kataru. Rząd tego państwa od lat, miesiąc w miesiąc, wysyłał miliony dolarów do Strefy Gazy na wsparcie hamasowskich władz. Premier Netanjahu nie tylko akceptował te płatności, ale wręcz do nich zachęcał.

W czasie tych wrześniowych spotkań David Barnea, szef Mosadu, otrzymał pytanie: czy Izrael chce, żeby płatności szły dalej? Ponieważ rząd nieco wcześniej postanowił kontynuować tę politykę, odpowiedział „tak”.

Netanjahu wyobrażał sobie, że stały napływ pieniędzy do Gazy – chodzi o miliardy dolarów w ciągu mniej więcej dekady – zapewni pokój i sprawi, że Hamas skoncentruje się na wydawaniu tych pieniędzy na rządzenie, a nie na walce.

Płatności z Kataru, rzekomo tajne, były komentowane przez izraelskie media od lat. Krytycy Netanjahu nazywali je strategią „kupowania spokoju”. Sam Netanjahu dziś nazywa sugestią, iż próbował wzmocnić Hamas, „absurdalną”.

„NYT” przeprowadził rozmowy z ok. 25 obecnymi i byłymi urzędnikami izraelskimi, amerykańskimi, katarskimi, a także z innych państw Bliskiego Wschodu. Wyłania się z nich obraz początków tej polityki, kontrowersji, które wybuchły w rządzie izraelskim, a także wysiłków, jakie podjął Netanjahu, żeby utrzymać przepływ pieniędzy dla Hamasu.

●●●
Płatności wpisywały się w cały szereg decyzji izraelskich przywódców, oficerów armii i wywiadu – wszystkie opierały się na przekonaniu, że Hamas nie miał ani zamiaru, ani potencjału do ataku na dużą skalę.

Nawet gdy wojsko uzyskało plany inwazji Hamasu, a analitycy wywiadu odnotowali manewry przygotowawcze, nie przzerwano przepływu płatności. Oficerowie wywiadu przez kilka lat eskortowali nawet katarskich urzędników do Gazy, gdzie przekazywali walizki wypełnione milionami dolarów.

Pieniądze z Kataru miały iść na takie rzeczy jak wypłaty pensji dla administracji i służb w Strefie Gazy czy zakup paliwa do elektrowni. Izraelski wywiad uważa jednak, że darowizny pozwoliły Hamasowi przekierować część własnego budżetu na cele wojskowe. Ponadto od dawna podejrzewał, że Katar wykorzystuje inne kanały do finansowania wojskowego skrzydła Hamasu, czemu rząd Kataru zaprzecza: „Wszelkie próby podważenia cywilnego i humanitarnego charakteru wkładu Kataru oraz jego pozytywnego wpływu są bezpodstawne”.

Kancelaria Netanjahu oświadczyła: „Wiele izraelskich rządów umożliwiło przekazywanie pieniędzy do Strefy Gazy z powodów humanitarnych, a nie w celu wzmocnienia Hamasu”, a także: „Premier podjął działania, których celem było istotne osłabienie Hamasu. Poprowadził trzy potężne operacje wojskowe przeciwko Hamasowi, w których zginęły tysiące terrorystów i wysokich rangą dowódców”.

Hamas zawsze deklarował, że dąży do wyeliminowania państwa Izrael. Ale każdy przekaz pieniędzy z Kataru do Gazy odzwierciedlał przekonanie izraelskiego rządu, iż ograniczone zagrożenie ze strony Hamasu stanowi niewielki koszt wobec politycznych korzyści wynikających z jego istnienia.

Już w grudniu 2012 r. Netanjahu powiedział znanemu dziennikarzowi Danowi Margalitowi, że Hamas powinien być silny, aby stanowić przeciwwagę dla Autonomii Palestyńskiej na Zachodnim Brzegu. Margalit twierdzi, że usłyszał od Netanjahu, iż posiadanie dwóch konkurujących palestyńskich rywali zmniejszy presję na niego samego dotyczącą ustępstw w sprawie państwa palestyńskiego.

Przywódcy armii i wywiadu przyznali, że ich błędy doprowadziły do ataku Hamasu, ale sam Netanjahu dotąd nie wziął na siebie żadnej współodpowiedzialności. A ponieważ trwa wojna, polityczne rozliczenie człowieka, który był premierem przez większość z minionych 15 lat, zostało wstrzymane.

Przez półtorej dekady koncepcja Netanjahu sprawowała się do poglądu, że „należy kupować spokój i udawać, że problem nie istnieje. Przeczekamy, a on po prostu zniknie” – mówi Ejał Hulata, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Izraela od lipca 2021 do początku tego roku.

●●●
Netanjahu i jego doradcy zaczęli dostrzegać konieczność zmiany strategii po kilku krwawych starciach z Hamasem, które nie przyniosły rozstrzygnięcia. „Wszyscy mieliśmy już serdecznie dość Gazy – mówi Zohar Palti, były wysokiej rangi oficer w Mosadzie. – Zdawali sobie sprawę, że to błędne koło”. Po jednym ze starć w 2014 r. Netanjahu obrał nowy kurs, w którym położono nacisk na „ograniczanie potencjału” Hamasu, a Izrael skupił się na irańskim programie nuklearnym i jego „armiach zastępczych” takich jak Hezbollah.

Strategia ta opierała się na licznych ocenach wywiadowczych, według których Hamas nie był ani zainteresowany, ani zdolny do przeprowadzenia dużego ataku.

W tym okresie Katar stał się głównym źródłem finansowania odbudowy i zarządzania w Strefie Gazy. Jeden z najbogatszych krajów na świecie od dawna wspiera sprawę palestyńską i spośród wszystkich państw w regionie utrzymuje najściślejsze stosunki z Hamasem. Relacje te okazały się cenne w ostatnich tygodniach, gdy katarscy urzędnicy pomogli w negocjacjach dotyczących uwolnienia izraelskich zakładników.

Działania Kataru miały błogosławieństwo rządu Izraela. Netanjahu lobbował za Katarem nawet w Waszyngtonie. W 2017 r., gdy Republikanie naciskali na sankcje wobec Kataru za wspieranie Hamasu, Netanjahu wysłał wysokich urzędników ds. obrony. Izraelczycy przekonywali amerykańskich parlamentarzystów, że Katar odegrał pozytywną rolę w Gazie.

Yossi Kuperwasser, były szef analiz izraelskiego wywiadu wojskowego, mówi, że niektórzy dostrzegali korzyści w utrzymywaniu „równowagi” w Strefie Gazy. „Izrael uważał, że Hamas powinien być wystarczająco silny, by rządzić Strefą, ale wystarczająco słaby, by Izrael mógł go trzymać na dystans”. Administracje trzech amerykańskich prezydentów – Obamy, Trumpa i Bidena – bez oporów wspierały bezpośrednią rolę Kataru w finansowaniu rządu w Strefie Gazy.

Ale nie wszyscy się z tym zgadzali.

Awigdor Lieberman kilka miesięcy po tym, jak został ministrem obrony w 2016 r., napisał tajną notkę do Netanjahu i szefa sztabu armii. Twierdził, że Ha-



● **12 grudnia, Jerozolima, więc wzywający rząd do uwolnienia pozostałych zakładników Hamasu**

FOT. REUTERS/RONEN ZVULUN

mas buduje militarny potencjał w celu zaatakowania Izraela, i wzywał Izrael, aby uderzył pierwszy. Celem powinno być „zapewnienie, aby następna konfrontacja między Izraelem a Hamasem była ostateczna”. Lieberman przekonywał, że uderzenie wyprzedzające mogłoby zlikwidować większość „kierownictwa wojskowego skrzydła Hamasu”. Netanjahu odrzucił pomysł konfrontacji, stawiając na powstrzymywanie.

●●●
Niektórzy spośród agentów Mosadu tropiących finansowanie terroryzmu doszli do wniosku, że Netanjahu w ogóle niespecjalnie przejmował się funduszami płynącymi do Hamasu.

Uzi Shaya odbył kilka podróży do Chin, próbując ukrócić operację prania pieniędzy dla Hamasu prowadzoną przez Bank of China. Po przejściu na emeryturę został wezwany do złożenia zeznań przeciwko Bank of China w prowadzonym w Ameryce procesie wytoczonym przez rodzinę ofiary ataku Hamasu.

Zrazu szef Mosadu zachęcał go do zeznawania, wspomina Shaya. On sam też chciał zeznawać. Następnie Chińczycy zaprosili Netanjahu do Pekinu. Wizyta miała miejsce w maju 2013 r. Izrael starał się o wzmocnienie więzi gospodarczych i dyplomatycznych z Chinami.

Nagle Shaya otrzymał inny rozkaz: „Nie zeznawać”. Choć nigdy nie podano mu powodów, zmiana taktyki wzbudziła w nim podejrzenia. Zwłaszcza że politycy czasami otwarcie mówili o tym, jak ważne jest, aby Hamas był silny.

„Skutecznym sposobem na zapobiegnięcie rozwiązaniu dwupaństwowemu jest gra na skłócenie Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu” – mówi Szlomo Brom, emerytowany generał. Bo Netanjahu dało to pretekst do wycofania się z rozmów pokojowych – zawsze mógł powiedzieć: „Nie mam z kim rozmawiać”.

Wielu na izraelskiej prawicy nie miało wątpliwości, że ta strategia działa. Becalel Smotricz, obecnie minister finansów, ujął to bez ogródek: „Autonomia Palestyńska to obciążenie. Hamas to atut”.

●●●
Podczas spotkania rady ministrów w 2018 r. doradcy Netanjahu przedstawili nowy plan: co miesiąc – w ramach umowy o wstrzymaniu ognia – rząd Kataru miałby przekazywać miliony dolarów w gotówce bezpośrednio ludziom zarządzającym Gazą. Szin Bet, izraelska służba bezpieczeństwa, miała monitorować odbiorców, aby mieć pewność, że pieniądze nie trafiają bezpośrednio do militarnego skrzydła Hamasu.

Te zapewnienia nie wszystkich uspokoiły. Lieberman uznał, że plan jest kapitulacją, i w listopadzie 2018 r. zrezygnował. Publicznie oskarżył Netanjahu o „kupowanie krótkotrwałego spokoju za cenę poważnych szkód dla bezpieczeństwa narodowego na długie lata”.

W niedawnym wywiadzie Lieberman orzekł, że decyzje z 2018 r. to bezpośrednia przyczyna ataku Hamasu 7 października. „Dla Netanjahu liczy się na-

NASZA EUROPA



prawdę tylko jedna rzecz: utrzymać się przy władzy za wszelką cenę”.

Walizki wypchane gotówką szybko zaczęły docierać do Gazy. Co miesiąc funkcjonariusze izraelskiej służby bezpieczeństwa spotykali się z Mohammedem al-Emadim, dyplomatą katarskim, na granicy między Izraelem a Jordanią. Stamtąd wieźli go na przejście w Kerem Szalom, gdzie wjeżdżał do Gazy.

Za pierwszym razem Emadi miał ze sobą 15 mln dolarów. Byli izraelscy i amerykańscy urzędnicy opowiadają, że w wyznaczonych miejscach m.in. wręczał po sto dolarów palestyńskim rodzinom wskazanym przez rząd Izraela.

Pieniądze miały iść głównie na wypłatę wynagrodzeń i inne wydatki, ale jeden z zachodnich dyplomatów, który do zeszłego roku pracował w Izraelu, powiedział, że zachodnie rządy od dawna uważały, że Hamas przejmował co najmniej część tych pieniędzy.

Chip Usher, do niedawna starszy analityk ds. Bliższego Wschodu w CIA: „W tej sytuacji Hamas nie musiał już finansować spraw, którymi zarządzał codziennie, a uwolnione w ten sposób pieniądze z własnego budżetu mógł przeznaczyć na co innego”. Dziś wiemy, na co.

Naftali Bennett, który był ministrem edukacji w 2018 r., kiedy rozpoczęły się płatności, a później został szefem resortu obrony, należał w rządzie Netanjahu do krytyków płatności. Ale kiedy sam w czerwcu 2021 r. został premierem (na rok), nie wstrzymał transferów. W tym czasie Katar słał do Gazy ok. 30 mln dolarów miesięcznie.

Bennett i jego doradcy uznali jednak, że sytuacja jest kłopotliwa. Także David Barnea, szef Mosadu, protestował przeciw kontynuowaniu płatności. Był już przekonany, że część pieniędzy idzie na działania wojskowe Hamasu. Z kolei katarscy urzędnicy chcieli bardziej stabilny i niezawodny sposób na długoterminowe przekazywanie pieniędzy do Gazy. Wszystkie strony osiągnęły kompromis: w dystrybuowaniu katarskich pieniędzy wezmą udział agencje oenztowskie. Część pieniędzy poszła bezpośrednio na paliwo do elektrowni w Gazie.

Ejal Hulata, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego premiera Bennetta, wspomina napięcie, jakie towarzyszyło tym operacjom: Izrael chwalił katarskie płatności nawet wtedy, gdy Mosad uznał, że Katar wykorzystywał inne kanały do finansowania zbrojnego ramienia Hamasu. „Zatrzymanie płatności stało się niezwykle trudne w sytuacji, kiedy rząd Izraela stał się tak zależny politycznie od Kataru”.

Yossi Cohen, który jako szef Mosadu przez wiele lat zarządzał sprawami katarskimi, zaczął kwestionować politykę przekazywania pieniędzy. W ostatnim roku kierowania służbami ocenił, że nadzór nad tym, dokąd trafiają pieniądze, jest znikomy.

W czerwcu 2021 r. Cohen wygłosił pierwsze publiczne przemówienie po odejściu ze służby. Stwierdził, że katarskie pieniądze „wymknęły się spod kontroli”. ● Tłum. Bartosz Hlebowicz

Chiny umieją ustąpić

Marco Polo nabrał wątpliwości

Włochy wycofują się z Jedwabnego Szlaku. Są pierwszym krajem, który odchodzi od umowy z Chinami.

Filippo Santelli

la Repubblica

Przystąpienie do flagowego projektu infrastrukturalnego Chin pod kierunkiem Xi Jinpinga pogorszyło stosunki Włoch z sojusznikami, ale w zamian wcale ani nie ściągnęło chińskich inwestycji, ani nie dało impulsu włoskiemu eksportowi.

Włochy były pierwszym krajem należącym do G7 i pierwszym spośród krajów założycielskich UE, który przystąpił do chińskiego nowego Jedwabnego Szlaku. A teraz są pierwszym krajem na świecie, który z tego zrezygnował.

W wielkim projekcie dyplomacji infrastrukturalnej Xi Włochy brały udział przez cztery lata. W tym tygodniu, wraz z notą dostarczoną Pekinowi za pośrednictwem ambasady, prawicowy rząd Giorgii Meloni powiadomił o rozwiązaniu umowy podpisanej przez rząd Giuseppe Contego w 2019 r. Nota była konieczna, gdyż w przeciwnym razie umowa zostałaby automatycznie odnowiona.

Obyło się bez oficjalnych komunikatów. Rząd zdecydował się postępować dyskretnie, aby pozwolić Pekinowi „zachować twarz”, co jest kluczowym pojęciem w chińskiej wyobraźni.

Temu samemu służyła wcześniejsza deklaracja włoskiego rządu o chęci wzmocnienia strategicznego partnerstwa z Pekinem. Reakcje reżimu bywają nieprzewidywalne, ale wykonana przez Rzym praca dyplomatyczna, a także szczególne okoliczności pozwalają liczyć, że Włochy unikną odwetu. Te szczególne okoliczności to pogłębiające się strukturalne kłopoty chińskiej gospodarki. Od pewnego czasu Chiny starają się z tego powodu demonstrować wobec Stanów Zjednoczonych, całego Zachodu i zagranicznych firm nieco mniej konfrontacyjne nastawienie.

● ● ●

Moment podpisania umowy był niefortunny. Zrobiono to dokładnie wtedy, kiedy skokowo rosło napięcie między USA a Chinami, zaś Europa właśnie redefiniowała stosunki z Pekinem w kluczu bardziej realistycznym.

Stojący na czele poprzedniego rządu Ruchu 5 Gwiazd i Ligi premier Giuseppe Conte, a także Luigi Di Maio, szef MSZ, sądzili, że podpisanie memorandum przyspieszy zwiększenie obrotów handlowych z Chinami, zdecydowanie niższych niż pozostałych du-

żych graczy w UE. Nie rozumieli jednak jego znaczenia politycznego ani nie omówili tej decyzji z Amerykanami. Również z powodu gniewnej reakcji Waszyngtonu umowa ta pozostała warta niewiele więcej niż papier, na którym została spisana.

Od czasów rządu Matteo Renzi (a więc kilka lat przed Contem) nie doszło do żadnych chińskich inwestycji we włoską infrastrukturę ani do znaczącej współpracy w krajach trzecich, gdzie pojawiłyby się zamówienia dla włoskich firm. Eksport sycylijskich pomarańczy drogą lotniczą – wspaniała wiadomość dla mieszkańców Pekinu – stał się symbolem tego, jak skromne wyniki osiągnął włoski rząd.

Owszem, eksport w kolejnych latach wzrósł, ale znacznie poniżej oczekiwań. Z 13 mld euro w 2019 r. skoczył do 16,4 mld w 2022. Kolejny skok, na początku 2023, zawdzięczamy jednemu lekowi produkowanemu przez Pfizera we Włoszech.

Za to import z Chin wzrósł z 32 do 58 mld euro, co jeszcze bardziej zachwiało równowagą w obrotach handlowych. Po czterech latach w Rzymie dojrzało przekonanie, że już nigdy nie uda się Włochom skorzystać na błyskawicznym (ale zwalniającym) rozwoju Chin, w przeciwieństwie do firm niemieckich lub francuskich, które nie potrzebowały żadnych rządowych memorandumów, lecz po prostu intensywniej pracowały z Chinami. Teraz poza konkurencją wzrosło także ryzyko geopolityczne: włoskie firmy, które już prowadzą interesy z Chinami, będą je kontynuować (zwłaszcza branża modowa i dóbr luksusowych), inni raczej nie zdecydują się teraz wejść poważniej do gry.

● ● ●

Z pewnością waśni z drugą gospodarką świata się nie oplaca, dlatego taktykę zmiany kursu rząd przygotowywał od miesięcy. Szczególnie ważna była wrześnieiowa podróż ministra spraw zagranicznych Antonia Tajaniego do Pekinu. Różne znaki wskazują, że strategia okazała się skuteczna.

Kilka dni temu minister edukacji Anna Maria Bernini złożyła wizytę w Pekinie, podczas której odnowiła umowę o współpracy między włoskimi i chińskimi uniwersytetami. I nawet jeśli podróż Meloni została przełożona i na razie nie ustalono nowego terminu, na początku przyszłego roku prezydent Sergio Mattarella wybierze się do Chin – okazją jest 700. rocznica śmierci Marca Polo.

Kolejną oznaką braku wrogości jest fakt, że Chiny włączyły Włochy do grupy krajów, których obywatelom przyznano prawo wjazdu i bezwizowego pobytu na okres do 15 dni.

Chiny jednak nie wychodzą z tej sytuacji bez szwanku, choćby dlatego, że przypadek Włoch pokazał światu, iż z Jedwabnego Szlaku da się zejść. Ale Pekin już dawno temu zrozumiał, że umowa z Włochami nie da mu tego, czego się spodziewał – czyli zdobycia ogólnie przychylnego nastawienia Europy.

W międzyczasie sam Szlak, któremu właśnie stuknęło dziesięć lat, został gruntownie prześlany na nowo. Miliardowe inwestycje zmusiły Pekin do przeprowadzenia drażliwej restrukturyzacji długu publicznego, więc teraz projekt stał się bardziej ostrożny. I bardziej skoncentrowany na strategicznych obszarach: Afryce, a jeszcze mocniej na Azji Południowo-Wschodniej, wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, gdzie toczy się ostra walka o wpływy i władzę z USA. Natomiast zapowiadany hucznie korytarz lądowy do Europy Wschodniej przebiega przez terytoria ogarnięte wojnami i destabilizacją.

● ● ●

Chińscy przywódcy pracują też – choć nie jest jasne, czy to kwestia doraźnej taktyki – nad zmianą podejścia w stosunkach międzynarodowych.

Należą do niej: niedawna podróż Xi do San Francisco, która zahamowała pogorszenie stosunków ze Stanami; zielone światło dla importu australijskich produktów, które zostały zablokowane w odwecie za m.in. śledztwo dotyczące przyczyn pandemii COVID; złagodzenie presji na Litwę, „ukaraną” za zacieśnienie stosunków z Tajwanem. Ta dyplomatyczna odwilż obejmuje również przyjęcie w tym tygodniu w Pekinie przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen i przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela w ramach szczytu Europa – Chiny.

A przecież UE dopiero co skonstruowała nowy instrument przeciwdziałania przymusowi ekonomicznemu, zaprojektowany właśnie w celu uniknięcia chińskich represji handlowych. Unia grozi też wszczęciem dochodzenia w sprawie chińskich dotacji dla sektora samochodów elektrycznych.

Analitycy przypisują tę zmianę tonu Pekinu trudnościom gospodarczym, z jakimi borykają się Chiny. Pogłębiły się one znacznie wraz z wprowadzeniem w trakcie pandemii restrykcyjnej polityki wobec sektora prywatnego, która jak dotąd nie złagodziła. Kryzys zaufania wobec władzy w kraju jest na dawno nienotowanym poziomie, a priorytetem Pekinu jest teraz uspokojenie stosunków międzynarodowych, aby skupić się na ożywieniu wewnętrznym i stabilności władzy partii. ● Tłum. Bartosz Hlebowicz

Wykładowca doprowadził mnie
do granicy szaleństwa,
ale nauczyłam się aktorstwa

PRZEMOCY W SŁOWNNIKU NIE BYŁO

Z **GABRIELĄ MUSKAŁĄ***, AKTORKĄ,
ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Gdy kilka lat temu także do polskiego teatru trafiły rozliczenia związane z ruchem #MeToo, środowisko się podzieliło. A jak pani to ocenia?

– Samo zjawisko przemocy jest czymś skrajnie negatywnym i godnym napiętnowania. Choć niestety jest nadal działaniem spotykanym w każdym miejscu. Więcej się o tym słyszy, gdy takie zachowania ujawniane są w środowisku osób znanych, publicznych, ale to dobrze, bo szybciej i bardziej zdecydowanie można się zająć rozwiązaniem problemu. Dla mnie sytuacja jest szczególnie przykra, bo sama jestem aktorką i wiem, że to zawód z natury przemocowy. Autoprzemocowy.

Co to znaczy?

– Że jako aktorka często buduję postać na przekraczaniu własnych granic. To niezbędne, by stworzyć niektóre skomplikowane role, by być w pokazywaniu skrajnych emocji wiarygodną. Muszę wyjść z dobrego samopoczucia, obciążyć się pamięcią o traumach, które przeszła postać – wtedy mogę uczciwie ją zagrać. Dobrzy pedagodzy aktorstwa potrafią tego uczyć, pamiętając, by w tym wszystkim chronić w młodych artystach człowieka. Są też tacy, dla których od człowieka zawsze ważniejsza będzie sztuka. Pamiętam z moich

studiów w szkole teatralnej, gdy profesor, który już nie żyje, więc pominę nazwisko, przez cały semestr stosował wobec mnie przemoc werbalną. Doprowadził mnie do granicy szaleństwa i w takim stanie zagrałam wreszcie egzamin, a mój monolog spowodował na widowni spazmy płaczu. Prywatnie poniosłam ogromny koszt, ale wiem, że na tym etapie mojej aktorskiej edukacji, bez tego, co ten profesor ze mną zrobił, w jaki stan mnie wprowadził, nie potrafiłabym tak przejmująco wcielić się w tę postać. Co oczywiście w żaden sposób go nie usprawiedliwia.

Jak to wyglądało?

– Na każdych zajęciach po dwóch zdaniach mojego monologu przerywał mi i pytał, kto mnie przyjął do szkoły. Mówił, że jestem jak puste pudło, które umie tylko mrugać ładnymi oczkami. Mówił, że postać, którą gram, jest kurwą, ale też świętą, a ja jej do pięt nie dorastam, dlatego nigdy nie powiem tego monologu prawdziwie. I kazał mi się wynosić z zajęć, zapowiadając, że wpuści mnie na kolejną, jeśli przyniosę opisy przyrody Żeromskiego, bo to jedyne, co może będę mogła przekazać w miarę poprawnie. Ale wracałam, a im bardziej ten profesor mnie obrażał, tym bardziej moja ambicja chciała mnie z tym tekstem zmierzyć. Wreszcie powiedział, że mam się nie pokazywać aż do egzaminu, i dodał: „Żeby dobrze ją zagrać, musiałabyś na jej punkcie zwariować”.

Dzisiaj mogłaby pani iść ze skargą do pełnomocnika ds. przemocy, a kariera profesora zawisłaby na włosku...

– Niewątpliwie. Tylko że wtedy słowa „przemoc” nie było chyba w słowniku dla artystów. Ja złapałam się tego ostatniego zdania – muszę zwariować na punkcie postaci! Jeździłam nocą po Łodzi tramwajami, wpadałam w trans, kiwając się na boki, a ludzie patrzyli na mnie jak na wariatkę. To był monolog sklepowej Kaśki z „Kamienia na kamieniu” Myśliwskiego, która na zapleczu spożywczaka oddaje się panom ze wsi, ale kocha tylko Szymka, i to tak, jak nikt nie potrafi kochać.

Jakie ten profesor miał oceny od innych studentów?

– Mówili, że świetnie im się z nim pracuje, że jest miły, pozwala mówić cały tekst, słucha uważnie, daje merytoryczne uwagi. Nie wiedziałam, dlaczego mnie jedyną tak potraktował, zwłaszcza że na innych zajęciach szło mi doskonale.

A jak poszedł egzamin z tej postaci?

– Było pełno ludzi, ale ja wiedziałam tylko, że kocham Szymka. Startowałam z podłogi, leżąc na plecach, z rozłożonymi nogami. Do tej pory pamiętam, jak mówię pierwsze zdanie, myślę się, zawracam, znów się myślę, coś wreszcie zaskakuje, słyszę, jak widzowie płaczą, a ja czuję, że unoszę się nad ziemią.

I ten profesor co na to?

– Nic. Po egzaminie brał od nas indeksy i wstawał oceny, trójki, czwórki. W końcu podeszłam ze swoim, wpisał mi ocenę i oddał indeks. Ani nie pochwalili, ani nie przeprosił, nie wytłumaczył: „Słuchaj, chciałem w ten sposób cię uruchomić”. Nic. Oddał indeks i odwrócił się do następnej osoby. Zajrzałam – piątka z plusem. Jak się okazało, jedyna na całym roku.

Miała pani do niego żal o tę metodę?

– Również o to, że nie zamknął wtedy tej sytuacji, nie skomentował żadnym słowem, nie wytłumaczył, choć był – o zgrozo – pedagogiem. No więc miałam tych sympatycznych profesorów, którzy zachwycali się moim talentem i głaskali po głowie... I miałam tego, który mnie gnębił. Niestety, szczerze muszę to powiedzieć, jak nikt stworzył mnie wtedy na prawdę i ból postaci, sprawił, że ten monolog stał się mój, płynął z samych trzewi. A ja na ten jeden egzamin stałam się Kaśką.

Uświadomił mi, że aktor czasami musi naprawdę dotknąć w sobie krzywdy postaci, by zagrać przejmująco. Tylko że przy tym skrzywdził też mnie – studentkę, kobietę, człowieka. A można było ten sam artystyczny efekt osiągnąć inaczej.

Próbowała pani zrozumieć, dlaczego tamten profesor panią uruchomił?

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



– Wszystko przychodziło mi łatwo, było efektowne, sprawne, ale bezkosztowe. Wszyscy mówili, że mam tyle wdzięku, wszyscy mnie „kupowali”. Myślę, że zaniepokoiło go, że ja się tak moszczę w tej swojej lekkości bytu, lecz zobaczył też we mnie inny, mroczniejszy potencjał. Chciał mi uświadomić – i zrobił to – że prawdziwe aktorstwo może być sztuką, a ona wymaga wysiłku, serca i poświęcenia. Że w pracy na tak trudnych uczuciach nie mogę iść na łatwiznę, nie mogę brać emocji z wierzchu. Nie mogę prześlizgiwać się przez pewne stany emocjonalne sposobikiem. Nie mogę udawać. Z tej wiedzy korzystam do dziś. On dał mi wtedy narzędzia, choć bardzo mnie przy tym pokaleczył...

Wymagałaby pani takiej pracy od swoich studentów?

– Nigdy. Uważam jednak, że moje doświadczenie było cenne. I mówię to w pełni świadomie.

Czyli w tym zawodzie profesor, reżyser nie może być miły i sympatyczny?

– Oczywiście, że może. Ja w innych warunkach nie chcę pracować. Na pewno jednak reżyser powinien wiedzieć, o czym i jak chce opowiedzieć historię, którą bierze na warsztat. I brać odpowiedzialność za pracę z materią, jaką jest wrażliwość drugiego artysty. Spotykam reżyserów, którzy mówią: „Gabrysiu, no co ty mnie pytasz, co masz tu robić?

*Gabriela Muskała

• absolwentka łódzkiej PWSFTiT, występowała w Teatrze Powszechnym w Łodzi, w Teatrze Kwadrat w Warszawie, w łódzkim Teatrze im. S. Jaracza, od 2005 r. w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Laureatka I nagrody na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu w 1995 r. W 2013 r. została odznaczona Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”

Ty przecież umiesz zagrać wszystko!”. To też jest nieuczciwe i świadczy o nieprzygotowaniu, o pójściu na skróty. Przy takim podejściu aktor jest zostawiony samemu sobie. I nie ma szansy na rozwój, na poszukiwanie, musi korzystać z wyuczonych metod, powielać coś, co stworzył już w pracy z kimś innym. Oczywiście przychodzi taki moment w zawodzie, kiedy potrafimy już sami siebie uruchamiać, znamy te guziczki, wiemy, gdzie dotknąć. Ale aktor w każdym wieku potrzebuje nowych wyzwań w pracy z reżyserem przewodnikiem, z którym może wejść w dyskusję, odkryć wspólnie jakiś nowy świat. A najbardziej potrzebują tego młodzi artyści.

To co oznacza w waszym zawodzie bezpieczeństwo pracy i komfort, o który toczy się ta rewolucja?

– Wiem jedno: aktorka, aktor dadzą z siebie wszystko, jeżeli czują, że po drugiej stronie jest szacunek. Bo przed reżyserami stajemy nadzy i nago mówimy o emocjach. Z tej delikatnej tkanki naszej wrażliwości można uszyć wszystko. Trzeba tylko i aż – czasu, uważności i ciekawości drugiego człowieka. Jeśli aktor nie będzie dla reżysera mięsem, kukielką, jeśli będzie się pamiętać, że poza sceną zostajemy sami, to zadziała. Wczoraj grałam przedstawienie, w którym jestem gwałcona, przeżywam wojnę, niespełnioną miłość i jestem alkoholniczką. Nie znam tego z życia, ale dotykam tych przeżyć na scenie. I po trzech dniach bycia Felicią w „Jak być kochaną” w Teatrze Narodowym czuję, jakby ktoś mnie w łeb walnął obuchem. Bo my również w najbardziej obciążające role wkładamy całych siebie i większość swoich koleżanek i kolegów tak właśnie traktuje ten zawód.

Czyli nie można opierać się tylko na technice?

– Zna pani takich aktorów? Ja nie. Kiedy gram kobietę, która musiała patrzeć jak mordowano całą jej rodzinę, to muszę obciążyć się pamięcią kobiet, które takie rzeczy przeszły. Taką kobietę, Albankę Labinotę, która uciekła przed wojną w Kosowie do Szwajcarii, grałam w filmie „Cała zima bez ognia” Grega Zglińskiego. To było 18 lat temu, ale nadal pamiętam bolesny proces budowania tej roli. Rozmawiałam z psychiatrami, którzy mieli pacjentki Koso- wianki po takich traumach, oglądałam dokumenty, rozmawiałam z aktorem z obsady filmu, który wraz z żoną i nowo narodzoną córką przeżył czystki serbskie w Prisztinie. Miałam to wszystko przed oczami, wchłonałam tę tragedię, podałam ją sobie do żyl, do krwio- biegu, by nie udawać, by być.

To jest ta przemoc na sobie?

– Tak. Wpisana w ten zawód, nawet jak się pracuje nad tym materiałem z najbardziej delikatnym reżyserem świata.

Napisała pani i wyreżyserowała ze studentami Szkoły Filmowej w Łodzi film „Błazny”, o aktorstwie.

– Wiele ludziom aktorstwo kojarzy się z blaznowaniem, pajacowaniem. I tak często się nas nazywa – kawalarze, jajcarze, co mają taki niepoważny zawód. Złożą peruki, dokleją wąsy, potańczą, pośpiewają, porobią miny i jeszcze biorą za to pieniądze. Bardzo często odbiera się nam prawo do własnego zdania – przecież aktorzy mówią zdaniem innych, prawda? Jesteśmy postrzegani w pejoratyw-

ny sposób, uwłaczający naszej inteligencji, głębi, wrażliwości.

A pani studenci muszą przechodzić traumy?

– Przy filmie „Błazny” mieli różne zadania, niektórzy bardziej obciążające, inni mniej. Dla mnie priorytetem było przeprowadzenie ich przez tę historię jak najdelikatniej, ale też tak, by mieli z tej pracy zawodową satysfakcję. Wykreowali pełnokrwiste postaci i miło było patrzeć, jak się rozwijają, żyją tymi rolami i profesjonalnie mają do nich dystans. A po zdjęciach usłyszeć, że tym filmem zrobiłam im na koniec studiów najpiękniejszy prezent.

To kim są ci przemocowcy, z którymi w teatrze toczy się walka?

– Według mnie przemoc rodzi się z lęków, z braku czasu, niecierpliwości, z lenistwa tych, którzy czasami nawet po roku pracy nie pamiętają imion swoich podopiecznych. Nie są ich ciekawi, nie chcą ich poznać, więc skąd mają wiedzieć, gdzie dotknąć i w jaki sposób, by coś wygenerować, a nie zrobić szkód? Czasami to jest też zawodowe niespełnienie pedagoga czy reżysera, które rodzi frustrację, a ta trafia na podatny grunt w osobach tych, którzy są od nich zależni.

Kiedy dostałam od Mariusza Grzegorzka [reżyser, w latach 2012-20 rektor PWSFTiT w Łodzi] propozycję zrobienia tego filmowego dyplomu, wiedziałam, że chcę go robić z rokiem, z którym miałam już wcześniej zajęcia. Zналиśmy się dobrze, na planie dbałam, by wszyscy czuli się komfortowo. W scenach seksu była koordynatorka scen intymnych. W najtrudniejszych sce-

Przemocowy wykładowca uświadomił mi, że aktor musi dotknąć w sobie krzywdy

nach emocjonalnych poprosiłam o pomoc doradcę aktorskiego Anię Skorupę, która ze mną pracowała nad rolą Alicji w „Fudze”. Dużo dla mnie wtedy zrobiła, bardzo otworzyła na tę postać i w bezpieczny sposób przez nią przeprowadziła. Teraz pomogła studentom.

Wywołała pani „Fugę”. Pierwsza scena jest chyba najbardziej feministyczna w historii polskiego kina.

– Też ją lubię, jest wyzwalająca. Mówi wszystko o naszym dobrym wychowaniu, regułach życia, powinnościach i grzecznościach. I buncie przeciwko temu wszystkiemu, który może narodzić się tylko z zapomnienia siebie. Jednak żebym mogła sobie to wyzwolenie zafundować jako Alicja, musiałam najpierw z nią przejść długą i wyboistą drogę.

No właśnie. Dlaczego pani się godzi na takie eksploatowanie siebie w rolach?

– Niedawno w teatralnym bufecie dojrzały aktor, który za chwilę pewnie przejdzie na emeryturę, powiedział, że cieszy się, że ma tak ma- lutko w spektaklu, bo się nie przemęcza. A ci młodszy skwitowali, że oni wolą się na tej scenie zajechać, ale zagrać rolę pełnokrwistą, która generuje emocje, bo to jest dla aktora naj- ciekawsze, a lekko to sobie mogą grać w te- lenowelach. Każdy aktor będzie się bił o rolę, w której może popłakać, być skrzywdzony, przeżyć jakąś emocjonalną rewolucję.

A dlaczego pani wybrała ten zawód?

– Na pewno nie chciałam być księżniczką, z którą małym dziewczynkom kojarzy się ubrana w efektowny kostium aktorka. Do ak- torstwa podświadomie ciągnęła mnie już od dzieciństwa potrzeba przepoczwarzania się, wychodzenia poza granice tej grzecznej, do- brze wychowanej Gabrysi, która coś musiała, a nie wolno jej było czegoś innego.

Ucieczka?

– Oczywiście. Tylko że o tym dowiadujemy się jako dorośli ludzie – że to zawsze była uciecz- ka od siebie. Ale to nie dotyczy tylko aktorów. Rozmawiałam kiedyś z jednym reżyserem, mówił: „Gabrysiu, jak się film kończy, to dla mnie jest najgorszy moment, bo wtedy mu- szę sam zaplanować dzień, który jest wolny. Zrobić zakupy, ugotować, coś załatwić, sam pojechać, ustalić... A jak mam zdjęcia, to do- staję plan: czeka pod domem samochód i wio- żą mnie na zdjęcia, dostaję śniadanie i prze- glądam plan dnia. Muszę zrobić jedną scenę, potem następ- ną, potem jest obiad, potem go- dzina odpoczynku, znowu sceny, a potem wo- żą mnie do domu. Bo taki jest plan, a ja go tylko wypełniam”. Doskonale to rozumiem, bo dla mnie, aktorki, bycie w roli, nawet naj- bardziej popieprzonej, jest paradoksalnie du- żo łatwiejsze niż bycie w sobie. I nie dlatego, że moje życie jest bardziej popieprzone, tylko dlatego, że tamto jest przewidywalne.

Co to znaczy?

– Mówię do kogoś: „Nie kocham cię już, odcho- dzę”, i on wtedy w rozpaczypopycha mnie na ścianę. Ale zaskoczona tym jest tylko postać, nie ja, bo on robi to już siedemdziesiąty któ- ryś raz od premiery. Albo robi pierwszy czy drugi w filmowym dublu, tylko że wcześniej mieliśmy próby, a w szkole aktorskiej nauczo- no nas techniki różnych bójek, więc dla widza wygląda to wiarygodnie, a my nie robimy so- bie szkód. Kiedy gram jakąś postać i inny ak- tor w innej postaci manipuluje mną, obraża mnie, robi mi krzywdę, to ja jestem na to przy- gotowana, mamy to przeanalizowane i prze- gadane. W życiu takie sceny potrafią zostawić rany w psychice, co nie znaczy, że te grane nie zostawiają, lecz bolą mniej, a przede wszyst- kim nie są nasze.

Ten zawód to oprócz przemocy także ciągła rywalizacja.

– Rywalizacja jest wtedy, gdy ktoś uzależnia swoje szczęście od tego, czy dostanie rolę.

Pani tego nie ma?

– Mam duże szczęście, bo od drugiego roku studiów gram nieustannie. Oczywiście wie- le rzeczy też mnie omija, ale idę za intuicją i przyznam, że raczej się nie mylę. Oglądam na przykład film, z którego zrezygnowałam, no świetna produkcja, lecz czuję, że to nie bę- dzie dobre dla mnie, bo już scenariusz mi się nie podoba i z reguły mam rację. Albo ina- czej – przegrywam zdjęcia próbne, a później widzę, że koleżanka, która wygrała, gra tę po- stać fantastycznie. Wtedy przestaję żałować. Żałuję tylko wtedy, kiedy ktoś schrzani rolę, której nie dostałam, bo myślę sobie: „Kurczę, tutaj był taki potencjał, a nie wykorzystano go tak, jak było można”.

Pani czuje się wolna?

– Czuję się niezależna.

Ktoś panią tego nauczył czy tak samo wy- szło?

– Jeden z niewielu momentów, kiedy sprzeci- wiłam się mojemu tacie, był wtedy, gdy ogło- siłam w domu, że zdaję na aktorstwo. Wiedzia- lam, że się nie zgodzi. W rodzinie nie było ta- kich tradycji, mieszkaliśmy na wsi, tata był le- karzem. A ja nagle wybieram zawód, do któ- rego nie wiadomo, czy się nadaję, który prze- cięć może mnie skrzywdzić. Tata się o mnie martwił i próbował mi to wybić z głowy. Ja jednak byłam zdeterminowana i powiedzia- lam „nie”. Chyba odetchnął z ulgą po moim pierwszym niezdanym egzaminie, ale wtedy zrobiłam monodram, który wygrał wszyst- kie możliwe festiwale teatrów amatorskich w Polsce. Tata go obejrzał, zaplakał przy- szedł za kulisy i powiedział: „Gabrysiu, jesteś

do tego stworzona. Nie poddawaj się, nie odpuszczaj, nawet gdybyś znowu się nie dostała. Będę zawsze cię wspierał”. Poczułam wtedy siłę, tę wolność, bo postawiłam na swoim, a tata to uszanował.

To troszkę taki egocentryzm, prawda?

– Jeśli egocentryzmem jest pójście za sobą, to tak. Choć aktorom zarzuca się inny egocentryzm, w tym negatywnym znaczeniu. Uwielbiam taki dowcip: ktoś rozmawia z aktorem, który ciągle monologuje o sobie, o swoich ostatnich rolach, problemach itd., wreszcie reflektuje się: „Ach przepraszam, ciągle mówię o sobie, może teraz ty coś opowiedz, na przykład w czym mnie ostatnio widziałeś?”. Tak, aktorzy często są na sobie skupieni, ale trzeba zrozumieć, że to jest gigantyczna część tego zawodu. My w pracy nic innego nie robimy, tylko koncentrujemy się, skupiamy na sobie, na tym, co czuje nasza postać, lecz tak naprawdę co w tej postaci czujemy, jak czujemy, skąd to się w nas bierze, gdzie tego szukać, gdzie grzebać. Bo my, nasze ciało, nasze wnętrze, doświadczenia i przeżycia, całe nasze ludzkie wszystko, to nasz zawodowy warsztat.

I panią nie męczyło nigdy to skupienie?

– Miewałam poczucie zmęczenia, nawet wypalenia. Bo reżyserzy dostrzegali, że z łatwością generuję fajerwerki najbardziej skrajnych emocji, więc przez 10 lat po studiach właściwie tylko to robiłam. Często zatrudnia się kogoś na podstawie jego ostatniej roli. Była świetna w tym filmie, ja mam podobną rolę, ona mi to zagra. A aktor potrzebuje płodozmianu. Zagrałam komedię, tęsknię do tragedii, grałam w teatrze, marzy mi się film. Nieczęsto zdarzają się tacy reżyserzy jak Mariusz Grzegorzek, który widząc mnie w teatrze w jakiejś farsie, zaprosił do zagrania ultradramatycznej tytułowej „Agnes od Boga”, czy Anna Wieczur, która zobaczyła mnie w dramacie i zaprosiła do filmowej komedii.

A wielu było reżyserów, którzy dociskali?

– Nie spotkałam wielu agresorów. Spotykałam manipulantów, co jest dla mnie dużo gorsze niż agresja.

Co to znaczy reżyser manipulant?

– To taki człowiek, który wykorzystuje zasoby aktorów, by ich emocjonalnie rozszarpać, użyć tych emocji do swojego projektu, a potem wypuścić. Jestem bardzo otwartą osobą – nie potrafię inaczej – na współpracowników, w ogóle na ludzi. Nie zakładałam od razu pancerza, wychodzę do każdej relacji z ufnością. Manipu-

lacja to ukryte intencje, przed którymi trudno mi się na początku bronić, bo mam problemy ze stawianiem granic. Moim sposobem, kiedy ktoś te granice mocno przekroczy, jest zażenowanie się emocjonalne, bo po prostu się na takiego człowieka zamykam.

Bywało tak, że po jakimś czasie wracałam do współpracy z kimś, kto kiedyś nadużył mojego zaufania, ale wracałam z pancerzem, zabezpieczona umowami, z otwartością zawodową, ale dystansem do człowieka. Na szczęście takich niefajnych zawodowych relacji miałam w życiu niewiele.

Jak szkoła, oskarżona o przemoc w jej murach, zareagowała na to, że chciała pani z aktorami zrobić film z wątkami przemocy?

– Postanowiła go wyprodukować. I to jest zwycięstwo sztuki. Zresztą w moim filmie nie ma krzyżującego oskarżenia, nie ma tezy, pod którą naciągam fabułę. „Błazny” przede wszystkim otwierają pole do dyskusji na temat sztuki aktorskiej. A w niej jak w każdej innej sztuce nie jest oczywiste, jednoznaczne, nie jest tylko czarno-białe.

Jest w tym filmie scena fuksówki, czyli chrzest studentów pierwszego roku, która to tradycja również była wspominana jako przemoc.

– Pokazanie tej fuksówki to pokazanie pewnego mechanizmu przemiany ofiary w agresora, który jest zwykłą potrzebą oddania przemocy, jakiej się samemu doznało. W Łodzi już nie ma fuksówki, w żadnej szkole aktorskiej jej nie ma, choć moi studenci jeszcze jej doświadczali. Ja też – 30 lat temu. I bardzo chciałam pokazać w „Błaznach” ten kawałek mojego świata, który na szczęście już minął.

A jaka była pani fuksówka?

– Niedobra. Jak fala w wojsku. Nie chcę opowiadać, jak to wyglądało. Przerwaliśmy ją. Byliśmy pierwszym rocznikiem, który się na to zdobył. Pamiętam, że zauważyłam pewną zmienną zasadę, że ci, którzy najbardziej nas gnębili, na egzaminach średnio sobie radzili. Natomiast ci, którzy czuli swoją zawodową wartość, najczęściej nie fuksowali, nie czuli takiej potrzeby, albo fuksowali w dowcipny, fajny, nieobciążający sposób.

Czyli przemocowy aktor, reżyser to ten niespełniony?

– Albo ten, który sam doznał przemocy. U mnie na wsi, gdzie mieszkalam, chłopcy, którzy mordowali żaby w najbardziej okrutny sposób, to byli najczęściej ci, którzy dostawali codziennie wciury pasem od pijanych ojców. Przemoc rodzi przemoc.

Dlaczego wielu aktorów jest tak pogubionych w życiu – z nalogami, rozstaniem, depresjami?

– Niektórych złamano, zanim stali się aktorami, i nie pomaga teraz, że nosi się ich na rękach. Niektórych przerasta sam zawód, bo nie potrafią ochronić swojej wrażliwości i postawić granicy reżyserom albo granym przez siebie postaciom. Czasami ludzie zyczajnie przerasta też sława i nagle zaczynają się zachowywać jak bałwany, bo są rozpoznawalni na ulicy.

To jak się nie zgubić?

– Moim zdaniem dążyć do uświadomienia sobie własnych zasobów, ich źródeł. Poznanie genezy różnych swoich zachowań, lęków, źródeł prywatnych emocji daje nam narzędzia do tego, by używając ich w aktorstwie, chronić przy tym siebie. A przede wszystkim daje nam siłę, by umieć się bronić przed ewentualną próbą zawodowego wykorzystania.

Studentów na początku łatwo zranić, bo są jeszcze „niezapisani” i dlatego tak wpadają w profesorów, w reżyserów – jak w obrazek. Bo to ci, którzy grają na scenie, w filmie, mają nagrody, znane twarze, historię. Są dla studentów bogami. I ten bóg może wtedy wszystko. Może tego studenta wzbogacić, uskrzydlić, ale może go też zniszczyć.

A jak uczyć aktorstwa, by otwierać na rolę, nawet tak mocno, jak panią otwierano, a przy tym nie krzywdzić?

– Trzeba tych młodych ludzi widzieć, umieć słuchać, wierzyć w ich mądrość, wrażliwość. Nie nauczać, ale rozmawiać, dzielić się doświadczeniem i pozwalać, by decydowali o sobie inaczej, niż my byśmy tego chcieli. Trzeba naprawdę uważać, bo oni są jak otwarta księga, my w niej coś zapisujemy i możemy strzelić tam grafomanię.

I co wtedy?

– W najlepszym wypadku rozczerwanie aury. Młodzi już w szkole zderzają swoje marzenia i często naiwne wyobrażenia o aktorstwie z piękną, lecz też brutalną rzeczywistością, jaką niesie ten zawód, niekoniecznie ze strony agresorów reżyserów, ale też ze swej istoty. I muszą odnaleźć niezależność, zrozumieć, że w pracy nad rolą, w procesie budowania prawdy postaci ważniejsze jest to, by obronić w tym własną prawdę. Ale też dojrzeć do tego, by powiedzieć sobie – nie jestem wcale idealna, nie jestem tylko piękna, mądra, wrażliwa i błyskotliwa, jestem też brzydka, słaba, małostkowa i przeciętna. I to jest mój aktorski skarb, z którego będę czerpać, ta różnorodność to jest moja siła. Przychodzi taki moment, kiedy ci młodzi zaczynają myśleć – wzięłam, co mi daliście, a teraz do widzenia, wiem, czego chcę, wybieram swoją drogę, jestem pełnokrwistym aktorem. Teraz, po tej niedawnej rewolucji, młodzi ludzie poczuli, że zaczynają być nareszcie traktowani jak dorośli, bez względu na ich młodość, nie-doświadczenie i nieopierzenie.

A myśli pani, że obecne pokolenie młodych ludzi jest słabsze?

– Mówi się, że to pokolenie płatków śniegu, a ja od 10 lat spotykam w szkole młodych ludzi, którzy zaprzeczają temu określeniu. Są silni, dojrzały, wrażliwi, ale nie naiwni, świadomi siebie, świata, przedsiębiorczy. Mają pracę, dbają o siebie, o to, żeby nie siedzieć, nie grzać ławy, nie czekać.

Widzi pani pokoleniową różnicę?

– Moje pokolenie było bardziej bierno, czekało na swoją szansę, tak nas wtedy uczono. Trzeba się wykształcić i czekać, aż ktoś nas zauważy. A moi studenci, żeby nie czekać, żeby nie uzależniać się od telefonu od reżyserów czy producentów, sami działają, robią przedstawienia, filmy, piszą, reżyserują. Założyli agencję aktorską, która świetnie działa.

Jest dziś też wielu młodych ludzi, którzy nie potrafią sobie poradzić w życiu, których ten świat przekracza, przytłacza, którzy nie mogą znaleźć swojego miejsca, nie wiedzą, czego chcą, i ciągle kręcą się w kółko. Ale szkoła aktorska różni się tym od innych szkół, że najczęściej dostają się tam, i to często za którymś razem, bardzo mocno zdetaminowani ludzie, którzy naprawdę wiedzą, czego od życia chcą. Oni mają w sobie wspaniałe, kolorowe światy. Ważne tylko, by w procesie edukacji tych światów w nich nie zgasić. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

Wiele się w Akademii pozmieniało. Nowi uczniowie (i uczennice!), jeszcze bardziej niesamowite lekcje, a i sam profesor jakby młodszy. Na szczęście niezmiennie pozostały wyobrażenia, która ma wielką moc, i magia, dzięki której słynna szkoła wciąż jest najbardziej niezwykłym miejscem w świecie bajek. Oto nowy Kleks na nowe czasy!

PIOTR FRONCZEWSKI

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY, A FILM W KINACH 5 STYCZNIA!

POWIEŚĆ STWORZONA NA PODSTAWIE FILMU „AKADEMIA PANA KLEKSA” W REŻYSERII MACIEJA KAWULSKIEGO

Adam Michnik poleca **Przerwany wykład**

RZEŹNIK PUKA



• Zbiorowy pogrzeb ofiar pogromu kieleckiego. Cmentarz żydowski w Kielcach, 8 lipca 1946 r.

FOT. AP/EAST NEWS

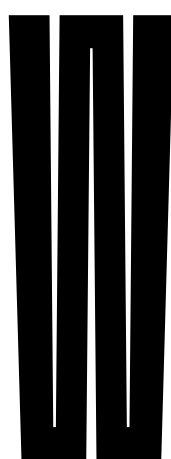
DO NASZYCH DRZWI

To w Polsce dokonano Zagłady, największej zbrodni w historii Europy. Do dziś nie ma u nas ani jednego jej muzeum

Jan Grabowski*

30 maja 2023 r. Jan Grabowski, profesor historii na Uniwersytecie w Ottawie, miał wygłosić w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie wykład „Polski (narastający) problem z historią Holocaustu”. Po kilkunastu minutach jego wystąpienie przerwał poseł Grzegorz Braun: wyrwał ze stojącej mikrofon, który rozbił o mównicę, i zaczął niszczyć sprzęt nagłaśniający.

Przybył na miejsce funkcjonariuszom policji oświadczył, że działa w stanie wyższej konieczności, bo „zabezpiecza tu naród polski przed prowokacyjnym atakiem na naszą wrażliwość historyczną”. Ostatecznie pracownicy instytutu ogłosili, że wykład się nie odbędzie.



2016 r. przebywałem jako fellow w waszyngtońskim Muzeum Holocaustu. Pewnego dnia w moim gabinecie zadzwonił telefon – dzwonił ktoś z Departamentu Stanu. Chcieli wiedzieć, czy ja, kanadyjski historyk specjalizujący się w najnowszej historii Polski, nie spotkałbym się z doradcami politycznymi Demokratów i Republikanów. Chodziło o Polskę, jak mi dość enigmatycznie powiedziano.

Do spotkania doszło kilka dni później. Za długim stołem w Departamencie Stanu czekało na mnie z osiem osób, wszystkie świetnie zorientowane w polskich sprawach. W pytaniach sypały jak z rękawa nazwiskami pierwszo- i drugorzędnych postaci polskiej polityki i odnosiły się ze znawstwem do wydarzeń bieżących i dawnych.

Stało się jasne, że doradcom obu partii chodziło o próbę zrozumienia niektórych decyzji PiS-owskich władz od roku rządzących Polską. Próby wytłumaczenia decyzji polskich polityków, opierające się na logice i wcześniejszych doświadczeniach, okazały się – jak mi dano do zrozumienia – płonne.

Próbowałem wyjaśnić, że dla autorytarnych i populistycznych nacjonalistów polityka zagraniczna nie jest specjalnie ważna. Wierchuszka obozu władzy to osoby niewyrafinowane, karmione i karmiące się własnymi obsesjami, nieznające zagranicy, nieufające jej, nieznające języków, skupione na interesie własnym, własnego ugrupowania oraz wąsko pojętego elektoratu. Szerzej pojęty interes publiczny, dalekosiężny interes państwa to pojęcia dla przywódców obozu rządzącego zgola egzotyczne. Polityka zagraniczna nacjonalistów poddana jest dyktatowi potrzeb wewnętrznych.

Żeby zrozumieć z kolei priorytety polityki wewnętrznej, nie można zapomnieć – tłumaczyłem politycznym doradcom Republikanów i Demokratów – o roli, jaką w ich świecie ideowym grają różne narodowe mity czy uprzedzenia. Historia odgrywa u nich często rolę religii, przekonywałem. Nie to, że w nią wierzą, ale na pewno ją praktykują.

Tu wymienilem wiele mitów hołubionych przez polskich nacjonalistów. Mitów, których obrona może okazać się warta złamania sojuszy, narażenia Polski na międzynarodowy ostracyzm. Tłumaczyłem, że przekłamanie własnej historii nie jest dla tej ekipy zagadnieniem jednym z wielu, że właśnie ta koślawca percepcja dziejów narodowych jest istotą tożsamości tych ludzi,

decyduje o tym, kim oni są i jakie podejmą działania.

Wyszedłem z tego spotkania z poczuciem wielkiej satysfakcji: po raz pierwszy być może jako historyk mogłem na forum politycznym bronić polskiej „raison d’état”, właściwie rozumianej polskiej racji stanu. Jednak w 2016 r. nie byłem w stanie przewidzieć, do czego zdolni są polscy nacjonałści działający w obronie tych właśnie mitów i historycznych fałszerstw, na których zbudowana jest ich tożsamość.

Dziś Kasia – Katarzyna Markusz, też historyczka – przynosi do domu wezwanie na przesłuchanie od IPN-owskiego prokuratora. – Tym razem to dla ciebie czy dla mnie? – mam ochotę zapytać. Nie, to dla Kasi, za szkalowanie narodu. Bo napisała, że los Żydów za okupacji był gorszy niż los Polaków. Instytut do Walki z Antypolonizmem już nadał sprawie bieg urzędowy.

Za chwilę przychodzi wezwanie do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – tym razem to jednak dla mnie. Przesłuchanie w Aussenstelle [filia] w Radomiu. A ci czego ode mnie chcą? Szpiegowanie na rzecz Rosji, Kanady czy też może Izraela? Pójdziemy dziś może gdzieś na kolację? Nie, dziś nie mogę, jadę do Sokołowa na rozprawę przeciwko takiemu jednemu, który groził mi śmiercią. To Kasia. Czy dziś jedziemy do archiwum w Siedlcach? Nie,

dzisiaj nie mogę, bo muszę być w sądzie na rozprawie z Redutą – to ja...

Ot, dialogi polskich badaczy Holocaustu, którym polskie państwo, nasz naród – w treści i socjalistyczny w formie PRL-bis, pokazuje swoje spróchniałe zęby w latach wielkiej polskiej smuty.

Od kilku tygodni [pisane wiosną 2023 r.] trwa w Polsce intensywna nagonka na niezależnych badaczy Holocaustu. Hasło dał premier, a temat po bolszewicku i z rozmachem rozwinął minister edukacji i nauki, grożąc konsekwencjami naukowcom oraz instytucjom ich zatrudniającym.

Chorobliwe obsesje polskich władz na punkcie „obrony dobrego imienia narodu” nie są niczym nowym. A dzisiejsze wzmoczenie jest po prostu oznaką nadciągających wyborów i potrzebą konsolidacji własnych szeregów.

I na tym właśnie polega problem: w Polsce, w trzeciej dekadzie XXI wieku, granie na antysemickich strunach, żonglowanie pojęciem „żydowskich roszczeń”, fałszowanie historii Holocaustu jest nadal opłacalną politycznie opcją, sposobem ideologicznego wzmocnienia własnego elektoratu oraz przyciągnięcia pod biało-czerwone sztandary wahających się wyborców innych partii.

Kampania nienawiści – a sam mam z nią do czynienia od wielu lat – dotyczy wydarzeń, które rozegrały się 80 lat temu, i trwa w kraju, na którego terenie dokonano Holocaustu; który w wyniku Szoah stracił ponad 3 miliony swoich obywateli.

Polską scenę polityczną – polskie społeczeństwo – toczy choroba. Postaramy się wobec tego spojrzeć na widoczne symptomy kondycji, którą z francuska nazwę „malaise polonaise”, polską chorobą. Wpierw garść faktów, co do których trzeba myśleć ludzie są w stanie się zgodzić:

1. W czasie wojny na ziemiach polskich wymordowano ponad 3 miliony polskich Żydów.

2. Na terenach przedwojennej Polski wymordowano prawie 5 z 6 milionów ofiar Zagłady.

3. Wszystkie obozy zagłady Niemcy zbudowali na terenie Polski. W wyniku tej decyzji, po wojnie i do dziś, polskie władze i społeczeństwo stały się – chcąc nie chcąc – kustoszami pamięci i miejsc pamięci 6 milionów wymordowanych Żydów.

4. Spośród polskich Żydów, którzy znaleźli się pod okupacją niemiecką, ocalało ok. 30 tys. ludzi (z tego część w obozach, nie w ukryciu), czyli 1 proc. populacji. Przeżyć udało się jednej osobie na sto!

Nigdzie indziej w Europie Holocaust nie był tak kompletny, tak totalny, nigdzie indziej wyniszczenie narodu żydowskiego nie przebiegło z równie koszmarną perfekcją.

Czy rzeczywiście polskie społeczeństwo – jak głoszą dziś władze – nie miało żadnego udziału w tej strasznej statystyce? Czy możemy założyć, że rabunek własności żydowskiej, udział „gapiów” w likwidacjach gett, szmalcownictwo, denuncjacje czy skrytobójcze mordy to wyłącznie dzieło skryminalizowanego marginesu? Że naturalnym odruchem Polaków była postawa pomocowa, że – cytując tu premiera, prezydenta i ministra – setki tysięcy, a może i miliony Polaków niosły pomoc ginącym Żydom?

Przecież nawet ktoś, kto jedynie po-bieżnie zapoznał się z literaturą naukową czy zeznaniami ocalałych polskich Żydów, wie, że to po prostu kłamstwo. Tyle że – jak wskazują sondaże – przeważająca część polskiego społeczeństwa zdaje się wierzyć w te kłamstwa lub jest skłonna odrzucić fakty, które przeczą mile brzmiącym mitom. Podobnie dzieje się na scenie politycznej: do czasu rosyjskiej inwazji na Ukrainę sprawy „godnościowe”, „obrona dobrego imienia narodu”, były jedynym obszarem, gdzie polscy autokraci i nacjonaliści spod znaku PiS-u spotykali się z partiami demokratycznej opozycji.

W styczniu 2018 r. polscy parlamentarzyści przegłosowali tzw. polskie prawo o Ho-

locauście, czyli nowelę do ustawy o IPN-ie, w której przewidziano kary do trzech lat więzienia dla historyków mających na historię Zagłady nieco odmienne poglądy od tego, co władza uważała za słuszne. Na 460 posłów przeciwko temu prawnemu skandalowi zdecydowało się zagłosować le-dwie czterech!

To samo dotyczyło podziękowań dla „prawdziwych patriotów”, dla „żołnierzy wykłętych”, ze szczególnym wskazaniem na Józefa Kurasia („Ognia”), co do którego odpowiedzialności za mordy na ocalałych z Zagłady żaden poważny historyk nie ma najmniejszych wątpliwości. W parze z tym szło cudowne rozmnażanie Polaków ratujących Żydów.

Ten przedziwny taniec trwa: w sprawie obecnej nagonki na badaczy Zagłady nie zabrał głosu ani jeden znaczniejszy polityk demokratycznej opozycji. Najwyraźniej w oczach byłego premiera, szczerego demokracji, jego ministrów i wszystkich posłów obrona badaczy deptanych za mówienie prawdy o historii byłaby politycznym błędem. Wiele to mówi o polskim społeczeństwie, a jeszcze więcej – o jakości polskiej klasy politycznej.

Holocaust jest jedynym wydarzeniem w historii Polski o uniwersalistycznym znaczeniu. W pewnych kręgach słyszano o „Solidarności” i JPPII, ale wyłącznie słowo „Auschwitz” rezonuje tak silnie na całym świecie

Pamiętając o tym smętnym politycznym tle, jesteśmy w stanie zrozumieć, dlaczego w kraju, gdzie dokonano największej zbrodni w dziejach Europy, gdzie wymordowano 3 miliony polskich obywateli pochodzenia żydowskiego, do dzisiaj nie wzniesiono ani jednego muzeum Zagłady.

Jedną z przyczyn, dla których polska polityka historyczna (w skrócie PPH), definiowana przez instytucje państwa jako kształtowanie świadomości historycznej społeczeństwa, jest tak skuteczna, jest właśnie ten ponadpartyjny alians, Front Jedności Narodu w obronie własnego narodowego niepokalanego poczęcia.

W roku 1940 Jan Karski raportował rządowi polskiemu na uchodźstwie, że Polacy nienawidzą swoich wrogów, czyli Niemców, ale jest taka wąska kładka, na której spotyka się większa część społeczeństwa polskiego z okupantem: niechęć do Żydów oraz „rozwiązywanie kwestii żydowskiej”.

Moglibyśmy rzec, że dziś tą wąską kładką, na której spotykają się członkowie liberalnej opozycji z członkami ekipy rządzącej PiS-u i ich zwolennikami, jest właśnie chęć obrony mitu niewinnej historii Polski.

Dlaczego Polacy nie są w stanie skonfrontować się z najbardziej bolesnymi problemami historii najnowszej? W roku 2015, kiedy Polska była jeszcze krajem demokratycznym, wziąłem udział w konferencji na Uniwersytecie w Princeton. Wygłosiłem tam referat „Holocaust jako polski problem”, w którym dzieliłem się moimi obawami przed nadchodzącą brudną falą, której zwiastuny widać

było szczególnie wyraźnie z perspektywy badacza dziejów Zagłady. Mówilem wtedy o zagrożeniach związanych z polityką historyczną, o wszechobecnym negacjonizmie Holocaustu.

Negacjoniści twierdzą, że Holocaust to historyczny fakt, straszna zbrodnia, lecz zapewniają równocześnie, że ich naród, ich ludzie nie mieli z tym „smutnym” wydarzeniem nic wspólnego. Ten typ fałszowania historii Zagłady stał się lejtmotywem PPH oraz credo ochoczo przyjętym przez szerokie rzesze polskiego społeczeństwa.

Dlaczego dzieje Zagłady stały się najgorętszym odcinkiem w walce o pamięć i nie-pamięć historyczną? Po pierwsze, Holocaust jest jedynym wydarzeniem w historii Polski mającym uniwersalistyczne znaczenie. W pewnych kręgach słyszano o „Solidarności” i o Janie Pawle II, ale wyłącznie słowo „Auschwitz” rezonuje tak silnie na całym świecie.

Po drugie, historia Zagłady jako jedyna w sposób zdecydowany rozbija mit Polski niewinnej podczas II wojny światowej – a to jest kamień węgielny, na którym budowana jest tożsamość historyczna Polaków. Stąd ciągle próby „udomowienia” Za-

glady podejmowane przez polskie władze. PPH to nieustanna walka o przekształcenie historii Holocaustu w taką opowieść o Zagładzie, która da się pogodzić z mitem Polski niewinnej.

Negacjonizm PPH oparty jest na kilku filarach, które stale pojawiają się we wszystkich oficjalnych przekazach historycznych i które zdominowały programy szkolne, a szokują dziś jedynie ludzi znających lepiej historię oraz cudzoziemców:

1. W czasach Zagłady Polacy ratowali Żydów. Masowo, z poświęceniem, jak żadna inna nacja. Sprawiedliwi stali się listkiem figowym, za którym schowano całą resztę polskiego społeczeństwa, które – żeby to łagodnie określić – po prostu nie pałało sympatią do Żydów.

2. Wystąpienia antyżydowskie, mordy i rabunek to sprawy marginesu, garstki kryminalistów, których w końcu można napotkać w każdym kraju – tak brzmi wersja oficjalna. Cytując wypowiedź polskiego premiera z lutego 2018 r.: „Bywali polscy sprawcy, tak jak bywali i żydowscy sprawcy Zagłady”.

3. Los Polaków i Żydów podczas wojny był podobny. Nasze cierpienie było równe cierpieniu Żydów. Kłaniają się tytuły: „Polokaust”, „Mała Zagłada”. Żydzi padają ofiarą antysemityzmu, a my – antypolonizmu, słyszymy w oficjalnym przekazie. Stąd też np. konsekwentne i zamierzone mylenie obozów pracy i obozów koncentracyjnych z obozami zagłady, np. obozu w Auschwitz z obozem zagłady w Auschwitz-Birkenau. Jak to podkreślał w liście do premiera, swo-

jego kolegi, prawniczy publicysta Bronisław W.: „Polską martyrologię trzeba wypromować na żydowskiej i jest to możliwe”.

4. „Blame the victim” – obwinia ofiarę. Żydzi podczas wojny kolaborowali z Sowietami – czytamy w narracji oficjalnej – a Judenraty i policja żydowska były fundamentalnie istotnymi elementami niemieckiej polityki wyniszczenia narodu żydowskiego.

5. Antykomunizm triumfuje nad antysemityzmem. Mordy dokonane podczas wojny i po wojnie na Żydach można wytłumaczyć, a nawet usprawiedliwić, o ile dokonane zostały z właściwych pobudek ideologicznych.

Tu kłania się ceremonia złożenia kwiatów przez polskiego premiera na grobach weteranów Brygady Świętokrzyskiej w Monachium w 2018 r. A graficznym przypieczętowaniem procesu rehabilitacji antykomunistów – morderców Żydów jest ostatnio wybita przez państwową mennicę srebrna moneta z podobizną Józefa Kurasia ps. Ogień z podpisem: „Zachowali się jak trzeba”. Dla mnie to osobista wręcz obelga.

Tak się składa, że to właśnie ludzie od „Ognia”, „żołnierze wykłęci”, skrytobójczy tchórze zamordowali wiosną 1946 r. pod Krakowem Samka Abrahamera i jego 20-letnią sekretarkę Zofię Scheinborn. Samek był bratem mojego dziadka, ocalał z Zagłady. Nie był komunistą, był właścicielem młyna, chciał żyć. Ale był Żydem, dość majątnym, a bandyci, którzy go zamordowali – jak dziś czytam w broszurze wydanej przez polskie władze – „zachowali się jak trzeba”. Czy standardy moralnych zachowań w dzisiejszej Polsce mają rzeczywiście wyznaczać skrytobójczy tchórze, bandyci, mordercy Żydów?

Wracając do konferencji w Princeton. W dyskusji po referacie zabrał głos dyrektor jednego z większych polskich muzeów, uznając moje obawy i ostrzeżenia o nadchodzącej burzy za nieuzasadnione, gdyż, jak twierdził – „za PRL-u w szkołach karmiono nas PRL-owską propagandą i co z tego wyszło? Nic!”.

Tyle że, odpowiedziałem wówczas, PRL-owska propagandowa papka była dla nas niestrawna, próbowano nas karmić na siłę miłością do ZSRR, co w nas wszystkich wywoływało odruch wymiotny. A mity i legendy serwowane dziś w polskich szkołach w miejsce historii smakują słodko. I dlatego są tak groźne.

Ponadpartyjne porozumienie w sprawie fałszowania historii Zagłady działa w sposób nieprzerwany od prawie trzech pokoleń, bez względu na zmieniające się konstelacje polityczne. Początków PPH możemy upatrywać już w reakcjach na pogrom kielecki, w lipcu 1946 r., kiedy to katolicycy intelektualni uznali kielecki mord za coś z gruntu obcego polskiemu etosowi lub też po prostu za wraźną prowokację. Tuż po pogromie redakcja „Tygodnika Powszechnego” wydała oświadczenie, w którym podkreślała znaczący wymiar polskiej pomocy dla Żydów, bez której „niemal żaden Żyd nie ocaliłby życia”.

Naprawdę? Czy dobry chrześcijanin nie powinien był wówczas się zastanowić, dlaczego zagłada polskich Żydów była tak totalna? Czy nie warto się było wówczas raczej zastanowić, ilu Żydów mogłoby ocalać, gdyby tylko Polacy zachowali się inaczej, niż miało to miejsce?

Porządkując papiery mojego zmarłego Ojca, ocalałego z Zagłady, natrafiłem na Jego list z września 1973 r. zaadresowany do Kazimierza Koźniewskiego, podczas wojny bohaterskiego żołnierza podziemia, a za PRL-u wpływowego reżimowego pisarza.

List był reakcją na artykuł „Na zbiegu ulic Anielewicza i Lewartowskiego” dotyczący stosunków polsko-żydowskich podczas wojny, który Koźniewski ogłosił wówczas w „Odrze”. Czytając połówkę maszynopisu, miałem poczucie déjà vu. W liście Ojca bowiem zawarte zostały wszystkie pro-

blemy i pytania, które i dziś napawają mnie wielką troską.

Było tam o przedwojennym antysemityzmie, o tym, jak niewielu ludzi uważało Żydów za współobywateli. O rabowaniu w czasie wojny żydowskiej własności, o powszechności szantażu wobec ocalałych, ukrywających się żydowskich rozbitek.

Pisał Ojciec: „Dla tych, którzy to ryzyko (ratowania Żydów) szlachetnie podejmowali, była to trudna i ryzykowna konieczność działania, na własną rękę, każdy oddzielnie. Musieli się oni zawsze kryć ze swą chrześcijańską postawą i pomocą, i konspirować dużo staranniej przed współrodakami niż ci, którzy na przykład ukrywali rannych partyzantów. (...) Nie zapomniał Pan na pewno tak pospolitych wówczas, przerażających zdań: »Mimo wszystko, złoty pomnik winniśmy Hitlerowi wystawić – robi za nas brudną robotę!«.

(...) Wielu z tych, którzy ukradkiem pukali (a może Pan nie wie, jak czuliśmy się będąc tropioną zwierzyną), napotykało zatrzaśkiwane z przerażeniem drzwi; często drzwię, obelgi, szczucie psami; a nieraz – charakterystyczny, znany każdemu z nas złowrogi błysk w oku, będący dla nas sygnałem »uciekaj – ten człowiek cię wyda!«.

Hieny nie wymarły, nie uciekły – żyją spokojnie wśród nas jako typowi i szanowani członkowie społeczeństwa”.

Fakt, że list Ojca mógłbym dziś opublikować w jakiejś opozycyjnej gazecie bez żadnego komentarza, po prostu jako głos w toczącej się debacie, jest symptomatyczny i przegnąbiający. 80 lat wyparcia, negacji i agresji.

Bezrefleksyjne samozadowolenie – bezpośredni skutek skutecznej polityki historycznej, opartej na systematycznym fałszowaniu historii – jest powiązane z ogromem środków przeznaczonych przez polskie państwo na „cementowanie pamięci”. Dowodem setki milionów złotych przekazywane rokrocznie z budżetu państwa na takie instytucje jak IPN, Instytut Pileckiego czy mnożące się komórki „obrony imienia”.

Do tego dochodzą organizacje rzekomo pozarządowe, które w istocie są sojusznikami państwa lub też wydmuszkami, za pomocą których nacjonałiści mogą atakować niewygodnych ludzi i instytucje. Rozmaite Reduty Obrony Dobrego Imienia Narodu, uzbrojone w pieniądze polskiego podatnika, składają teraz do prokuratury doniesienia na niezależnych historyków.

Polska, jeżeli chodzi o prowadzony przez państwo atak na historię (w tym wypadku na historię Zagłady), jest niewątpliwie krajem o największym „dorobku” spośród wszystkich krajów Unii Europejskiej. Próby podejmowane przez władze Litwy („my cierpieliśmy więcej!”) czy Węgier („my nie mieliśmy nic wspólnego z deportacją 430 tys. węgierskich Żydów do Auschwitz...”) w porównaniu z rozwojem sytuacji na polu walki o pamięć w Polsce wyglądają wręcz amatorsko. Cyniczna gra Sprawiedliwymi, próby inflacji liczb własnych ofiar połączone z deprecjacją żydowskiego cierpienia, wszystko to tworzy pole, na którym kwitnie negacjonizm Zagłady w polskim wydaniu.

Gdzie można upatrywać największych zagrożeń? Przecież nie w nacjonalistycznej ofensywie ostatnich lat. „Malaise polonaise”, Polaków niezdolność do stawienia czoła własnej historii, jest o wiele starsza od szaleństw obecnej władzy [PiS-u].

Zanim uznamy, że dwudziestolecie międzywojenne to był – niech mi będzie wolno zacytować dyrektora innego z muzeów pamięci – „wyjątkowo pozytywny okres w historii Polski”, być może powinniśmy spojrzeć na te czasy z punktu widzenia Ukraińców z wiossek pacyfikowanych przez polskie wojsko, Żydów bitych przez endeckich bandytów w salach wykładowych czy kupców, polskich obywateli, którym premier RP Sławoj-Składkowski oświadczył, że nie pochwała co prawda stosowanej wobec nich przemocy fizycznej, ale jeżeli chodzi o walkę ekonomiczną – to jak najbardziej!

Może wtedy Holocaust, który bez wahania nazywam największą katastrofą w dziejach Polski, stanie się częścią polskiej historii? Bo

jak dotąd Zagłada polskich Żydów uważana jest przez mój cech, przez cech polskich historyków, za rzecz z gruntu obcą, z historią Polski mającą niewiele wspólnego.

Podczas gdy my, historycy, pisaliśmy artykuły, książki i recenzje czy jeździliśmy na zjazdy i konferencje, uważając, że sprawy jakoś się ułożą, punkty graniczne, markery zwykłej przyzwoitości, zostały przesunięte daleko na prawo. Razem z tym szła brutalizacja języka w sferze publicznej.

Z biegiem lat nastąpiła normalizacja kłamstwa, oswojenie podłości. Jakoś trzeba przecież żyć, a humaniści są istotami wrażliwymi na łaskę i niełaskę władzy. Liczba etatów niezależnych od decyzji władz jest ograniczona, za to etaty, nagrody czy delegacje od władzy zależne są zawodowo i finansowo kuszące. Finansowanie badań staje się coraz bardziej uznaniowe. W ślad za tym idą zmiany orientacji badań, co jest już widoczne w mniejszych ośrodkach, gdzie nacisk władzy znaczy więcej niż w największych miastach. Granica kompromisu przesuwana się powoli, lecz nieustannie, legitymizując postawy, wypowiedzi, słowa i czyny, które jeszcze niedawno uznalibyśmy za niegodne.

Niech mi będzie wolno w tym miejscu zacytować Krystynę Kersten, wybitną badaczkę najnowszych dziejów Polski:

„Zawodowy etos historyka stawia go często w opozycji nie tylko wobec władzy, która kreuje fałszywą historię, ale także wobec społeczeństwa, przywiązanego do swoich mitów i stereotypów (...), szukającego w historii potwierdzenia współczesnych emocji”. I dalej: „Wzdragam się zdecydowanie przed sprzeczaniem historii (i historyków) do roli służebnej wobec narodu. (...) Zamknięcie się w narodowych opłotkach grozi ksenofobią, egocentryzmem, ciasnotą myślenia”.

Chciałbym przypomnieć odważny i mądry, niestety proroczy wywiad, którego w kwietniu 2016 r. prof. Joanna Tokarska-Bakir udzieliła Dorocie Wodeckiej. Ukazał się on w „Wyborczej” i nosił tytuł „Rzeźnik na horyzoncie”. Mówiąc o niebezpiecznym kierunku, w jakim nacjonałiści pchnęli polską politykę, badaczka ostrzegała:

„W rozpatrywanym przypadku stanowi ją [podstawę porównania] faszyzm rozumiany wcale nie jako obelga, tylko pojęcie analityczne, opisujące specyficzny typ rządzenia masami. Pewien, jak to mówi filozof Michel Foucault, typ władzy pasterskiej”, opartej na „celowym dążeniu do wojny społecznej. Charakteryzuje go autorytaryzm, walka z trójpodziałem władzy, dążenie do podporządkowania sobie opozycji i stworzenia bezwzględnej dominacji ideowej.

Zasadniczą rolę w debacie, ułatwioną przez zagarnięcie mediów publicznych, odgrywa polityczne naginanie faktów, które dominuje nad wszelką merytoryczną dyskusją. (...) Argumentem ostatecznym w ustalaniu prawdy o faktach jest twierdzenie o narodzie jako ostatecznym źródle porządku politycznego. Ponadto system ten powołuje się na specyficznie sformatowany patriotyzm piętnujący jako zdradę wszelką krytykę państwa, szczególnie za granicą”.

Wywiad sprzed siedmiu lat mówił o „rzeźniku na horyzoncie”. Dziś ten rzeźnik puka już do naszych drzwi. ●



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. Jan Grabowski

• ur. w 1962 r., historyk. Pracuje na Uniwersytecie w Ottawie, jest autorem wielu publikacji na temat Holocaustu. Tytuł – „Wyborcza”

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Łubieński*

inny czy obcy to są nieprzyjazne słowa

*inny czy obcy to są nieprzyjazne słowa
przybysze zza pustyni i puszczy zza morza
ciemniejszy kolor skóry plemienne zwyczaję
twarze ciała muzyka od naszej odmienne
tańców ich nie zdołamy nawet naśladować
narzecz zagadkowe dla językoznawców
plus dziwaczne odmiany afro-angielskiego
wymagające świętej cierpliwości
oczywiście to ludzie kobiety mężczyźni
plus roszczeniowe dzieci chorobliwie głodne
są inni ale nam też bywa bardzo źle
i my też umieramy łatwiej żegnać obcych
którzy zejdą nam z oczu pomyślimy o nich
z ciepłą ulgą poczuciem własnej ofiarności
ona też musi mieć jakieś granice
a tego świata nie da się naprawić
ciężko od siebie wymagać za wiele
oczywiście wypada jest być przyzwoitym
to się oplaca mówimy z nadzieją
ale warto przywołać zagubione słowa
zamiast inni czy obcy bliżej ciepłej bliźni
niechby to brzmiało mocno staroświecko
czy nawet religijnie bliźni albo bracia
choć hasło Legionów sprzed ponad dwóch wieków
ludzie wolni są braćmi jak to pięknie brzmi
ludzie wolni są braćmi niechby się spełniło*



***Tomasz Łubieński** – ur. w 1938 r., pisarz, historyk, eseista, dramaturg. Wydał m.in.: „Bić się czy nie bić?”, „M jak Mickiewicz”, „Wszystko w rodzinie”, „Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim”, „1939. Zaczęło się we wrześnie”. Wieloletni redaktor naczelny pisma „Nowe Książki”.

wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;	ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Soberzak, Bartosz T. Wieliński WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44	DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak DRUK: Agora SA Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



UCIEC, ALE DOKĄD?

16 grudnia 1962 roku. Wieczór. Wyspa Alcatraz, u wybrzeży Kalifornii. Tak, tu mieści się najsłynniejsze na świecie więzienie. Do wody wskakują 35-letni John Paul Scott, numer więzienny 1403-AZ, skazany na 30 lat za napad na bank i posiadanie nielegalnej broni oraz 31-letni Darl Lee Parker, numer więzienny 1413-AZ, który także znalazł się tu za napad na bak oraz porwania, skazany na 50 lat.

Scottowi i Parkerowi udało się odgiąć kraty w więziennej latrynie, opuścić się na linie, a następnie skoczyć do wody. Do przepłynięcia było 2,4 km. Ale wody zdradliwej, chłodnej i pełnej silnych prądów.

Obaj sporządzili rękawki ze skradzionych gumowych rękawic (pracowali w więziennej kuchni), które miały pomóc im w ucieczce, ale Parker szybko zrezygnował – podczas ucieczki złał kostkę i rychło został schwytany na niewielkiej skale Little Alcatraz, niespełna sto metrów od wyspy.

Scott wymknął się Straży Przybrzeżnej – jakimś cudem, bo ucieczkę zauważono bardzo szybko – ale o poranku jeden z posterunków policji w San Francisco odebrał zgłoszenie od nastolatków, którzy zauważyli jakiegoś mężczyznę pod mostem Golden Gate. To był Scott, wyziębiony i kompletnie wyczerpany.

Scotta odesłano do Alcatraz, ale jest jedynym człowiekiem, który zdołał zbiec z najsłynniejszego więzienia na świecie i dotrzeć wpław do wybrzeży San Francisco. Wprawdzie pół roku wcześniej, 11 czerwca 1962 z Alcatraz uciekło trzech więźniów, bracia John i Clarence Anglin wraz z Frankiem Morrisem, i zbiegów nigdy nie odnaleziono, ale... FBI oficjalnie uznało ich za zmarłych przez utonięcie, choć ich ciała nigdy nie odnaleziono. Pojawiały się różne sygnały, anonimowe telefony, że zbiegowie byli widziani w różnych częściach USA, a także za granicą.

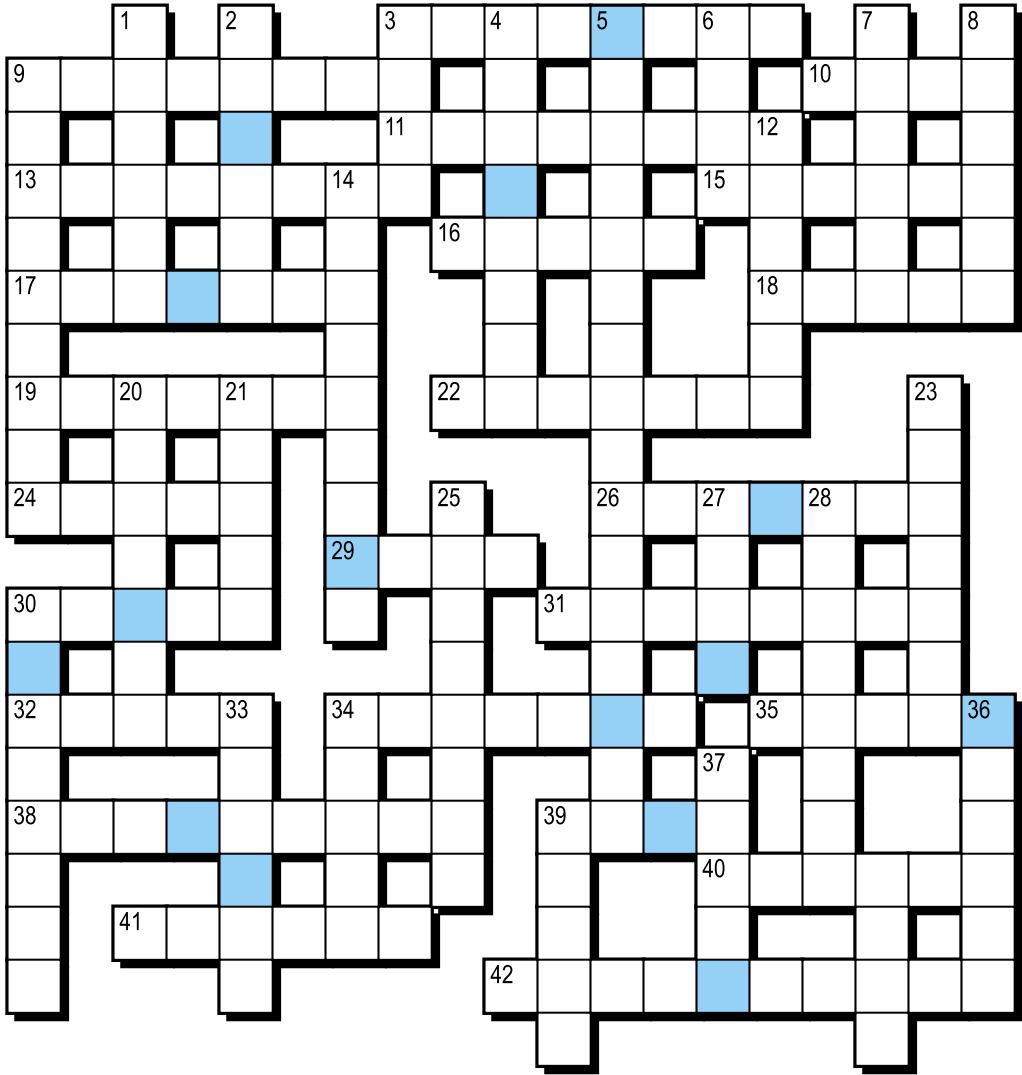
Wydarzenia z czerwca 1962 roku stały się kanwą znanego filmu „Ucieczka z Alcatraz” w reżyserii Dona Siegela, z Clintem Eastwoodem w roli głównej.

Dość powiedzieć, że ta podjęta przez Scotta i Parkera była ostatnią próbą ucieczki z Alcatraz. Więzienie zamknięto w 1963 roku – powodem były wysokie koszty utrzymania, dalece większe niż w przypadku innych zakładów stanowych, poza tym więzienie niszczało, poddawane surowym warunkom atmosferycznym.

Jak już Państwo na pewno się zorientowali, dzisiejsza „Weekendówka” poświęcona będzie wielkim ucieczkom, sławnym więzieniom i generalnie kazamatom wszelakim. Niestety, w wyniku splotu różnych pechowych okoliczności zaproszony do dzisiejszej „Weekendówki” gość nie mógł się pojawić. W tej sytuacji dziś za wszystkie hasła odpowiada nasz krzyżówkowy mistrz, czyli Leszek Rydz.

Powodzenia! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 81 z 9.12:

Poziomo:
5) Słowacki 7) Podsiadło
11) Kamil 12) Litera
13) Moore 14) Osiecka
15) Leśmian 16) Rydel
19) Asnyk 21) Bursa
22) Lipska 24) Maria
27) Majakowski 28) Marian
29) Kofta 32) Stachura
34) oda 37) Wawitów
39) Homer 40) Norwid
42) Maryla Wolska 43) Kern
44) Lange

Pionowo:
1) Jesienin 2) zło 3) Cogito
4) Barańczak 5) Słówka
6) Carroll 8) Kaczmarek
9) Wisława 10) Amerykanka
16) rym 17) Emil 18) pisarka
20) Safona 23) Staff
25) Gajcy 26) Anna
30) Tuwim 31) Emily
32) Słota 33) Rimbaud
35) Dante 36) treny 38)
Adam 39) Hesse 41) John

HASŁO:
ALEKSANDER FREDRO

WIEZIENNA

Poziomo:

3) gra, w której można stanąć na polu „idziesz do więzienia”
9) Sylvester, gwiazda filmu „Plan ucieczki”
10) gryps wystany z więzienia
11) więzienie, loch (mroczne miejsce)
13) „Ucieczka z ...”, film z Clintem Eastwoodem
15) ... Monte Christo, wiele lat więziony w zamku d'If
16) „... odnowy wiatr, darowano reszty kar”, o amnestii w „Autobiografii”
17) „Skazana” lub „Skazany na śmierć”
18) ... McQueen, zagrał w „Wielkiej ucieczce”

19) przemoc, napastliwe zachowywanie się
22) ... van Gogh, namalował „Spacer więźniów”
24) pręty zamkniętych
26) przerażające więzienie ze świata Harry’ego Pottera
29) np. trzech lat pozbawienia wolności
30) postanowił nie czekać na amnestię
31) szczególnie cieszy proroka siedzącego w więzieniu
32) więzienie o zaostrowym ... (wpisujemy w mianowniku)
34) ma oko na osadzonych
35) w środowisku przestępczym: celowo zrobione cięcie na skórze
38) trudno siedzieć dłużej...
39) klitkoklatka na latka

40) ... o kradzieży, napaść (przed sądem)
41) Jeffrey, autor cyklu powieści „Dziennik więzienny”
42) przestarzałe o więźniu w okowach
Pionowo:
1) dla tych, co nie potrafią siedzieć spokojnie
2) cela kanarka
3) „... ostatniej szansy”, film z Jasonem Stathamem w więziennych murach
4) nie dla nich odsiadki
5) duchowni udzielający rozgrzeszenia w przypadkach ciężkich przewinień (z dawną nazwą zakładu karnego w nazwie)
6) piwnica dla skazańców
7) doktor Richard ..., bohater filmu sensacyjnego „Ścigany”

8) pilnują osadzonych; wartownicy
9) „Skazani na ...”, sfilmowane opowiadanie Stephena Kinga
12) ... śledczy, dla zatrzymanych podejrzanych
14) odwołała się do sądu wyższej instancji o zmianę wyroku
20) „Ballada o więzieniu w ...”, poemat Oscara Wilde’a
21) język danego środowiska, np. grypsiera więzienna; żargon
23) Sean, zagrał w filmie „Twierdza”
25) „Więzień ...”, z Robertem Redfordem w roli tytułowej
27) dawniej żartobliwie o karze aresztu, więzienia

28) w celi (anagram wyrazu 30 pionowo)
30) prowadzi do celi (anagram wyrazu 28 pionowo)
33) wielkopolskie miasto z zakładem karnym utworzonym w 1819 r.
34) potocznie o więzieniach; mamry
36) imię Komendy, niewinnionego po odsiedzeniu 18 lat
37) darowanie lub złagodzenie kary (prawo ...)
39) ustrój kojarzony z turmiami, zestaniami, katogą
40) imię autora dramatu z Wielką Improwizacją wygłaszaną w celi przez Konrada

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play